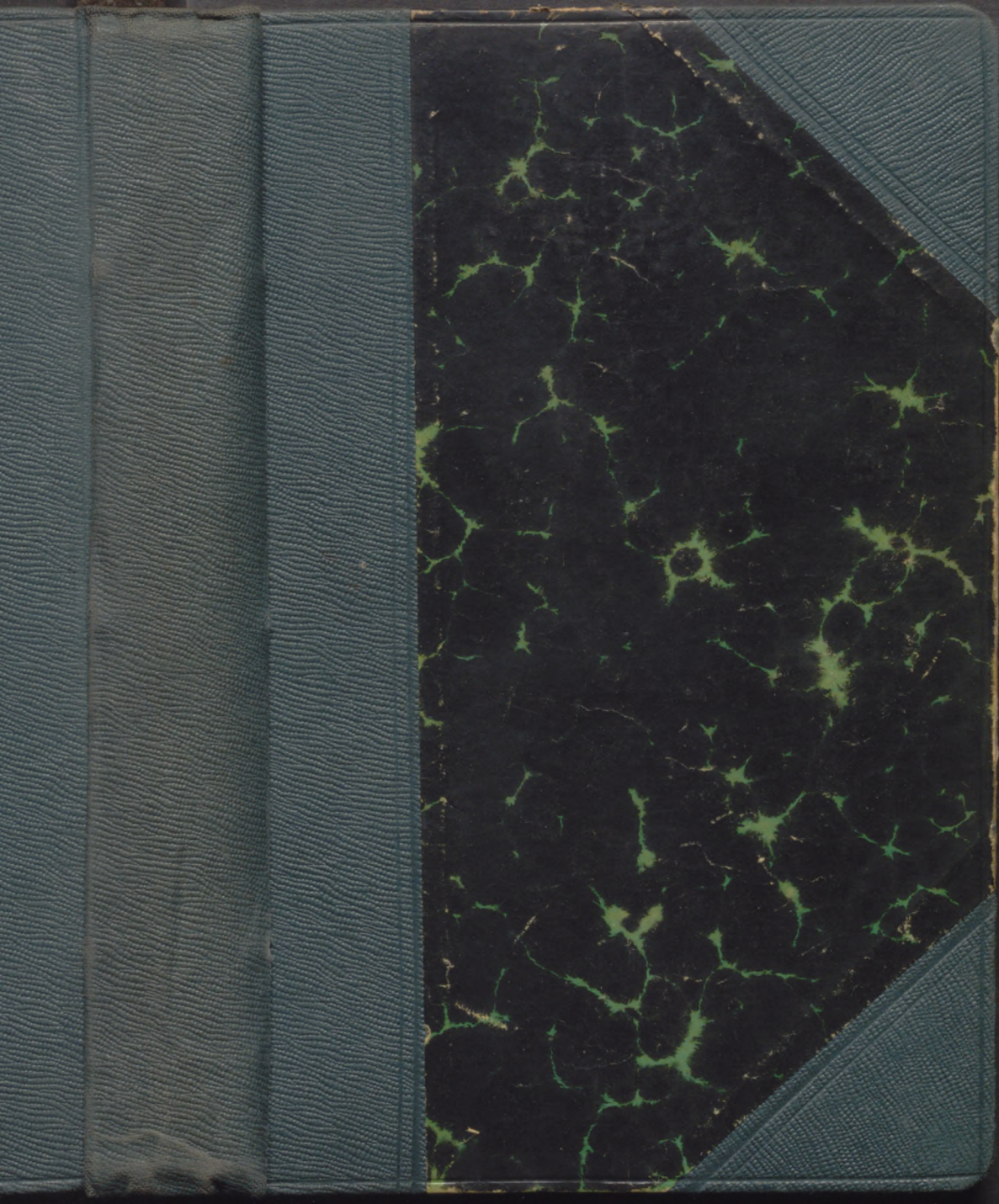
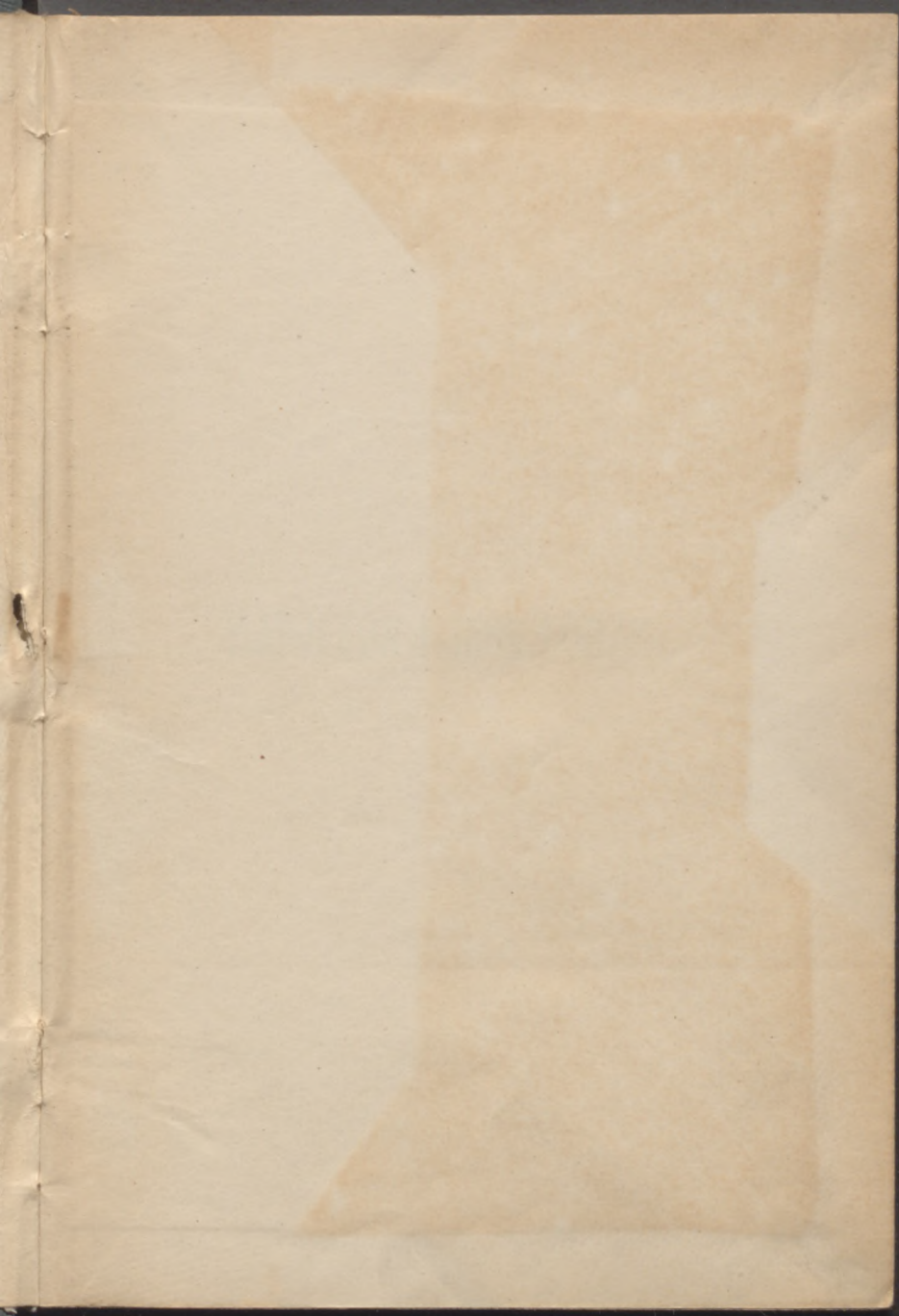
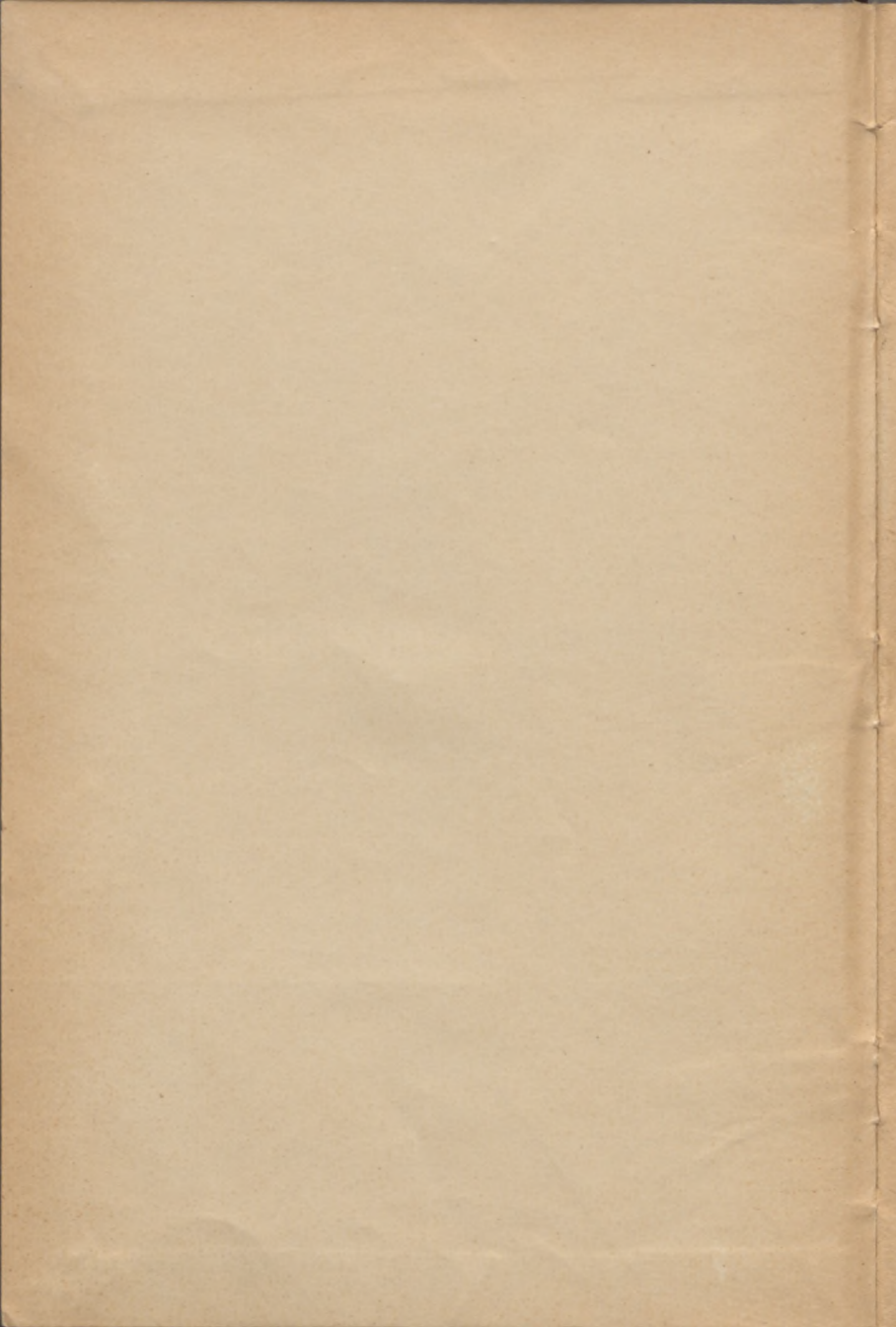








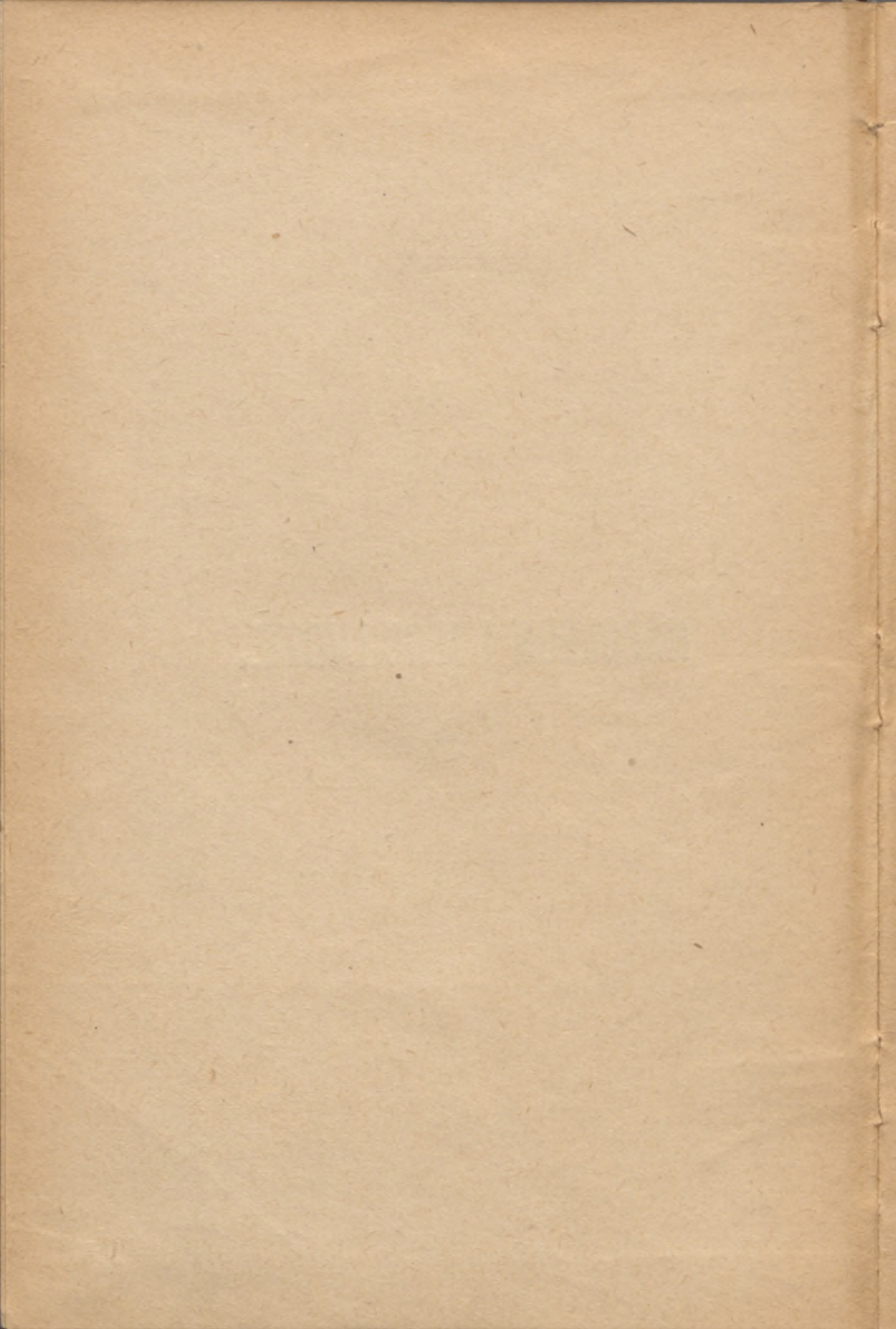






1.21  
22.11.  
1840

**NAPOLEON I JEGO LUDZIE.**



BIBLIOTEKA DZIEL WYBOROWYCH.

Aleksander L. Kielland.

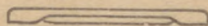


# Napoleon

## i jego ludzie

przekład

Maryi Kreczowskiej.



TOM I.



WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70,  
1908.



V. 675/43



## I.

Przestałem pisać, a tak mi już zbrzydło odczytywanie tego, co inni napisali, że nie wiedziałem, czego się jąć. Jakkolwiek czułem, że jedyną lekturą, do jakiej mógłbym się teraz zabrać, musiałaby być historia, to jednak byliśmy od czasów młodości tak pod tym względem onieśmieleni i nieświadomi, że dużo minęło czasu, zanim się odważyłem zajmować tym przedmiotem na własną rękę.

Wszak byliśmy przeświadczeni, że czytanie historii nie może żadnej przynieść korzyści, o ile się tego nie czyni gruntownie; a gruntownie znaczyło w danym wypadku rozpocząć od początków—jak ongi, kiedy nas tak niemiłosiernie wleczono poprzez ruiny Niniwy i Babilonu, od Kserksesa i Hystaspa, aż do Nabuchodonozora, co wyszedł był na pole i żywił się trawą.

Gdy wreszcie, zebrawszy się na odwagę, zadałem sobie pytanie, o czem najbardziej pragnąłbym historycznych zasięgnąć wiadomości, rychło sobie uświadomiłem, że najwięcej nęciło mnie zrozumienie reakcyi, która, jak czułem, po krótkim rozkwicie spadła na nas wszystkich, u schyłku stulecia. Postanowiłem zatem bezwlocznie się zabrać do studyów nad kongresem wiedeńskim.

W ciągu trzech do czterech lat, między 1895 a 1898 r., otrzymywałem z biblioteki uniwersyteckiej w Christianii, gdzie funkcyonaryusze byli nie-słuchanie mili i aprzedzający—wszystko, co w swej samotni w Ståvanger zdołałem na własną rękę od-szukać w katalogach i oto zacząłem czytać. Postanowiłem nie cytować książek i nie wymieniać źródeł, lecz tylko opowiedzieć, jak mi poszły moje studia historyczne i co było ich plonem.

Nastąpiło mianowicie to, że, wbrew memu planowi, stało mi się stopniowo niepodobieństwem czytanie dziejów reakcyi od kongresu wiedeńskiego po dzień dzisiejszy. Zdało mi się, jakoby wszystko, na co się natknąłem, wirowało dokoła czegoś, leżącego w głębi poza danymi wypadkami. Nie postąpiłem ani kroku naprzód, lecz, wbrew własnej woli, wciągnięty zostałem w krąg, w którym się poruszało wszystko: ludzie i myśli. Całą siłą starałem się iść naprzód, od mego punktu wyjścia, lecz, chcąc nie chcąc, musiałem ciągle zwracać oczy tam, dokąd wszyscy spoglądali. I nakoniec ja także nie widziałem nic, prócz człowieka drobnego wzrostu, ze skrzyżowanemi rękoma, w ukośnie nasadzonym kapeluszu. Odsunąłem wszystko inne i rzuciłem się na Napoleona, którego absolutnie nie chciałem wciągnąć w moje studia historyczne.

Gdy myślę o kongresie wiedeńskim, zawsze mi się nasuwają dwie razem wiszące karykatury z owego czasu. Na pierwszej z tych kart wszyscy monarchowie Europy, przedstawieni jako dzieci w papierowych koronach, siedzą dokoła wielkiego stołu i bawią się armatami i cynowymi żołnierzami. Wtem wchodzi oficer, przynoszący od konsula z Livorno wiadomość, że Napoleon opuścił Elbę; przynosi on nową zabawkę, pudełko, które stawia na stole wśród naprężonego zaciekawienia dzieci.

Nagle z pudełka wyskakuje mały człowiek ze skrzyżowanemi rękoma, w ukośnie nasadzonym ka-



peluszu; na drugiej zaś karykaturze widać, jak wszyscy monarchowie na łeb na szyję rzucają się pod stół, a on sam jeden stoi wśród poprzewracanych zabawek. Karykatury te jawią mi się w pamięci tak żywo, że nie mogę już rozstrzygnąć, czy je widziałem, czy o nich czytałem, lub też sam wszystko to wymyśliłem, lecz dokładnie tak się to wszystko działo.

Tak niezmiernie mali stają się wszyscy ci książęta i ich dworzanie, z godnością krocący po starych, udekorowanych salach Wiednia, krygując się nawzajem i w obec dam—niby koguty w podwórzu, gdy jastrząb przeleciał.

Najbezcenniejszym z nich jest prywatny sekretarz Metternicha, Gentz. Wszystkie wysubtelnione występki epoki idą u niego w parze z podłością, która przed niczem się nie rumieni i nie cofa. Pelza w prochu, aniema nikiemności, do której nie dałby się użyć. Jednocześnie jednak widzi sieci intryg i podstępów lepiej, niż ktokolwiek inny, a w dzienniku swym dla własnego zbudowania notuje:

Ponieważ sobie samemu absolutnie nie mam do zarzucenia, więc daleki jestem od przygnębienia z powodu dokładnej znajomości nikiemnych konszachców, jakie się tu dokonywują, oraz podłych ludzi, rządzących światem. Przeciwnie, bawię się, patrząc na wszystko jak na widowisko, urządzone umyślnie dla mojej przyjemności.

Dzięki swej węgorzowej gibkości, wznosił się coraz wyżej i doszedł istotnie do ogromnego wpływu, pomimo, że oficjalne jego stanowisko, w podobnem zebraniu świetnych osobistości, było tylko podrzędne. Nie pozwolił sobie jednak grać po nosie. Po obiedzie przez niego samego wydanym, pisze w swym dzienniku:

Nie brałem prawie żadnego udziału w rozmowie, toczącej się jak zwykle między Metternichem a Talleyrandem. Czułem jednak żywiej, niż kiedy-

kolwiek, jak życie jest puste i jak słabi są ludzie, trzymający w swych rękach losy świata. Cieszyłem się też własną przewagą, chociaż jej nie okazywałem, gdyż pusta gadanina tych panów przesłoniła mi umysł jakby mgłą.

W gruncie rzeczy są oni tacy sami wszyscy razem. Po tych latach trwogi i poniżenia, gdy wszystko stało na głowie, opanowała ich wszystkich nieposkromiona mania pozowania na wielkości. Ileż nie wycierpiały wszystkie te najlepsze rodziny Europy, utraciwszy mienie i bogactwa, okryte żalobą po świetnej młodzieży, która zginęła w tych latach, lub ranna i w stanie kalectwa wracała z owych pól bitwy, z kąd nie wynosiła, prócz klęsk i poniżenia. A najstraszniejszym ze wszystkiego fakt, z którym musiano się pogodzić, iż on, ten jedyny, którego imienia nie byli w stanie wymówić, bawił na ich zamkach, spał w ich łóżkach, pędząc ich przed sobą, lub też zmuszając do przyjsia i ukorzenia się przed nim.

Następnie wszystkie te rozezarowania, gdy damy na starych dworach radośnie cisnęły się do młodego, kurzem okrytego adjutanta, przynoszącego pierwszą wiadomość z pola bitwy, w stylu zwyczajnym:

Francuzi w 20,000 wojska natarli na pięcioletni korpus rosyjski, pod księciem Bagrationem! Bonaparte sam był obecny. Rosyjanie się przebili, ścięli Francuzów jak grzyby, zabili marszałka Soult'a i po dzielnej walce dotarli do głównej armii—a potem... po kilku tańcach bieganie po schodach, strach, przerażenie, ucieczka przez wszystkie korytarze i tylne drzwi: Francuzi pod miastem; marszałek Soult, książę Dalmacyi, może być w zamku przed wschodem słońca.

Wszystko to było przezwyciężone, gdy się zjechali w Wiedniu i nawzajem odnaleźli: cesarze i królowie i wysokie rody szlacheckie: Metternich, Schwarzenberg, Hardenberg, Castlereagh, Nesselrode—



a ponad nimi wszystkimi Talleyrand ze swą kulawą nogą, która się nigdy nie poślizgnęła. Wśród nich wszystkich nie było ani jednego, mogącego się z nim równać w występkach lub wiarołomstwie. A jednak górował on nad swą epoką, niejako mistrz wszystkiego złego i nieczemnego. Tylko, że czasy były tak podle, iż nikt nie potrafił go przewyższyć, nawet Napoleon nie zdołał się wznieść nad niego. I dlatego jako świadectwo fałszu przechodził on z jednego okresu do drugiego; nikt nie mógł rzucić nań pierwszego kamienia.

Gdy składając Ludwikowi Filipowi przysięgę wierności, szepnął mu na końcu: Sire! to trzynasta! to mniej nas oburza niezgłębiona fałszywość tego człowieka, a raczej gardzić musimy księciem, przyjmującym tę trzynastą przysięgę, a także współczesnymi, że wszyscy spokojnie przyglądali się tym uroczystym kłamstwom i przed nimi pochylali głowę.

Przewaga Talleyranda wznosi politykę jego czasu w jej zimnej fałszywości, niby wzgórza śniegu po obydwu stronach, gdy jego postać toruje sobie przez nią drogę, działając tak przyjemnie uspakajająco, a równocześnie z taką dokładnością i surowością, że przypomina najbezwzględniejszą szczerłość.

Po drugiej Restauracyi przybył do Talleyranda dystyngowany francuski emigrant i prosił go o poparcie u dworu w sprawie osiągnięcia odpowiedniej służby.

— Chętnie; jakimi jednak zasługami popierasz pan swą prośbę?

— Za stu dni towarzyszyłem królowi do Gent.

— Tak, lecz czy jesteś pan tego całkiem pewny? towarzyszył mu pan istotnie do Gent? czy też byłeś tylko pomiędzy tymi, którzy z nim powrócili? Bo widzisz pan, ja, Talleyrand, także za nim poszedłem do Gent i było nas wówczas siedmuset do ośmuset ludzi około króla. Ale gdy wracaliśmy, to było nas, o ile wiem, pięćdziesiąt tysięcy.



Bystrego umysłu, nigdy się nie poddał żadnemu prądowi. Jakkolwiek jednak prąd się zwrócił, zawsze dochodził tam, gdzie Talleyrand stanął już był silną stopą.

Już w r. 1807, gdy po bitwie pod Frydlandem podpisał był pokój w Tylży, gdy gwiazda Napoleona najjaśniej rozblęśla przed światem, Talleyrand zauważył sam dla siebie: Oto ani zwycięstwo pod Jeną, ani wszystka ta krew, co popłynęła pod Iłowem, ani tryumf pod Frydlandem nie przyniosły nic stanowczego. Polska nie odbudowana; Prusy, krwawe i rozbite, są jeszcze przy życiu, by się pomścić; cesarz, który został pobity i stracił armię, otrzymał w Finlandyi milion nowych poddanych. Już od tej chwili wiedział Talleyrand, że gwiazda Napoleona zaczyna blednąć, zwrócił się ku innym panom i wówczas już nawiązał swe intrygi z Burbonami.

Na kongresie wiedeńskim tak bardzo wszystkich przewyższał, że nikt w najłżejszy nawet sposób nie śmiał wyrazić zdumienia, że i on się tu znajduje—do tego jako pierwszy wysłannik Burbonów. Jego obecność odpowiadała odzyskanej znów pewności. Gdy kulawą nogą powłóczył po starych posadzkach wiedeńskich zamków, to wiedziano, że skończyły się już czasy brudnych butów, wkraczających na salę podczas balu; — a potem — mimo wszystko!... To straszne wstrząśnienie, jakie ich wszystkich przeszło: on znowu tu! Napoleon opuścił Elbę! Wszystkie dawne nieszczęścia znów na nich spadły i znów na złamanie karku rzucili się pod stół i uciekli do domu—każdy z nich myśląc tylko o swoim.

Ja również porzuciłem kongres wiedeński i zacząłem od początku: Napoleon Bonaparte urodził się 15 sierpnia 1769 r., a podczas czytania notowałem sobie mnóstwo drobnych rysów, które oto na swój sposób zestawiam.

---

## II.

Nie nadawał się do pozostawiania w służbie jakiegokolwiek partii politycznej i jedynie i wyłącznie w swym charakterze oficera zaczął w późniejszych latach republiki ściągać na siebie uwagę. Po zdobyciu Tulonu — miasto wpadło było w ręce Anglików — które dokonało się pod jego dowództwem, talent jego został do tego stopnia uznany w kołach wojskowych, że wojna we Włoszech była wręcz wistości prowadzona podług planów generała Bonapartego, jakkolwiek był on tylko generałem dywizyi.

W r. 1796, oddano Bonapartemu naczelne dowództwo nad wojskami republiki we Włoszech. Liczył wówczas 27 lat i w tym samym roku ożenił się z Józefiną.

Dwunastego kwietnia stoczył bitwę pod Montenotte, jedną z pierwszych w szeregu ośmnastu wielkich bitew wygranych przed pokojem w Campo Formio w r. 1797, a po dziś dzień otoczonych blaskiem chwały — jak bitwy pod Millesimo, Mondovi, Lodi, Arcole, Rivoli.

W dzień po bitwie pod Montenotte, gdy rozmaite oddziały wojska francuskiego, które dotąd walczyły oddzielnie, mało się wzajem znając, wszystkie razem wymaszerowały w blaskach słońca na



równinę i zajęły swe stanowiska, bez zamieszania i nie wchodząc sobie w drogę, wówczas starzy żołnierze nagle zrozumieli, że tu nowy duch objął dowództwo.

I tego samego dnia zrodził się zapal i zaufanie, które później w coraz silniejszym stopniu towarzyszyły młodemu przywódcy. Wszyscy, zarówno generałowie jak żołnierze, oddali mu się na śmierć i życie. Z tego wypłynęło bezwzględne posłuszeństwo, ślepe, niezem nie zachwiane zaufanie, które stało się głęboką przyczyną szczęścia, towarzyszącego odtąd niezwykłym i śmiałym kombinacjom Napoleona.

Gdy już nie tylko Francya, lecz cała militarna Europa zaczęła nadstawiać uszu na dźwięk jego nazwiska, było jednak charakterystycznym, jak rychło starzy żołnierze republiki zwęszyli wielkiego dowódcę. Byli przyzwyczajeni, że każdy z rządów paryskich przysyłał im swych ludzi, to prawdziwych oficerów, to innych, którzy za wzburzonych czasów rewolucyi, doszli do znaczenia.

Po bitwie pod Lodi zebrała się koło namiotu generała Bonapartego deputacya starych grenadyerów, która mu oznajmiła, że przez armię został zamianowany kapralem! Po bitwie pod Castiglione został sierżantem. Bonaparte był dość mądry, by odznaczenia te rozumieć i cenić; a później, we wszystkich wyprawach, a nawet w dniach nieszczęścia, uśmiech przemykał mu po twarzy, ilekroć stary grenadyerszeregowiec nazywał go „*le petit corporal*”.

Miłość i troskliwość armii o tego dowódcę, który się nigdy nie oszczędzał, spowodowały już w r. 1797 utworzenie straży honorowej dla generała Bonapartego, gdy o mały włos nie wpadł był w ręce Austryaków. Z tego sławnego korpusu guidów utworzył Napoleon później swą gwardyę, a najchętniej też nosił mundur pułkownika guidów, zielony z czerwonymi wyłogami.



Szef szwadronu Bessieres, który z sześciu ludźmi zdobył był właśnie przy Roveredo dwie austriackie armaty, otrzymał dowództwo nad strażą przyboczną, zatem odpowiedzialność za życie generała, a później cesarza. Dowodził gwardyą tą do r. 1812 jako marszałek i książę Istrii.

Wówczas już poczęły się wylaniać pierwsze nazwiska dokoła Napoleona, które później wraz z nim dochodziły do zaszczytów i sławy. Żadnej jednak z późniejszych wojen nie opromienia tyle słonecznych blasków — możnaby prawie powiedzieć, tyle uroczystej pogody — co pierwsze dwie kompanie we Włoszech. Oczywiście, że i tutaj chodziło o życie, a kule, trafiając, były tak samo bezlitosne, jak później. Jednakowoż wszystko się odbywało z większym spokojem; widziano jak nieprzyjaciel męczył się i pocił nad długimi pobojczykami, jak odgryzał patроны, proch sypał na panewkę i jak później po długiem celowaniu strzał często zawodził, zwłaszcza podczas słoty. Daleki dystans artylerii był nieznany; nie zasypywano się, jak dzisiaj, lecącym z powietrza, gradem granatów.

Jak generał Sandels, przyglądał się walce Svena Dufoa, podobnie Fryderyk Wilhelm w potyczce koło Frankfurtu w r. 1791, siedząc na koniu, podziwiał grenadyera republiki, który sam jeden bronił małego mostu, że „sam dyabeł nie mógł się prze dostać“.

Król kazał go niepostrzeżenie ująć i rzekł do niego:—Dzielny z ciebie chłop! szkoda tylko, że za złą walczysz sprawę.

— Obywatelu Wilhelmie! — odparł żołnierz — w tym rozdziale się z sobą nie zgadzamy; mówmy raczej o czem innem.

Przedewszystkiem jednak posiadała wojna we Włoszech inny charakter dlatego, że oficerzy francuscy byli młodzi i mieli szaloną odwagę, którą zdumiewali i oszałamiali metodycznych Austryaków,

a mniej odważnych Włochów przyprawiali o śmiertelną trwogę.

Naczelny generał, młody Bonaparte, sam dawał przykład. Raz, w przededniu bitwy pod Castiglione, przejeżdżał przez małe miasto, Lonato, ze swym sztabem generalnym i pewną liczbą oficerów, mając obok siebie tylko niewielu ludzi, gdy nagle miasto zostało otoczone przez silny oddział Austryaków, których dowódca wysłał do Francuzów parlamentarza z wezwaniem, by się poddali.

Bonaparte kazał parlamentarzowi, zgodnie z panującym zwyczajem, zasłonić oczy i wprowadzić go w sam środek zebranych wysokich oficerów i licznych mundurów. W chwili gdy zmieszanemu parlamentarzowi zdjęto z oczu przepaskę i zobaczył świetne zebranie, Napoleon strasznym głosem krzyknął: Jedź pan natychmiast do swego szefa i zamelduj mu, że zostawiam mu osiem minut czasu do złożenia broni; dostał się w sam środek armii francuskiej; jeśli nie skorzysta z chwili, niema dlań żadnego ratunku! Parlamentarz uciekł co rycblej, a generał austriacki, tak się przeraził, że poddał się z 2,000 żołnierzy i 4 armatami.

Innym razem, w r. 1796, Lannes jako młody dowódca batalionu, natknął się podczas rekognoskowania terenu, na silny oddział papieski, w liczbie trzystu jeźdźców. Lannes zaś miał przy sobie dwóch czy trzech oficerów i ośmiu do dziesięciu ordynansów.

Lannes bezwzględnie podjechał ku papieskiemu oficerowi, który już był ludziom swym wydał rozkaz, by natarli i uderzyli.—Jak pan śmiesz!—krzyknął nań Lannes.—Natychmiast szablę do pochew!

— *Subito!* — odparł oficer.

— Każ pan swym ludziom zejść z koni i odprowadzić je do głównej mej kwatery.

— *Adesso* — odparł papieski oficer i usłuchał. Przypomina to Tordenskjolda, gdy mu się już



uprzykrzyło wyczekiwać pod Marstrand, rychło się ukaże szwedzka flota.

Udał się wówczas do miasta i poszedł do domu, gdzie siedzieli szwedzcy admirałowie, pijąc i obradując.

— Nacóż u licha czekacie?—krzyknął Tordenskjold przez okno.

I flota szwedzka ukazała się nareszcie i dostała cięgi:

— *Subito!*

Książę Montebello pod wielu względami przypominał Tordenskjolda. Nieustraszenie odważny, ustawicznie wśród ognia, przytem chłodny, czujny dowódca, umiejący także w najgorszych chwilach utrzymać w swej dłoni kierownictwo. Za pierwszej wyprawy włoskiej zauważył Bonaparte, jak dowódca batalionu Lannes prowadził swój oddział w bitwie pod Dego. Odtąd byli nierozłączeni, dopóki Lannes, jako marszałek i książę Montebello, nie padł pod Eslingen w r. 1809. Był on wśród wszystkich generałów tym, który najdłużej zachował wobec cesarza dawny ton i do ostatniej chwili mówił doń:— ty. Umarł w okresie świetności swojej i swego pana, przez co zostały mu zaoszczędzone ciężkie dni, narażające wielu jego towarzyszy na próby, jakim nie zdołali sprostać, lub bądź co bądź na wiele rzeczy późniejszych dokoła Napoleona, niejasne rzuciły światło.

Lannes należał do tych oficerów, którzy zawsze otrzymywali rany, co zresztą nie może dziwić wobec szalonej odwagi, z jaką narażał się na niebezpieczeństwa. Byli jednak inni, również zuchwali, o których żołnierze twierdzili, że strzały nie zdołają ich dosięgnąć, naprzykład Massenę. O Lannesie mówiono, że kule splaszczą się, uderzając o jego kości.

Po wyprawie do Syrii, kula trafiła go w skroń i padł; wszysecy sądzili, że ugodzony śmiertelnie.



Okazało się jednak, że kula zsunęła się wzdłuż czaszki i utkwiała w tylnej części głowy, pod skórą, z kądem z łatwością ją wycięto.

W bitwie pod Abukirem, gdy rana na głowie nie była jeszcze zgojona, tuż z pobliza trafiła go kula w nogę, splaszczyla się i wzdłuż kości oślizgnęła, aż utkwiała w łydce. Z biegiem czasu otrzymywał rozliczne inne rany, aż strzał armatni pod Eslingen w r. 1809 strzaskał mu obydwie kolana.

Lannes był także jednym z tych, co zostali ranni, gdy, zasłaniając generała, biegli z nim przez most pod Lodi; natomiast dzielny oficer Muiron, w oczach Bonapartego, padł trupem na środku mostu.

Muiron był jednym z oficerów, odkrytych już przez Napoleona, a mających w jego ręku dojsię do wielkości. Bo w grucie rzeczy sposób awansowania w wojsku Napoleona, jakkolwiek liczba jego wzrastała, był ten, że on sam odkrywał oficerów i miał ich na oku — o czem ci dobrze wiedzieli. Jego pamięć, obejmująca wszystkie armie, była tak olbrzymia i dokładna, że oficerów swych znał tak samo dobrze, jak zwykły dowódca oddziału nielicznych swych ludzi; przytem miał wzrok, odkrywający główne uzdolnienie każdego z nich i znajomość ludzi, myślącą się tylko nader rzadko.

W jednej z wypraw włoskich zdarzyło się, że wieczorem, w przededniu wielkiej bitwy, pewien zwykły żołnierz wystąpił z szeregu i przyjętym zwyczajem republikańskim, przystąpił do Napoleona, mówiąc: — Obywatelu generale, wiem, że ich jutro chcesz pobić! — Poczem żołnierz zaczął rozwijać plan bitwy.

Napoleon przerwał mu nagle: Nędzniku! zamilknąć! Szeregowiec bowiem rozwijał słowo w słowo plan Napoleona, o którym ten sądził, że nie może się znajdować nigdzie, prócz we własnej jego głowie.

W dzień po bitwie kazał szukać owego żołnierza — zapamiętał był jego pułk — lecz wielki talent

hetmański zginął w prostym mundurze szeregowca, a Napoleon stracił może marszałka.

Wówczas jednak, gdy dwudziestosiedmioletniemu oddano naczelne dowództwo, było w armii dość starych, wytrawnych generałów i oficerów, którzy wcale nie mieli chęci podporządkowania się nowemu człowiekowi.

Augereau, o dwanaście lat starszy, nadymał się, głosząc, że nie pozwoli sobie imponować przez małego, suchego zuchwalca z Korsyki. Jednakowoż już po pierwszym przedstawieniu mina mu bardzo zrzędła, a chociaż w oczach Napoleona Augereau nie był nigdy czemś więcej, jak tylko odważnym, lecz nadętym fanfaronem i niepoprawnym łupieżcą, niemniej doszedł aż do godności marszałka i księcia Castiglione, towarzysząc monarsze wszędzie, dopóki go w końcu nie opuścił.

Taksamo bowiem, jak Napoleon nigdy nie miał faworytów, którzyby mogli pozostać na wysokich stanowiskach, mimo swej nieudolności, tak z drugiej strony umiał uznawać i używać ludzi, do których czuł niechęć i o których fałszywem postępowaniu doskonale był poinformowany przez swoich szpiegów.

Kilka innych wielkich nazwisk, dokoła Napoleona już w r. 1796, jaśniało na pierwszym planie. Berthier, który z Lafayette'em był w Ameryce i na Jamaice, a pod starym Kellermanem, zwycięzcą z pod Valmy, awansował na pułkownika, został jednym z generałów Napoleona i jego szczególnie bliskim i zaufanym przyjacielem. Berthier brał udział w wyprawie do Egiptu, otrzymał jednak pozwolenie powrotu, gdyż utrzymywał, że jest chory; właściwym jednak powodem było to, że się na zabój kochał w pani Visconti.

Także wierny i nieustraszony Oudinot, który żył aż do r. 1847, był obok Napoleona już od wojen włoskich. Doszedł pod nim do stanowiska mar-



szalka i księcia Reggio. Oudinot dowodził zawsze grenadyerami, którzy maszerowali zwykle w pobliżu cesarza i prowadził piechotę w pierwszych, dobrych bitwach na bagnety. Żołnierze byli przyzwyczajeni widzieć go wśród siebie; był on jednym z tych, którzy zawsze otrzymywali rany, aż w końcu miał ich już coś dwadzieścia trzy.

Oprócz pełnego nadziei Muirona, padł za pierwszej wyprawy włoskiej generał La Harpe, skutkiem nieostrożności zastrzelony przez własnych ludzi. Padł także generał Steingel, Alzateczyk, wspominany później zawsze przez Bonapartego jako niezrównany generał forpocht. Steingel był krótkowidzem i w bitwie pod Mondowi tak zapaleczywie nacierał ze swymi huzarami, że na samym przedzie, w pierwszym szeregu zarąbany został szablą, jak zwyczajny żołnierz.

Stary generał Causse uratował bitwę pod Dego, lecz, śmiertelnie raniony, zginął na polu walki. Kazał przywołać Bonapartego i dowiedział się, że bitwa wygrana. Wówczas stary generał, skinął młodemu głową i krzyknął:—Niech żyje republika!

Gdy Napoleon konał na wyspie św. Heleny, słyszano jak w agonii wołał: — Steingel! Desaix! Massena! Uderzajcie! Teraz ich mamy! Miał widzenie pierwszych generałów z czasów młodości.

Dzieln i wyćwiczeni Austriacy, w białych mundurach i z pudrowanymi warkoczami, z taką dystynkcyą i szykiem kroczący od jednej kłęki do drugiej, w gruncie rzeczy na lepszy zasługiwali los. Jednakowoż ich przestarzała sztuka wojenna nie mogła sprostać nowej metodzie francuskiej; nadto przewodziło im tyle omszałych głów, bądź co bądź zbyt już starych. Beaulieu liczył lat ośmdziesiąt, Wurmser, który pobił był wojska republiki pod Weissenburgiem, Heidelbergiem i w Palatynacie; był także stary, a taksamo Melas; najlepszym ich generałem był Aloinczy. Niemniej do wszystkich

tych sztywnych wojsk ze starymi zapamiętałymi generałami przyłgnęła pewna śmieszność, jaka zwykle okrywa starych, gdy zostają zgnębieni przez młodych. Równocześnie panowała jednak między wrogami pewna uprzejmość, niejako rycerskość, która zawsze łagodzi wojnę, lecz zanikająca teraz coraz bardziej skutkiem nowych, nieublaganych form wojny nowoczesnej. Gdy stary Wurmser musiał na koniec poddać wygłodzoną Mantuę, naczelny dowódca, generał Bonaparte, wysłał doń starego stosunkowo generała Serrurier'a, by staremu Wurmserowi zaoszczędzić wstydu złożenia szpady, w ręce młodego, dwudziestosiedmioletniego dowódcy.

Przed pokojem w Campo Formio mieli Bonaparte i Józefina istotnie mały dwór na zamku Montebello. Od chwili pierwszego powalenia Austrii, Bonaparte bez przymusu i arogancji przybrał ton jasno dający do poznania, że ma na oku cel znacznie wyższy, niż którykolwiek z poprzednich francuskich generałów. I bezwiednie całe jego otoczenie miało odcień nieco odmienny od zwykłego dotychczas charakteru i obyczaju w wojskowych kołach republiki.

Na zamek Montebello przybywali ministrzy z Wiednia, od króla z Neapolu, wysłańcy papieża, republik Genui i Wenecyi, od księcia Parmy, szwajcarskich kantonów i wielu książąt niemieckich; zamek podobny był niemal do królewskiej rezydencji.

Na pozór wcale się nie zmieniając, młody Bonaparte poważny i chłodny, jak zawsze, zajmował swe miejsce, a całe jego otoczenie—nie zdając sobie może sprawy—grupowało się w sposób, mający oddać trwać niezmiennie przez długie lata: on sam jeden w centrum, a cały świat kręgiem, dokoła niego.

Dyplomaci, najzręczniejsi, jakich miał Wiedeń, przybywali, próbując na nim swych sił. Nie było kwestyi, którejby nie rozumiał, ani intrygi, której-



by nie dostrzegł, a tem mniej istniało pod słońcem coś, mogącego go zatrwożyć.

Mógł natomiast—nie w przystępie gwałtowności, lecz całkiem na chłodno i ściśle obliczając wrażenie, jakie uczyni na starych perukach — rzucić o ziemię kosztowny chiński serwis, który ambasador Cobenzl otrzymał był od Katarzyny II: Tak rozbija Austryę—rzekł i odjechał jak huragan.

Oczywiście, że zaraz za nim popędzili, przywożąc mu traktat pokojowy gotowy i podpisany, jakiego żądał.

Wówczas też wprowadził swe wspaniałe proklamacye do żołnierzy. Powiadają, że czyniły ogromne wrażenie. Co do mojej skromnej osoby, to wydawały mi się one zawsze długie i afektowane, może dlatego, że nie znoszę stylu manifestów.

General Bonaparte sam wręczył dyrektoryatowi traktat pokojowy z Campo Formio, a Paryż wydał dla niego i Józefiny cały szereg uroczystości. Najwspanialszą zabawę wydał oczywiście Talleyrand, natenczas minister spraw zewnętrznych republiki. Sztuki i nauki oddawały mu hold; Dawid chciał go portretować, a głośna śpiewaczka Grassini, którą sam przywiózł z Włoch, przed nim śpiewała.

Nagle dowiedziała się Francya, że 30,000 żołnierzy i 10,000 żeglarzy zebrało się w portach morza Śródziemnego, a w Tulonie czynią olbrzymie przygotowania zbrojne. Pierwsi generałowie i cały szereg uczonych miał brać udział w tej tajemniczej wyprawie.

Była to owa dziwna wyprawa do Egiptu, której głębszego znaczenia, szczerze mówiąc, nigdy nie zrozumiałem. Gdyby się była powiodła, byłoby to oczywiście druzgoczącym ciosem dla Anglii. W danych warunkach pozostało, mojem zdaniem, wszystko niejasnem, a wyprawa zupełnie była chybioną.

Dnia 9 czerwca 1798 r. flota francuska była

pod Malta. Ukazało się na horyzoncie 500 żagli, które tak przeraziły wielkiego mistrza, że po kilku-dniowych układach i paru nieszkodliwych wystrzałach armatnich, wyspa poddała się Francuzom. Zakończyło się tem, że wielki mistrz rycerzy maltańskich, Niemiec Hompesch, otrzymał gotówką 600,000 franków i zapewnienie pensyi rocznej w kwocie 300,000 franków, poczem cofnął się w zacisze życia prywatnego.

Główny port maltański Lavalette uchodził zawsze za absolutnie niezdobyty; a gdy oficerowie francuscy, po oddaniu się wyspy, wylądowali i oglądali twierdze, jeden z nich rzekł:—Prawdziwe szczęście dla nas, że w twierdzy byli ludzie, którzy nam otworzyli; inaczej nie byłibyśmy się nigdy tu dostali.

W wyprawach na morzu Śródziemnem towarzyszyło Napoleonowi niezwykle szczęście, zarówno w podróży do Egiptu jak z powrotem, a także później w podróży na Elbę! Admirał Nelson krążył z flotą swą poniżej Malty; na trzy dni przed przybyciem floty francuskiej był nawet w Aleksandryi, lecz znów wyruszył na morze szukać Napoleona. Teraz wojsko francuskie bez przeszkody wylądowało i natychmiast rozpoczęła się walka.

Po wkroczeniu Napoleona do Kairu, dnia 25 lipca, wydarzyło się pierwsze nieszczęście, które wyprawie zadało cios pierwszy i stanowiący, mianowicie zniszczenie floty francuskiej w zatoce Abukiru dnia 1-go sierpnia. Lord Nelson znalazł ich nareszcie; a jakkolwiek admirał francuski był dzielny i dobrze się bronił, to jednak los każdej floty, napotykającej lorda Nelsona, był z góry przesądzony, tak samo jak los każdego wojska lądowego, waleczącego przeciw Napoleonowi. Najślabszym też punktem całego planu wyprawy było właśnie przypuszczenie, iż francuska flota zdoła się utrzymać na morzu Śródziemnem, gdy tam będzie Nelson.



Po wyprawie do Syrii i nieudanym szturmie do twierdzy St. Jean d'Acre, Napoleon zobaczył w Kairze gazety z ojczyzny i postanowił wrócić do Francyi. Pozostawił list do generała Klebera, oddając mu naczelne dowództwo w Egipcie z mnóstwem informacyi; sam zaś w towarzystwie kilku wybranych potajemnie ruszył ku wybrzeżu, gdzie wsiedli na dwie fregaty i niepojętym sposobem dnia 9 października 1799 r. dopłynęli do Frejus, w południowej Francyi, nie spotkawszy ani jednego okrętu lorda Nelsona, chociaż te ustawicznie krążyły po morzu Śródziemnem, zagarniając niemal wszystko, co się pojawiło na morzu.

Wyprawa egipska pod pewnemi względami, chociaż w znacznie mniejszych rozmiarach, podobna była do wyprawy rosyjskiej z 1812 r. Obydwie się nie powiodły, po części skutkiem tego samego braku znajomości kraju i ludzi, geografii i klimatu. I podczas obu tych wypraw dowódca wymknął się do domu, pozostawiając drugich w nieszczęściu. Nie można się przeto dziwić, że oficerowie i żołnierze, dowiedziawszy się o wyjeździe generała, byli zdania, iż haniebnie ich zdradził, pozostawiając wśród egipskiej pustyni, podobnie jak generałowie cesarza w Krasnoje przeklinali na czem świat stoi, gdy rankiem, dnia 5 grudnia 1812 r., dowiedzieli się, iż cesarz w nocy wyjechał w kierunku zachodnim, ku Francyi, pozostawiając resztki wielkiej armii na pastwę mrozów i kozaków.

I wszystkie te przymioty i uczucia solidarności, rozwijające u dobrego obywatela zmysł społeczny, który podtrzymuje życie codzienne, zarówno prywatne jak publiczne, były naturze Napoleona najzupełniej obce. Nie ulega wątpliwości, że nigdy nie poświęcił nic ze siebie ani dla drugich, ani dla sprawy ogółu. Gdy dawał, nie było to nigdy ofiarą, lecz wynikiem wspaniałej hojności, właściwej wielkiemu panu. Gdyby natomiast odeń zażądano,

by na na miejscu straty lub klęski jakiejs pozostał na gruzach ze względu na drugich, niewątpliwie byłby to uważał, jak zwykł był mawiać, za głupią ideologię.

Nigdy nie widział przed sobą nic innego i nigdy nie stawiał sobie innego wymagania, prócz całkowitego osiągnięcia celu przedsięwziętego. A cel ten był tak wielki, że nigdy nie pozostawiał mu czasu na myślenie o innych, lub na wytechnięcie.

Wyprawy egipskiej nie opromieniało słońce Włoch; powietrze gorętsze szło w parze z pragnieniem i zarazą, a za nazwiskiem młodego generała włókł się posępny cień rzezi w Jafa, gdzie zmuszony był skazać na rozstrzelanie kilka tysięcy więźniów wojennych, dla których nie miał żywności, a także nigdy nieodparte oskarżenie, iż wielkiej liczbie chorych francuskich, cierpiących na zarazę, zadano opium, by w powrocie ze Syrii nie wpadli w ręce nieprzyjaciół.

Wszelako w sławnej bitwie przy piramidach i w walce lądowej pod Abukirem nowy blask opromienił nazwiska, mające stać się największemi w okół Napoleona: na Murata, Junota, Rappa, Lanne-sa, Davoust'a, a przede wszystkim na generała Klebera i Desaixa, którzy pozostali w Egipcie.

Kleber był dzielny i zdolnym generałem, olbrzymiego wzrostu, pięknym mężczyzną. Rychło zrozumiał, że szerokie, a niejasne plany Bonapartego, co do utrzymania i skolonizowania Egiptu są niewykonalne i rozpoczął układy z angielskim admirałem, które taki odniosły skutek, że zgodzono się na spokojny odwrót Francuzów. Tymczasem rząd angielski zażądał, by wojska francuskie uważano za jeńców wojennych.

Żądanie to do wściekłości doprowadziło Klebera; raz jeszcze zebrał siły i napowrót odzyskał cały Egipt.

Zaś generał Desaix niemal od początku wy-



prawy bawił w Egipcie górnym, gdzie nie tylko bohaterstwo zdobył kraj, lecz także jako administrator taką okazał zręczność, że nawpół dzicy ludzie otaczali go miłością i nazywali mądrym sułtanem. Bonapartego zwali władcą ognia.

Dnia 14 lipca 1800 r. Kleber został zamordowany na ulicy w Kairze przez fanatycznego Araba, a równocześnie padł od kuli armatniej Desaix na równinie Marengo, gdzie przybył w samą porę, by dla Napoleona uratować zwycięstwo.

Po Kleberze miał generał Menou dzierżyć rządy w Egipcie. Jeszcze mniej jednak zdołał on utrzymać ład w tej niemożliwej kolonii, nstawicznie niepokojonej przez Anglików. Menou liczył lat pięćdziesiąt, był więc starszy od ówczesnego otoczenia Napoleona; ciągle był poważniony ze swymi oficerami i uczynił się przedmiotem pośmiewiska dla całej armii przez to, że się ubierał jak Arab; poślubił młodą Egipcyankę i urządził sobie życie na sposób wschodni. Napoleon zawsze się z nim obchodził życzliwie. Umarł w 1810 r. jako gubernator Wenecyi — jak powiadają, z miłości do młodej aktorki. W jego rękach wyprawa egipska rozplynęła się w nicość; a ostatnie oddziały francuskie wróciły do ojczyzny na angielskich okrętach — jednakowoż nie jako jeńcy wojenni.

---

Podczas nieobecności generała Bonapartego nawiedziły zarówno republikę francuską jak jej wojenka przeróżne nieszczęścia. Wiedział on już o tem z dzienników, przesłanych mu w Egipcie przez Anglików. Ale dopiero po wylądowaniu we Francyi uświadomił sobie, że pod jego nieobecność wytworzyło się u ludu przekonanie, że tylko on jeden zdoła uratować Francję, jego jednego wymieniano wszędzie jako oswobodziciela ojczyzny. Nikt nie myślał o nieudanej wyprawie, którą był porzu-

cili; od chwili wylądowania przyjmowano go wszędzie z najszczerzą radością, która w miarę przeciągania z miasta do miasta spotęgowała się do najwyższego entuzjazmu, czyniąc jego wjazd do Paryża prawdziwą uroczystością. Dzięki potężnej sile wewnętrznej rychło też zapomniał o nieudanej wyprawie, rojąc plany jeszcze śmielsze, niż wówczas, gdy zwycięzcą wrócił był z Włoch..

Jednakowoż młody, oschły i podejrzliwy generał Bonaparte nie był jeszcze tym, któryby się dał szczęściu zaślepić lub otumanić. W Paryżu, gdzie wszystko stało dlań otworem, trzymał się początkowo na uboczu, niemal w ukryciu. Rzadko się ukazywał podczas wielkich, oficjalnych uroczystości, lub w teatrach. Pracował natomiast z natężeniem i bez skrupułów intrygował w cichości przeciwni istniejącemu ustrojowi państwa, stanowczo zdecydowany do wprowadzenia w politykę żywiołu podówczas najsilniejszego, mianowicie armii, która znów nie była niczem innym, jak nim samym.

Pierwszym człowiekiem, na którego się natknął w swej tajnej robocie, był oczywiście obywatel Talleyrand, na razie nie będący jeszcze człowiekiem ministerstwa. Natychmiast był gotów oddać się na usługi nowej, powstającej siły. Rząd republikański składał się w 1799 r. z pięciu dyrektorów, o których się nikt nie troszczył i ze zgromadzenia prawodawczego. Bonaparte nie chciał rewolucyi, lecz zamachu stanu bez walki i rozlewu krwi. Zgromadzenie prawodawcze zostało wydalone do St. Cloud, po za Paryż, a Bonaparte z zimną krwią postanowił je rozwiązać, by zwierzchnictwu nadać formy inne, które jemu otwierały drogę.

Jego pomocnicy i współpracownicy byli ludźmi, którzy się już byli wokół niego zgromadzili, i mieli zostać pierwszymi dowódcami i mężami stanu; na razie jednak byli tylko młodymi oficerami, na rozkaz swego generała przystępującymi do prze-



wrotu politycznego jakby do zwykłego ataku kawaleryi. Należeli więc przedewszystkiem jego najbliżsi krewni: Murat, Leclerc, ożeniony z Pauliną, Sebastiani z Korsyki, a prócz nich Lannes, Berthier i Moreau. Bernadotte natomiast trzymał się jeszcze na uboczu i wystąpił dopiero wówczas, gdy wszystko się udało. Lucyan, który był prezydentem Rady pięciuset, bardzo się stał użytecznym w dniu rozstrzygającym; była to, o ile mi wiadomo, jedyna pomoc, jaką Bonaparte otrzymał był kiedykolwiek od swych braci.

Wczesnym rankiem 9 listopada 1799 r.—owego sławnego 18 Brumaire'a, podług kalendarza republikańskiego — zaczęło się w koszarach poruszać wojsko.

Generał Lefebvre, komendant Paryża, natrafił na trop spisku. Już wcześniej rano wyjechał swym powozem, dla wyświeetlenia sprawy. Po drodze spotkał pułkownika Sebastianiego i surowym tonem zapytał, czemu bez rozkazu wyruszył ze swymi ludźmi o tak wczesnej porze.

— Generał Bonaparte pragnie się z panem komendantem rozmówić—odparł Sebastiani. Droga była tak wązka, że powóz nie mógł zawrócić, przeto Lefebvre podążył natychmiast do hotelu generała Bonapartego, który go odrazu przywitał:—Panie generale Lefebvre, pan jesteś jedną z podpór republiki! Pan i ja uratujemy dziś Francję z rąk tych podłych adwokatów!

— Adwokaci!—krzyknął stary generał—precz z nimi! Idę z panem!

Wten sposób dzielny Lefebvre związał się na całe życie z Bonapartem.

Gdy Bonaparte wszedł na salę pięciuset, rozległ się głośny krzyk przeciw tyranowi, a członkowie Rady cisnęli się doń z tak dzikimi gestami, że grenadyerzy poczęli się trwożyć o swego małego kaprała. Murat kazał następnie opróżnić salę, co do-

konywało się z takim pośpiechem, że wielu wybrańców ludu musiało wyskakiwać przez okno; co prawda działo się to wszystko w oranżeryi, więc skok nie był zbyt niebezpieczny; niemniej był to gwałt polityczny, którego wielu ludzi nigdy Napoleonowi nie zapomniało.

W pierwszym ministerstwie, które Napoleon utworzył jako pierwszy konsul — istniały trzy ministerstwa, lecz nikt się nietroszczył o dwa dalsze — Talleyrand miał zostać ministrem spraw zewnętrznych. Na razie jednak powierzono to stanowisko Niemcowi, hrabiemu Reinhardtowi, którym Napoleon często się posługiwał w sprawach administracyjnych i dyplomatycznych. Ten hrabia Reinhardt był bratem konsula C. F. Reinhardta, założyciela domu handlowego w Christiansand.

Ministrem policyi został Fouché, bez którego Napoleon nie mógł się widocznie obejść, pomimo, że przenikał jego intrygi, a jego fałszywość nieraz mu się dawała we znaki. Mimo wielkiego podobieństwa, byłoby niesłusznem uważać Talleyranda i Fouché'go za ludzi z tego samego materiału; Talleyrand bowiem przypominał najdelikatniejszą skórkę rękawiczkową, gdy Fouché był zwykłą lisiurą.

Gdy Talleyrand zawsze delikatnie i z odcieniem pewnej wyższości prześlizgiwał się z jednej partyi do drugiej, Fouché oszukiwał i zdradzał jednych dla drugich, żył fałszem i w fałszu, przez wszystkich znienawidzony i wzgardzony. Napoleon go usunął i znów go powołał; zamianował go księciem Otranto i nieraz był na niego wściekły; nie mógł jednak żyć bez tej doskonalej sieci szpiegostwa, jaką tylko Fouché umiał go otoczyć; przytem nie miał nikogo, kimby się tak swobodnie mógł posługiwać w najordynarniejszych przekupstwach.

Za owych czterech lat konsulatu, niewątpliwie najszcześliwszych w życiu Napoleona, Francya zaczęła się podnosić po rewolucyi, a z nieposkro-



mioną siłą żywotną, jaką kraj ten okazuje po minionych burzach, wystąpiło na widownię odnowione, silne społeczeństwo; natychmiast rozpoczął się w niem jednak ferment sił, które pod znakiem nowo stworzonej wolności skupiły się koło tego jednego człowieka i wyniosły go po nad obywateli republiki.

A jego olbrzymie zdolności rozwijały się, torując sobie drogę z siłą elementarną, pod której technieniem wszystko do nowego się budziło życia.

W tych potężnych, małych rękach, Francya przetworzyła się w jednej chwili. Pierwszy konsul wprowadził się do pałaców królewskich, a obywatelstwo zostało usunięte. Gdy z zamku Luksemburg po lewym brzegu Sekwany przenosił się do Tuileryów i Luwru, akt ten dokonał się ze stylową wspałością ceremoniału isticie królewskiego. W ciągu kilku dni znikł zażyły ton z okresu rewolucyi; republikańskie formy życia towarzyskiego ustąpiły miejsca chłodnej, dworskiej atmosferze, która bardzo prędko zapanowała w salach Tuileryów. Nie mówiono już: obywatelu, obywatelko, zaczęto strzydz włosy i skrupulatnie zważać na strój. Nigdy żadna zmiana nie dokonała się tak nagle.

Republika została uznana przez mocarstwa Europy, z wyjątkiem jednej Anglii. Panował teraz rodzaj pokoju i chodziło jedynie o pozyskanie Anglii. Bonaparte, który zarówno wówczas, jak w ciągu całego życia, bardzo był daleki od zrozumienia Anglii i jej charakteru, postanowił zwrócić się z osobistym listem wprzód do króla Jerzego, próbując na swój sposób doprowadzić do pewnego zbliżenia się dwóch wielkich narodów.

Nadeszła odpowiedź sucha, w formie oświadczenia Pitta w parlamencie: Anglia wtedy dopiero podpisać może pokój, gdy Francya wróci do dawnych granic. Postanowienie niewdawania się w żadne układy z Napoleonem Anglia przeprowadziła

konsekwentnie i wytrwale, aż wreszcie zwyciężyła. I dlatego musiała w Europie trwać wojna, dopóki ten człowiek stał u steru.

We Francyi wszakże radość panowała i szczęście po utrapieniach republiki. Wielu emigrantów wróciło do kraju, więźnie zyskali wolność, a wygnańcy ulaskawienie; handel i przemysł, dzięki mądrym ustawom i praktycznym urządzeniom do niesłychanego doszły rozwoju.

---

Napoleon Bonaparte stale prowadził wojnę, a Anglia była tą, która podsycala płomień. Ilekroć państwo jakieś zostało doszczętnie pobite, Anglia zjawiała się z nowymi zasiłkami pieniężnymi i nowymi projektami koalicyi. Pierwsza koalicya polegała pierwotnie na zjednoczeniu Austrii, Bawaryi, Turcyi, Rosyi, Szwecyi, Danii i Anglii, które zarówno na morzu Niemieckiem jak Śródziemnem miały w pogotowiu floty na zgubę Francyi.

Jednakowoż pierwszemu konsulowi udało się znaleźć środek, którym natychmiast odsunął Rosyę od koalicyi. Od wojen republiki znajdowało się we Francyi i w jej twierdzach zagranicznych mnóstwo rosyjskich więźniów wojennych. Ich wszystkich kazał pierwszy konsul zaopatrzyć w rosyjskie mundury; co więcej mundury te i oznaki zastosowane były do rangi i regimentu każdego z więźniów. Cały ten orszak, złożony z kilkuset ludzi, wysłał w dobre zdrowiu do Rosyi, z pozdrowieniem dla cesarza Pawła I, zgola nie wspominając o uwolnieniu odpowiedniej liczby francuskich więźniów wojennych.

Był to może jedyny wypadek, że Napoleon trafnie wyrozumował, próbując z innymi władcami Europy postępować po koleżeńsku. Cesarz Paweł nie zważał tak bardzo na dystynkcyę rodu, a, oczarowany tą uprzejmością, został fanaty-



cznym wielbicielem Napoleona. Wycofał z Niemiec swe wojska, porzucił koalicję i wypędził z Petersburga wszystkich Anglików.

Nadto pierwszy konsul wysłał do Berlina swego przyjaciela i powiernika Duroca, późniejszego księcia Frioulu, a ten zdołał w mgnieniu oka tak bardzo koalicję rozdrobnić, iż pierwszy konsul mógł sam przejść Alpy i oswobodzić Włochy, które Austriacy byli odzyskali podczas jego bytności w Egipcie.

Olbrzymie zdumienie ogarnęło Austrię, a nawet świat cały, gdy generałowie Bonapartego ukazali się na równinach Włoszech północnych, przebywszy Alpy z armatami i wszelką potrzebną amunicją. On sam 2 czerwca 1800 r. wjechał w bramy Mediolanu jako oswobodziciel Włoch. Włosi nie posiadali się z zachwytu, ujrawszy go pośród siebie; chodzący bowiem pogłoski, że zmarł był w Egipcie. Tak więc druga wyprawa włoska zakończyła się jeszcze świetniej, niż pierwsza. To samo słońce świeciło nad francuskimi wojskami; tym razem jednak nie były to obdarte, bose bandy republiki, lecz najpiękniejsi żołnierze, jakich kiedykolwiek widziała Europa.

Przed każdą wyprawą zwykł był Napoleon — zwłaszcza będąc jeszcze młodym i smukłym — pelzać po podłodze wśród rozłożonych kart geograficznych i plany swe znaczyć kolorowemi szpilkami. A przyjaciel jego młodości, Bourienne, za pierwszych lat prywatny jego sekretarz, opowiada, że Bonaparte już w Paryżu zatknął był kolorowe szpilki dookoła równin Marengo i powiedział, że tu pobije Austryaków.

Z dywizjami Lannesa, Wiktora i Desaix ruszył 13 lipca ku wsi Marengo, by tam spotkać główną armię austriacką pod generałem Melasem. Na dzień następny jednak wydał Desaixowi rozkaz ruszenia nieco inną drogą, gdyż był niepewny, gdzie

spotka nieprzyjaciela. Nazajutrz wczesnym rankiem, owego sławnego 14 lipca 1800 r. Bonaparte znalazł się nagle naprzeciw znacznie liczniejszej armii austriackiej i natychmiast rozpoczęła się bitwa. Bezpośrednio wysłał gońców do Desaix; obliczył jednak, że potrwa parę godzin, zanim oddział Desaix zdoła na pole bitwy, by w niej wziąć udział.

Walka tem się rozpoczęła, że Austriacy zajęli wieś Marengo i odparli dywizję Wiktora, który cofnął się bezładnie. Bonaparte świadom, że wynik bitwy zależy od przybycia Desaix, czynił wszelkie możliwe usiłowania, by się jako tako utrzymać na placu ze swem lewem skrzydłem, gdy prawe skrzydło i środek cofały się przez całe przedpołudnie, wypędzane po kolei z każdego stanowiska przez znacznie silniejszych Austriaków. Napoleon szedł za nimi, a gdy korpus, przy którym on był, cofnął się o znaczną przestrzeń, zatrzymywał go ponownie, wołając do generała oddziału:—Uderzać, generale! Teraz będziemy się znów bili przez chwilę.

W ten sposób dociągnięto do trzeciej popołudniu i wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka, uważali walkę za straconą nieodwołalnie. Stary Melas, zmożony trudem, przytem otrzymawszy pewne obrażenia cielesne skutkiem upadku z konia, był już tak pewny zwycięstwa, że opuścił pole bitwy i przez Bormidę cofnął się do Aleksandryi, skąd wysłał do Wiednia kuryerów z wieścią o odniesieniu stanowczego zwycięstwa pod Marengo. Generałowi Zachowi porucił ścigać pobitego Napoleona.

Tymczasem była już godzina piąta. Bonaparte nie tracił nadziei, sam prowadził odwrot i znakomite swe wojska trzymał w takim porządku, że odwrot ani na chwilę nie przemienił się w ucieczkę. I nareszcie galopem przypędził Desaix z kilku adiutantami.

Generał Desaix wrócił był niedawno z Egiptu



i co rychlej przyłączył się do swego przyjaciela, Napoleona. Ci dwaj uchodzili wówczas w oczach armii za najpierwszych dowódców.

Gdy Desaix przygalopował nareszcie na pole bitwy, wyprzedził nieco swe wojska, pragnąc jak najspieszniej zetknąć się z naczelnym generałem; i obaj szybko się zgodzili, że bitwa w dawnych warunkach stracona.

— Zejdźmy z koni — rzekł Desaix—to zrobi wrażenie, że jesteśmy spokojniejsi.

Usiedli więc na ziemi i przyglądali się walce, w której przywozili i od której wyniku zależały losy ojczyzny. Obydwaj ci ludzie byli, mniej więcej, w tym wieku, kiedy my tracimy czas na egzaminach, drżąc przed kilku zasuszonymi i okurczonymi profesorami.

Desaix miał powiedzieć: „Kule mnie już nie znają, od czasu jak byłem w Egipcie“.

Francuscy oficerzy mieli specjalny sposób mówienia, ilekroć czynili aluzję, dotyczące ich śmierci lub przeczuc. To powiedzenie Desaix'a wszyscy uważali za dowód, iż czuł doskonale, co go czeka.

Nareszcie pierwsze oddziały Desaix'a skrzyły na równinę. Obaj generałowie podali sobie ręce i wskoczyli na konie. W pół godziny później kula armatnia strzaskała pierś Desaix'a, który padł trpem.

Pierwsze wojska korpusu Desaix'a, które wkroczyły do Marengo i pomściły jego śmierć, należały do dywizji generała Boudeta. We wszystkich wielkich bitwach, gdzie chodziło o wykonanie potężnego ciosu, musi być wymieniona dywizya Boudeta. Generał Boudet urodzony w r. 1769, już w r. 1794 zdobył Guadelupę. W r. 1807 pobił Szwedów pod Stralsundem, został hrabią i otrzymał wielkie posiadłości ziemskie na szwedzkim Pomorzu; prócz tego został rycerzem Danebrogu i został odznaczono-

ny wielkim krzyżem legii honorowej. Jego ludzie, a zwłaszcza artylerya były wzorem dla całej armii.

Te znakomite oddziały nadeszły więc w ostatniej chwili i jakby prąd elektryczny ożywiły całą nawpół rozbita armię. W oka mgnieniu zapomniano o znużeniu i odzyskano dawne pełne zaufanie do małego człowieka na białym koniu, którego przez cały dzień widziano jakby cofającego się przed wrogiem.

Do szeregów, które się znów zwały i kroczyły naprzód, zawołał:—„Pamiętajcie żołnierze, że jestem przyzwyczajony nocować na polu bitwy“.

Generał Zach na czele 5000 dobrych grenadyerów stanął naprzeciw oddziału Boudeta. Ale w odpowiedniej chwili generał Kellerman rozkazał swej kawaleryi wpaść cwałem między austriackich grenadyerów, którzy zostali roztrąceni i po większej części pojmani.

Od tej chwili Francuzi na całej linii rzucili się naprzód, przed wieczorem równina była w ich rękach, a generał mógł przenocować we wsi, z której wczesnym rankiem został wypędzony.

W ciągu nocy Berthier zawarł z Melasem w Aleksandryi układ, na mocy którego Francya odzyskiwała wszystko, co straciła była we Włoszech.

W ciągu stu lat tyle mówiono i pisano o tem, że bitwę pod Marengo wygrali właściwie Desaix i Kellerman. Mojem zdaniem jednak generał dowodzący tylko w ten sposób może odnieść zwycięstwo, że oficerzy spełniają jego rozkazy, utrzymują się na zajętem stanowisku i w oznaczonym czasie spełniają poruczone im obowiązki; wszak jeden człowiek z chwilą rozpoczęcia walki nie innego uczynić nie może. Bonaparte zwyciężył pod Marengo, ponieważ Desaix i Kellerman spełnili swój obowiązek, jak był z góry obliczył, Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo, ponieważ Grouchy nie spełnił swego obo-



wiązku i nie był tam, gdzie być miał, podług obliczeń naczelnego generała.

Służyło zresztą pod Napoleonem dwóch generałów Kellermanów: ojciec i syn. Starszy urodził się w r. 1735 w Badenie i żył do roku 1820. Już jako generał republiki wygrał na czele konnicy bitwę pod Valmy. Napoleon mianował go marszałkiem i księciem Valmy, często używając go jako komendanta twierdz, gdzie ćwiczą wojska.

Syn jego, hrabia Valmy, był generałem od bitwy pod Marengo. Później walczył głównie z Anglikami w Hiszpanii i Portugalii.

Trudno wyrobić sobie pojęcie o olbrzymim wrażeniu, jakie wywołało zwycięstwo pod Marengo. Przyszło ono niespodzianie, a było tak wspaniałe, że wszystkie klasy społeczne i wszystkie partje we wspólnym się połączyły tryumfie. Po otrzymaniu wieści o zwycięstwie, cały Paryż ogarnięty jednym porywem, urządził olbrzymią iluminację, a od owego dnia całe rządy, a właściwie cała Francja i jej losy dostały się w ręce tego jednego człowieka.

Od wygnanego króla pierwszy konsul otrzymał własnoręczne pismo.

„Oddawna musisz już Panie generale wiedzieć, jaki dla Pana żywję szacunek. Gdybyś jednak po wątpiewał o mej wdzięczności, to powiedz proszę, jakie stanowisko sam pragniesz zająć w państwie i czego życzysz sobie dla swoich przyjaciół. Co się tyczy moich zasad, to jestem Francuzem: z natury pobłażliwym, a będę nim jeszcze więcej, gdyż tak nakazuje roztropność.

Zwycięzca z pod Lodi, Castiglione i Arcole, zdobywca Włoch, nie może pustej sławy przenosić nad prawdziwy honor; to niepodobna! Tymczasem jednak trwonisz pan czas drogocenny. My obaj moglibyśmy Francji zapewnić szczęście; powiadam, my obaj, gdyż ja potrzebuję Bonapartego, a on nie może celu tego osiągnąć bezemnie. Panie generale!

oczy Europy zwrócone na Pana, honor czeka, a ja pałam niecierpliwością przywrócenia memu krajowi pokoju.

LUDWIK“.

Bonaparte odpowiedział całkiem sucho i szczerze:

„Mój Panie! Otrzymałem list Pański i dziękuję za zaszczytne dla mnie słowa. Niech pan jednak nie pragnie powrotu do Francyi: musiałbyś pan kroczyć po setkach tysięcy trupów. Złóż pan ofiarę spokojowi i szczęściu Francyi, zrzekając się własnych interesów, a historia będzie panu wdzięczna. Nie jestem nieczuły na nieszczęścia Pańskiej rodziny i chętnie pragnę się przyczynić do zapewnienia Panu spokoju i bezpieczeństwa w miejscu schronienia, które Pan wybrałeś.

BONAPARTE“.

To niemal naiwna poczucie wyższości musiało wywrzeć niezrównane wrażenie na Barbonie, który w chwili słabości tak głęboko się był upokorzył. A Bonaparte prawie sobie nie uświadamiał, jak bezczelnie zuchwałym list jego musiał się wydać w kołach, o których prawdziwem usposobieniu dla niego nigdy nie miał należytego pojęcia.

Jednakowoż w cieniu rozbitego królestwa i tej republiki, co tak szybko rozpadła się w gruzy, stało kilka postaci, które wspólną nienawiścią łączyły się przeciw temu jednemu, by świat uwolnić od tyrana. Odkryto dość wcześnie kilka zamachów i kilka sprzysiężeń, w które byli wmięszani starzy ludzie rewolucyi, oraz nazwiska, należące do partyi króla. Kilku usiłowało w przebraniu wślizgnąć się do Malmaison; inni chcieli go zasztytować w korytarzach Opery. Kilku niebezpiecznych robotników zaczęło fabrykować bombę; gdy jednak chcieli wypróbować materiał wybuchowy, huk po-



wstał tak straszny, że sami się przerazili, a policya wpadła na ich trop.

Jednakowoż plan mordu został szczęśliwie osnuty przed końcem 1800 r. i wielkie w Paryżu wywarł wrażenie. Było to sprzysiężenie kilku stronników partii królewskiej, z wielką przezornością i zimną krwią przygotowany zamach, który tylko dzięki przypadkowi został zniweczony.

W wilię Bożego Narodzenia Bonaparte i Józefina mieli w Operze wysłuchać oratorium Haydna: „Die Schöpfung“; było to uroczyste przedstawienie, mające zgromadzić cały Paryż. Tuż przed godziną siódmą kilku spiskowców przebranych za robotników ukazało się na drodze, ciągnąc taczkę, na której była beczka, napelniona prochem i kulami. Niby przypadkowo pozostawili taczkę na miejscu, której musiał przejechać powóz pierwszego konsula. Czas obliczono bardzo ściśle; lont był zapalony; wiadano, że konsul jest punktualny. Tymczasem furman Bonapartego podchmielił sobie przypadkowo tego wieczoru; szalonym galopem wjechał w ulicę i miał piekielną maszynę dwie lub trzy sekundy przed jej wybuchem. Pięćdziesiąt sześć osób otrzymało rany, a dwadzieścia dwie padło trupem; kilka domów rozsypało się w gruzy. W operze zaczęto już szeptać o zamachu, a gdy Bonaparte chłodny i spokojny ukazał się w swej łoży, wśród publiczności wybuchł nieopisany entuzjazm. Jego cudowne szczęście kazało go uważać za człowieka, na którym się spełniają cuda; w oczach wielu uchodził za wybrańca Opatrzności, a ten zamach olbrzymio się przyczynił do wywyższenia go w publicznej opinii.

Zachowawszy jednak podczas katastrofy i w Operze zwykły swój chłód i spokój, tem dokładniej polecił następnie zbadać pochodzenie zamachu, który najwidoczniej nie mógł być zbrodnią odosobnioną. Fouché, pragnąc ukryć, że nic o tem

wszystkiem nie wiedział, albo też chcąc się pomścić na dawnych wrogach, tej samej jeszcze nocy przedstawił listę, na której widniało 130 nazwisk starych rewolucjonistów. A chociaż podejrzenie Napoleona było raczej skierowane przeciw rojalistom, to jednak dał się unieść i owe 130 osób skazał na wygnanie do Cayenne, przeforsowawszy wpierw ustawę, która konsułom nadawała moc wydalenia z kraju ludzi podejrzanych.

Dn. 12 lutego 1801 r. Paryż otrzymał wiadomość o pokoju w Luneville, będącym owocem zwycięstwa pod Marengo i niemniej świetnego zwycięstwa Moreau'a pod Hohenlinden. Granice Francyi zostały rozszerzone, a wszyscy jej wrogowie upokorzeni. Tysiącami lud przeciągał w Tuileryach, wołając: „Niech żyje Bonaparte! Tańczono na ulicach, a orkiestra pierwszego konsula rozbrzmiewała balowymi dźwiękami przy odgłosie wiwatowych wystrzałów i trzaskania rakiet. Najwspanialsze przyjęcie wydał znów minister spraw zewnętrznych, Talleyrand.

Tu pierwszy konsul przyjmował wszystkie znakomitości Paryża: Francuzów i cudzoziemców. Dawne królestwo i rewolucye, stara szlachta i stara republika, nowa plutokracya, wojacy, uczeni, poeci, artyści i urzędnicy—wszyscy się tu zgromadzili, poraz pierwszy oddając hołd Napoleonowi Bonapartemu, jako pierwszemu obywatelowi Francyi i naczelnej głowie państwa.

Wszyscy, którzy czytali wspomnienia z owych czasów, znają zapach słońca i róż, unoszący się nad Malmaison. Później, po objęciu w posiadanie wielkich zamków Francuskich, wprowadzono większy przepych i wystawność; nie jednak nie zdołało zaćmić tych bajecznych dni w Malmaison na tym dworze, który nie był jeszcze niczem więcej, jak orszakiem wesółych młodych dam i panów, bawiących na wycieczce za miastem.



Pierwszy konsul, koło którego wszystko się obracało, nie był już chudym, posępnym generałem o żółtej, włoskiej cerze. Cała jego powierzchowność uległa zmianie. Jako młody oficer cierpiał bardzo na chorobę skóry, rodzaj złośliwego wyrzutu. Wyrzut ten pojawił się najpierw na rękach. Nabawił się go na wałach obronnych pod Tulonem, gdzie sam brał udział w ładowaniu i obsłudze armat. Ta naskórna choroba rozszerzyła się po całym ciele i była dlań wielką męczarnią. Wprawdzie stanowisko jego nie było jeszcze podówczas takie, by mógł zażywać najlepszej opieki, lub pozwolić sobie na tyle wolnego czasu, ile wymagało gruntowne wyleczenie choroby. Ale po pozbyciu się tej przykrej choroby, miał skórę marmurowo białą, jak cała jego rodzina i odtąd wielką przywiązywał wagę do starannego pielęgnowania skóry; często też o tem mówił.

Całemi godzinami zwykł był leżeć we wodzie tak gorącej, że inni ludzie zaledwie mogliby wetknąć do niej nogę. Kazał się też zlewać kolońską wodą, której ogromną zużywał ilość. Następnie wycierano mu silnie całe ciało i wkładano bieliznę i wąskie białe spodnie wszystko z najlepszego materiału i olśniewająco czyste. Nosząc uniform nie używał nigdy czego innego prócz błękitnego lub zielonego munduru gwardzystów z zielonymi wyłogami; później nosił strój dworski i fantastyczne szaty cesarskie.

Był teraz pięknym, dobrze zbudowanym mężczyzną, o drobnych, silnych stopach, jasnej twarzy o czystych liniach, subtelnych ustach z białymi lśnącymi zębami — co było familijnym rysem Bonapartów. Tak wyglądał, biorąc czasem udział w ich zabawach, lub też biegając w zawody z Józefiną i innymi młodemi damami po ogrodzie w Malmaison. Nie lubił jednak, by go ktoś przegonił, a wpadał w gniew, gdy się potknął i białe spodnie poplamiał zielenią trawy.

Wówczas należało zachować powagę, a młoda, rozbawiona gromadka, potajemnie krztusząc się od śmiechu, nie wiedziała co z sobą począć. Był bowiem niebezpieczny w chwili uniesienia, a nikt, nawet Józefina nie mogła wiedzieć, jak daleko wolno się z nim posunąć w żartach.

Po wsze czasy, nawet w młodości swej, Napoleon trudny było w obcowaniu z ludźmi. Nigdy nie czytałem, by się był śmiał; prawdopodobnie nawet nie umiał. Opowiadają jednak, że jeden jego życzliwy uśmiech mógł leczyć rany, a człowiek, obdarzony uśmiechem Napoleona, szedł za nim w ogień. Nigdy jednak śmiechu, nigdy wybuchu wesołości; zawsze ten sam styl marmurowy z silnie zaciętymi ustami, gotowemi do wydawania rozkazów, lub przerażania ludzi na śmierć głosem, nie mającym równego sobie. Nigdy człowiek nie był wobec niego pewnym swego losu.

Malarz Isabey był żywym, zgrabnym chłopcem, skorym do figlów, jak całe to towarzystwo. Pewnego przedpołudnia przechodził przez puste pokoje — wszyscy byli właśnie przy śniadaniu — i dopiero w oranżeryi ujrzał młodego człowieka, którego wziął był za Lucyana Bonapartego. Isabey zbliżył się ostrożnie na palcach i, rozpędzwszy się nagle, jednym skokiem przesadził siedzącego mężczyznę. Odwróciwszy jednak tryumfujący wzrok, spotkał się ze strasznem spojrzeniem pierwszego konsula.

Mały malarz pomknął co sił ogrodem, wpadł do lasu i dużo minęło czasu, zanim się ośmielił wrócić, a jeszcze więcej, zanim zdarzenie to powierzył swym towarzyszom. Pierwszy konsul zachowywał się, jakgdyby nie nie zaszło.

Przenigdy Napoleon nie poddał się wesołemu nastrojowi przy kieliszku lub rozmowie. Jadł tak szybko, że nikt nie zdołał się przez ten czas nasyć, a młodzi oficerzy klęli w duchu, widząc go



wstającego od stołu, gdy na szarym końcu zaledwie zdołano spożyć zupe. Wypijał kilka kieliszków swego czerwonego wina, a podczas wypraw trochę wódki; nigdy jednak nie słyszałem, by kiedykolwiek wznioł był kieliszek w uroczystym nastroju, a tem mniej, by wino poszło mu kiedy do głowy. Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że posiadał uśmiech wprost cudowny.

Pewnego wieczora siedzieli na wyspie św. Heleny i, jak zwykle, mówili o dawnych czasach. W toku rozmowy Las Cases zauważył: „Nie rozumiem, dlaczego Jego Cesarska Mość nie zatrzymał szpady Fryderyka Wielkiego, mając ją już w ręku?”

„Miałem przecież własną“ odparł cesarz tonem spokojnym i łagodnym, przedziwnie się uśmiechając; pociągnął mnie przytem za ucho, nie sprawiając mi jednak bólu—opowiada Las Cases.

Napoleon miał już taki zwyczaj, że, rozmawiając z którymś z generałów, lub z jakimkolwiek sympatycznym mu człowiekiem, chwycił go za ucho i w ciągu rozmowy coraz silniej je szczypał. Sporo też potrzeba było zimnej krwi do zachowania spokoju. Bo palce jego dość były niebezpieczne.

Bonaparte był niszcycielem — z charakteru i z przyzwyczajenia. Syczorykiem kłuł kosztowne krzesła, wszędzie dlań poustawiane. Papieru niszczył ogromne masy. Gdy brał do ręki coś delikatnego lub subtelnie wykonanego, wszyscy byli pewni, że odłoży przedmiot ten uszkodzony lub złamany. W oranżeryach wyrwał z korzeniami najcenniejsze rośliny, a ilekroć mógł to czynić niepostrzeżenie, strzelał do rzadkich ptaków Józefiny w Malmaison.

Strzelać zresztą nie umiał i właściwie niewiele sobie też robił z polowania. Ponieważ jednak zajęcie to uchodziło za rozrywkę królewską i wielki istniał do tego aparat, więc zabierał swych marszałków na wielkie polowania w lasach Fontainebleau, gdzie wojownicy ci przyzwyczajeni do świstu

kul ponad ich głowami, strzelali na chybił trafił, ku ogromnemu przerażeniu prawdziwych myśliwych i starych dworzan. Raz się zdarzyło, że cesarz trafił w oko Massenę, księcia Riwoli, który też stracił oko. Nie mówiono jednak o tem, a winą spadła na Berthiera—prawdopodobnie dlatego, że był wielkim łowczym.

Dopóki byli w Malmaison, udawało się jeszcze wdziękowi i uprzejmości Józefiny rozpraszać chłód, który później stale cesarza otaczał. Mieli tutaj, jak zwykle zakochane małżeństwo, wspólną sypialnię i wszystkie chwile, w których Józefina mogła go oderwać od spraw publicznych, spędzali razem. Co prawda, chwil tych było niewiele, lecz trudno też wierzyć, ile człowiek ten zdołał zdziałać w owych latach.

Natomiast wesołe jego siostry, młode żony generałów i najpiękniejsi oficerowie armii grali komedye, urządzali przedstawienia, tańczyli i wzajem się potrosze oszukiwali w miłości, co jednak nikogo zbytnio nie uszczęśliwiał. Sam Bonaparte dowiedział się w Egipcie brzydkiej historyi o Józefinie, powierzonej mu przez głupca, Junota, w przykopach Acre'u. Ponownie go jednak zdobyła i wrócił w jej objęcia, a wszystko zostało zapomniane i wybaczone.

Jedyną osobą, której brakowało przez pewien czas w wesołej gromadce, była czarująca Paulina, siostra pierwszego konsula. Towarzyszyła ona w roku 1801 swemu mężowi, generałowi Leclerc w wyprawie do San Domińgo.

Podczas rewolucyi bowiem murzyni francuskiej kolonii Haiti potrafili się wyzwolić, a murzyn Toussaint Louverture stanął na czele republiki, urządzonej przez murzynów na wzór paryskiej. Bonaparte powierzył wyprawę na czele doskonałej floty swemu szwagrowi, Leclerc, z poleceniem, by w spo-



sób najbardziej pokojowy zaprowadził porządek w kolonii.

Przedsięwzięcie to jednak zupełnie się nie udało. Nieszczęściem był już sam fakt, że z chwilą przybycia floty francuskiej, Toussaint Louverture wyjechał do Francji. Był on człowiekiem dość rozsądnym. Po jego wyjeździe, Leclerc, nie uniejący nawet wśród własnych oficerów utrzymać porządku, zetknął się z dzikim generałem murzynów, Chrystofem, który natychmiast rozpoczął dzieło buntem i pożogą. Wybuchła zaraza. Leclerc padł jej ofiarą, a jego następca, generał Rochambeau, który później zginął pod Lipskiem, był człowiekiem twardym. Dał on się przez francuskich właścicieli plantacji skłonić do okrutnej, niszczycielskiej wojny z murzynami. Wywiedziono ich w morze i potopiono; gończy mi psami wypędzono ich z Kuby. Wyprawa całkowicie się nie powiodła, a Francja utraciła kolonię.

Paulina natomiast, nietknięta przez zarazę ni grozę wojny, wróciła do Paryża jako wdowa, bardziej czarująca, niż kiedykolwiek i gotowa dawne rozpocząć życie.

W owych latach stosunkowego pokoju, pierwszy konsul ustawicznie się zajmował planami, skierowanymi przeciw Anglii, gdyż z tem mocarstwem wojna wcale nie ustawała. Czynił olbrzymie przygotowania wojenne na lądzie i wodzie, w północnej Francji, nad kanałem, a przede wszystkim w Buloonii.

Równocześnie jednak pracowali w Londynie na swój sposób Burboni i emigranci. Przygotowywali mianowicie nowe sprzysiężenie, którego celem była napaść na pierwszego konsula podczas jednej z jego wycieczek do St. Cloud lub Malmaison. Straż przyboczna strzegąca powozu miała zostać ujęta, a Bonaparte zamordowany podczas utarczki.

Uważali oni to raczej za walkę, niż za zwykłe skrytobójstwo. Głową spisku uczynili starego

przywódcę, Jerzego Cadoudal z Wandei, której ludność odznaczała się zawsze fanatyczną wiernością dla królewskiego rodu. Cadoudal stale się domagał, by mu przydano do boku jednego lub dwóch książąt francuskich; istniał bowiem zamiar powołania napowrót Burbonów, natychmiast po usunięciu z drogi Napoleona. Liczono na pozyskanie wojska, które generał Moreau do nowych miał prowadzić zwycięstw. Spiskowcy mieli nadzieję, że generał ten — jakkolwiek daleki od sprzyjania Burbonom — chętnie się do nich przyłączy, ponieważ w ostatnich czasach żył w jawnej niezgodzie z Napoleonem.

Generał Moreau, ur. w 1761 r., już za czasów republiki okrył się był sławą. Jego odwrót z Holandyi, gdy Jourdan jak zwykle został pobity, uchodził i dotąd uchodzi za arcydzieło sztuki wojennej; a od śmierci Desaix współcześni uważali go za największego obok Napoleona. W krótkim przeciągu czasu odnieśli też obaj wspaniałe zwycięstwa: Bonaparte we Włoszech pod Marengo, a Moreau w Niemczech pod Hohenlinden.

Gdy jednak przez pewien czas krążyła wieść, że Moreau ożeni się z Pauliną Leclerc, nagle pojawił się on za żonę jakąś pannę Hulot i od tego czasu datuje się jego rozbrat z Napoleonem. Bo żona, a bardziej jeszcze jej matka, tak go zdołały podburzyć przeciw Napoleonowi, że celem i nieszczęściem jego życia stało się strącenie Bonapartego i zajęcie jego miejsca.

Pozyskanie generała Moreau spiskowcy poruczyli jego towarzyszowi broni i współrówieśnikowi, generałowi Pichegru, który, aczkolwiek stary republikanin, przyłączył się w Londynie do planu Burbonów i udał się do Paryża, aby wspólnego wroga zamordować. Teraz chodziło o urządzenie spotkania Moreau'a z Pichegru'em i o skłonienie Moreau'a, dzielącego nienawiść Pichegru'a do Bonapartego, by przystąpił do spisku.



W sierpniu 1803 r. wyjechał z Londynu Cadoudal, mając w pasie zaszyte milion franków w czekach do angielskiej kasy państwowej. Posługując się liną przemytników, wylądował wśród zasp piaszczystych w Biville i, dzięki umówionym znakom, potajemną drogą przedostał się do Paryża, gdzie począł gromadzić ludzi pewnych, mających wziąć udział w napaści, nadto starać się o ich umundurowanie, konie i broń, ażeby wszystko było w pogotowiu.

Inni tymczasem starali się o ułatwienie spotkania Moreau'a z Pichegru'em. Moreau z wielką serdecznością wyrażał się o dawnym towarzyszu broni, oświadczając gotowość uczynienia wszystkiego, co tylko w jego mocy, dla zniesienia wyroku, którym Pichegru został w 1797 r. skazany na wygnanie do Cayenne. Pradopodobnie musiał też dość ostro mówić o Bonapartem.

Pośredniczący w tej sprawie generał Lajolais wynioskował z tego z całą stanowczością, że Moreau jest gotów przyłączyć się do spisku. Co śpieszniej udał się przez Hamburg do Londynu i tak gorąco zapewniał o rozgoryczeniu Moreau'a na Bonapartego, że wszyscy emigranci wprost się nie posiadali z zachwytu, a nawet hrabia Artois, późniejszy król Karol X skompromitował się na całe życie, biorąc udział w zebraniach, na których postanowiono morderstwo głowy państwa.

W ostatnich dniach 1804 r. Pichegru z kilku członkami najwyższych rodzin francuskich — w ich liczbie braci Polignac — przez kanał dostał się do Paryża. Nieco później Lajolais doprowadził do skutku spotkanie generałów Moreau'a i Pichegru'a nocną porą, na pustym bulwarze Magdaleny.

Starzy przyjaciele nie opanowali jeszcze wzruszenia, wywołanego spotkaniem wśród podobnych warunków, gdy nagle wystąpił Jerzy Cadoudal, brutalnie mieszając się w ich rozmowę. Moreau

w tejże chwili zlodowaciał. A w późniejszych zebraniach coraz więcej występowało na jaw, że Moreau pragnie pracować dla siebie, przynigdy zaś dla Burbonów.

Było to największem i głównem rozczarowaniem, które tak zniechęcająco podziało na najlepszych wśród spiskowców, iż wielu z nich postanowiło zaniechać wszystkiego i opuścić Paryż.

Ale w tejże samej chwili rozpoczęły się areztowania.

Fouché, nie będąc podówczas ministrem policyi, niemniej weszyl wszędzie na własną rękę. Real, urzędnik, którym się Bonaparte często posługiwał, stał na czele policyi Paryża; nie jednak o spisku nie wiedział. Właściwie bowiem sam konsul wpadł był pierwszy na trop sprzysiężenia.

Napoleon, będąc konsulem, a jeszcze więcej za swych rządów cesarskich, znaczną część czasu używał na czytanie wszystkich możliwych raportów policyjnych, dokładnie obznajamiając się z wynikami czynności szpiegów, które mu codziennie przedstawiano. A właśnie w tych dniach, gdy przygotowywano wielkie skrytobójstwo, Napoleon zabawiał się wystrychnięciem na dudka angielskiego ambasadora w Monachium. Pierwszy konsul wiedział mianowicie, że ambasador ów przyrzekł 50,000 funtów za czarny portfel z prywatnego pokoju Bonapartego. Dlatego gorliwiej, niż kiedykolwiek, konsul odczytywał mnóstwo raportów o podejrzanych osobach, listy nazwisk cudzoziemskich i krajowych, ludzi, którzy zniknęli lub zostali zatrzymani; a z tej wielkiej liczby wybrał pięć nazwisk, których sprawę oddał śledztwu sądowemu.

Okazało się, że i w tym wypadku miał bystry wzrok; z podanych pięciu ludzi, tylko dwóch uwolniono jako niewinnych, dwom dowiedziono zdrady stanu i rozstrzelano, nie wydobywszy z nich żadnego wyznania. Piąty natomiast wyznał, że należy do



ludzi Jerzego Cadoudala, z którym przybył z Anglii przez wydmy piaskowe w Biville. Równocześnie po nocnej walce między przemytnikami a urzędnikami cłowymi na wybrzeżu, znaleziono kawałek papieru, który służył był za kapsułkę przy naboju, a na papierze tym odczytano nazwisko: Troche. Okazało się, że było to nazwisko młodego człowieka, który spiskowcom, przybyłym z Londynu, dzięki pomocy przemytników, służył był za przewodnika do Paryża.

W ten sposób odkryto pierwsze nici sprzysiężenia.

Następnie odkryto, że generał Moreau był w sprawę tę zawikłany. Natychmiast go uwięziono, a niezadługo osadzono w rozmaitych więzieniach 45 ludzi, wśród których jednak nie było jeszcze żadnego przywódcy.

Po uwięzieniu Moreau'a natychmiast się rozległy krzyki, że w tak podły sposób Napoleon pragnie się pozbyć jedyne go współzawodnika. Bo w oczach wojska i narodu Moreau stał tak wysoko, że nie zdołano go sobie wyobrazić jako pomocnika rojalistów, figurującego wśród nazwisk, na które padało podejrzenie.

Teraz dopiero Bonaparte zawrzał gniewem i cała jego wściekłość skierowała się przeciw rojalistom, bo sądził, że z ich strony na lepsze zasłużył był postępowanie. Od tego czasu żadnego też nie szczędził środka, w celu odkrycia przywódców i dowiedzenia wobec całego świata, że chodzi tu o niebezpieczne sprzysiężenie rojalistów na pierwszego człowieka Francji.

Uwięzieni bowiem stanowczo obstawali przy twierdzeniu, że działają wspólnie z przedstawicielami najpierwszych rodów francuskich i że książę krwi — sądzili, że nim jest książę Berry — ma przybyć do Paryża, o ile już nie przybył.

— Generałowi Moreau wybaczę — oświadczył

Bonaparte, lecz pierwszego Burbona, który mi wpadnie w ręce, każe rozstrzelać.

Wysłał sędziego Reynier'a do więzienia, gdzie Moreau był uwięziony, w celu wysłuchania zeznania generała i przywiezienia go do Tuileryów.

Sędzia jednak zachowywał się tak niezręcznie, że Moreau nie domyślił się dobrych względem niego zamiarów, a nie wiedząc, że inni wszystko już niemal zdradzili, wypierał się współudziału, rozmaitych używając wykrętów.

— Dobrze — powiedział Bonaparte — niechże więc staje przed sądem.

Ponieważ odkrycie w Paryżu Pichegru'a, Cadoudala i innych przywódców spisku okazało się niemożliwością, więc wydano ustawę wyjątkową, na mocy której wszyscy, udzielający im schronienia, mieli być karani śmiercią, zaś ludzie, wiedzący o ich miejscu pobytu, a nie wydający ich władzom — sześćioletnią pracą na galerach.

Pichegru przemykał się ukradkiem, nieszczęśliwy, że dostał się do podobnego towarzystwa. Jedną noc spędził u ministra Marbois, z którym swego czasu został razem skazany na wygnanie. Napoleon tak dobrze rozumiał tę usługę przyjacielską, że, dowiedziawszy się o niej później, nie pociągnął za nią ministra do odpowiedzialności.

Nakoniec znalazł się człowiek, który za sto tysięcy franków zdradził Pichegru'a i wydał klucze do mieszkania, gdzie sam był generałowi udzielił schronienia. Agenci policyjni wtargnęli w nocy i zabrali leżące przy łóżku pistolety, lecz olbrzymiej siły generał walczył z nimi w koszuli, zanim się pozwolił związać i odrowadzić do więzienia.

Następnie ujęto braci Polignac, Riviere'a, a na ostatku Cadoudal'a. Przejeżdżał właśnie małym powozikiem jeden z dalszych bulwarów, gdy został powstrzymany przez dwu policyjnych agentów; je-



dnego zastrzelił na miejscu, a drugiego ranił, lecz lud nie pozwolił mu umknąć. Cadoudal wcale nie ukrywał z jakim zamiarem przybył do Paryża: został rozstrzelany, lecz nie próbował prosić o łaskę.

Dopiero po uwięzieniu Cadoudal'a i Polignac'ów zmienił się nastrój ogólny i naród z przerażeniem zrozumiał, że sama królewska rodzina współdziałała w planie zamordowania oswobodziciela ojczyzny.

Na nieszczęście Bonaparte takim teraz zawrzał gniewem, że nie mógł poprzestać w poszukiwaniach, dopóki nie natrafił na ślad samych Burbonów. Nawet Pichegru'emu chciał wybaczyć i wysłać go jako gubernatora do Tayenne, by tam zorganizował kolonię; dla rodziny królewskiej natomiast nie znalazł łaski.

Pewnego dnia, przeglądając z Talleyrandem i Fouché'm listę członków rodu królewskiego, usłyszał o księciu Enghien, którego znał tylko z nazwiska. Natychmiast otoczył go siecią szpiegów, którzy donieśli mu bardzo rychło, że młody książę żyje w pobliżu granic Francyi, bliżej, niż inni emigranci, w miasteczku Ettenheim w Baden, że nieraz przez kilka dni rządu bywa nieobecny i przyjmuje ludzi podejrzanych. Przy tej sposobności zostało wymienione nazwisko, przez pomyłkę wzięte za nazwisko jednego z generałów republiki: Dumouriez'a, który, popełniwszy zdradę stanu, uciekł był do Anglii. Jedno i drugie doskonale zgadzało się z tem, co zawsze twierdzili uwięzieni spiskowcy: że podczas ich zebrań od czasu do czasu pojawiał się dystygowany młodzieniec, któremu przywódcy szczególnie okazywali szacunek.

Otóż pierwszy konsul miał przekonanie stanowcze i nieprzeparte, iż natrafił na ostatnie ogniwo spisku. Wysłał generała Ordenera w celu zaareztowania w Ettenheim księcia Enghien, a równocześnie wyprawił na dwór badeński swego najdosłojniejszego ambasadora, hrabiego Coulaingcourt,

z prośbą o wybaczenie za naruszenie granic państwa. Przez osiem dni Bonaparte zajmował się wyłącznie tą jedną sprawą i w taką się wprawił irytację, że żadna moc na świecie nie mogłaby go powstrzymać.

Nieszczęśliwy młody książę, najprawdopodobniej niewinny, został ujęty w łóżku, przywieziony do Paryża i po najkrótszem postępowaniu sądowem, wczesnym rankiem, bez miłosierdzia, rozstrzelany w Vincennes.

Zdarzenie to wywołało wśród współczesnych oburzenie, jakiego niepodobna sobie wyobrazić, a ten niesprawiedliwy i porywczy akt gwałtu jest chyba najgorszym z czynów, zarzucanych Napoleonowi. Stanowił też refren wszystkich paszkwilów, jakimi go obrzucali wrogowie.

Przedewszystkiem należało sobie uświadomić, co w owych czasach znaczył książę krwi; był on ostatnim z domu Kondeuszów, blisko skoligaconym z Burbonami; należał do najwyższych rodów książęcych Europy. Przytem cała Europa zaczęła już była mówić o korsykańskim potworze, krwiożerczym tyranie i t. p.; łaknięto więc czegoś do podsyćenia żółci i nienawiści.

Paryż był jakby rażony piorunem. Czegoś podobnego nie przeżywano od czasu rewolucyi, a nawet i wówczas nie zdarzył się taki wypadek. Wszystko dokonało się tak szybko, że z początku nie wiadzano nic po nad to, że z zagranicy gwałtem przywleczono księcia i niemal bez śledztwa rozstrzelano na mocy sądu wojennego. A jakkolwiek dwie trzecie ludności paryskiej nie wiedziały, kim był ów książę Enghien, to jednak strach paniczny ogarnął wszystkich na wieść o wyroku śmierci, spełnionym nocną porą, bez sądu przysięgłych.

Całe Malmaison było wzburzone. Pani Remusat i wszystkie damy zdrętwiały z przerażenia, a Józefina z łkaniem rzuciła się mężowi na szyję:—Po-



sluchaj mnie, Bonaparte! jeśli każesz rozstrzelać swego więźnia, sam pójdziesz pod gilotynę, tak samo, jak mój pierwszy mąż; a tym razem i mnie zabiorą.

Fouché w swej złośliwości był zadowolony:

— To szczęście—mówił— bo zacząłem się już obawiać, że ten mały Bonaparte zadowolni się takim stanowiskiem, jak szkocki generał Monk.

Mniej więcej tak samo myślał też Bernadotte. Zacierał ręce, wołając:—Mamy go nareszcie!—Sądził, że pierwszy konsul ośmielił się na krok zbyt ryzykowny i oto nadeszła chwila strącenia go z godości.

Talleyrand zrobił sławny dowcip:—To więcej, niż zbrodnia, to błąd.

A afektowany Lucyan Bonaparte wpadł do sypialni swej żony, wołając:—Aleksandryno, uciekajmy! on zakosztował krwi.

Miał on tylko jedną rolę: szlachetnego republikańczyka i dlatego brat jego musiał być łaknącym krwi tyranem. Sądu bardziej niesprawiedliwego, niż go własni bracia wydali o Napoleonie, niepodobna sobie wyobrazić!

Napoleon nie był bowiem ani okrutnym, ani żądnym krwi. Prowadził krwawe rzemiosło wojownika i wykonywał je jako mistrz niezrównany; wszelako bez okrucieństwa, cechującego niemal wszystkich wojowników, których sławą plugawiono w młodości jego studia. Jeśli w tym wypadku siłą gwałtu uwolnił się od wroga, to była w tem poniekąd zemsta rodzinna; gdyż inni Burboni nasylali mu skrytobójców, we własnym jego kraju otaczając go niebezpiecznymi bandytami, których zamach został tym razem udaremniony, dzięki całemu łańcuchowi przypadków.

A co się tyczy młodzieńca, który padł ofiarą, to należał on do rodu, którego głęboka degeneracja jasną jest dla nas—ludzi nowoczesnych.

Wielki geniusz wojenny który się był raz jedyny objawił w tej rodzinie w osobie wielkiego Kondusza, inne następnie przybrał formy. Oblędy i mania samobójstwa nawiedzały później tę rodzinę; jeden z przodków księcia Enghien podczas oblężenia Belgradu strzelał z bezpiecznego miejsca do straży i innych ludzi, ukazujących się na wałach, a gdy osiadł w Paryżu, Ludwik XIV trzykrotnie go musiał ulaskawiać, gdyż z okien swego pałacu strzelał do robotników, pokrywających sąsiednie dachy, by mieć przyjemność patrzenia, jak spadają na bruk. Czegoś podobnego nie mówiono, co prawda, o młodym księciu Enghien, lecz był jeszcze młodzieńcem, gdy nic jego żywota została przerwana.

Napoleon do ostatniej chwili bronił tego czynu, jako koniecznego dla bezpieczeństwa państwa; całą winę wziął też na siebie, a w testamencie swym powiada, że w podobnych warunkach postąpiłby zupełnie tak samo.

Jakkolwiekbyśmy się na kwestyę tę zapatrywali, rojalistom i rodzinie królewskiej napędziła ona zbawiennego strachu. A sprzysiężenie to i wszystko, co z niem pozostaje w związku, wytworzyło w narodzie nastrój, który wymagał i wytworzył też cesarstwo, oraz dynastyę dziedziczną, jako jedyny środek, zabezpieczający przyszłość kraju.

---



### III.

W maju 1804 r. Napoleon Bonaparte został przez przedstawicieli narodu obrany cesarzem Francyi, a rodzinie jego przyznano prawo dziedziczości tronu.

Pierwsze, o czem pomyślał jako cesarz, było wojsko. Wspaniałe uznanie i podzięka wyrażone zostały zarówno starym generałom, którzy zajmowali już wysokie stanowiska na początku własnej jego karyery, jak również młodym, którzy w jego rękach stali się chlubą Francyi i postrachem dla Europy.

Wśród pełnego okazałości ceremoniału zamianował osiemnastu generałów marszałkami cesarstwa, nadając im olbrzymie dotacje w posiadłościach ziemskich i pieniądzech. Wśród starych generałów było kilku takich, których zasługi błędną w porównaniu z czynami młodszych kolegów; jednakowoż na tem polegał właśnie jego zamiar i sztuka, iż żywiły stare i nowe usiłował tak zjednoczyć, by własna jego anormalna karyera nie rzucała się w oczy zbyt jaskrawo. Oto nazwiska sześciu starych: Perrignon, Serrurier, Brune, Jourdan, Kellerman i Lefèvre. Później: Augereau, Soult i Massena.

Nowymi natomiast byli: Bessières, Davoust, Moncey, Mortier, Ney, Lannes, Bernadotte, Berthier i Murat. Niemal wszyscy doszli później do godności książąt, otrzymując tytuły od bitew wygranych.

Kleber i Defaix, przed wszystkimi innymi godni laski marszałkowskiej, padli byli poprzednio na polu walki.

Następnie uwolnił cesarz przeważną liczbę uwięzionych spiskowców. Tylko Cadoudal i dwunastu innych zostali rozstrzelani. Generał Picbegrz zadusił się w więzieniu własną chustką.

Moreau został skazany na dwa lata więzienia; kara ta jednak została na prośby jego żony zamieniona na przymusowy wyjazd do Ameryki Północnej. Zakupił tam posiadłości w Delaware i żył w spokoju i zaciścu, aż wieść o wyprawie Napoleona do Rosyi nową go napęliła nadzieją co do urzeczywistnienia jego ambitnych marzeń. Powrócił do kraju w r. 1813, by znaleźć śmierć pośród wrogów Francyi.

Napoleon zakupił jego posiadłość we Francyi, Gros-Bois i darował ją Berthier'owi; zaś jego hotel w Paryżu otrzymał Bernadotte. Był to ten sam dom przy ulicy Anjou, z którego ogrodu jeszcze Napoleon III posyłał gruszki owdowiałej królowej szwedzkiej Dezyderyi.

Król Ludwik XVIII daleki był teraz od owego nastroju, który podyktował mu ongi do generała Bonapartego słowa: *my obaj etc...* W najwznioślejszych słowach protestował obecnie przeciw przywłaszczycielowi etc. Napoleon kazał proklamacyę królewską ogłosić w *Monitorze*. To było całą jego odpowiedzią.

Cesarz tymczasem, tak samo jak za czasów swego konsulatu, obmyślał olbrzymie plany utwierdzenia całego tego nowego ładu, rozpierającego się wbrew nienawiści całej Europy.

Przez całe życie, ni we dnie, ni w nocy nie



miał on spokoju od Anglii. Doprowadził wprawdzie do tego, że kontynent miał w swojej dłoni; Anglię—nigdy. A chociaż ostatecznie Rosya go powaliła, to był to przecież tylko pozór. Uległ potędze *Old England*, pozbawionemu gustu Albionowi, kołysce wolności.

Dn. 8 lipca cesarz opuścił St. Cloud, by przeprowadzić inspekcję ogromnych sił zbrojnych, którymi zagrażał Anglii; właśnie w obliczu tych wojsk i floty urządził w Bulonii wielką uroczystość, podczas której stworzył order legii honorowej.

Na szerokiej równinie rozłożyło się 100,000 doskonałych żołnierzy pod wodzą marszałka Soult'a, a flota—mniej świetna—rozłożyła się w pobliskich portach. W otoczeniu swych braci i nowych marszałków, Napoleon złożył przysięgę na nowy order, a wszyscy powtarzali za nim słowa przysięgi w niezapomnianej chwili entuzjazmu.

Przez trzy miesiące objeżdżał Francję północną, a 12 października, wrócił przez Akwisgran i Moguncję, by się zająć przygotowaniami do koronacji własnej i Józefiny. Była ona tak samo wystawna i nudna, ale może jeszcze wspanialsza, niż za czasów dawnych królów. Stanowiło to jego punkt honoru: wszędzie przewyższać wszystkich panujących.

Sam papież przybył z Rzymu i pobłogosławił jego i Józefinę w kościele Notre-Dame. Gdy jednak pobożny dostojnik Kościoła wypowiedział błogosławieństwo nad leżącymi przed nimi koronami, Napoleon, nie czekając na część dalszą, ujął jedną koronę i sam ją sobie włożył na głowę, drugą zaś ozdobił głowę Józefiny, klęczącej przed ołtarzem.

Większej niespodzianki nigdy świat nie przeżył.

Uroczystości były nad wyraz wspaniałe i wystawne, lecz wielu starych generałów, a także młodzi marszałkowie drwili z mnóstwa szat księżych i wszystkich tych kadzidel.

Wykonanie wyroku śmierci na księciu Enghien i naruszenie granic kraju w Baden, zerwały wszelką łączność dworów europejskich z Paryżem, powołując do życia nowy sojusz przeciw Napoleonowi.

Cesarz raz jeszcze napisał rozumny list do swego brata, króla Anglii. Skutek był ten sam, co poprzednio; chłodno—odmowna odpowiedź ministerstwa.

Dn. 2 kwietnia 1805 r. udał się Napoleon z cesarzową do Medyolanu, gdzie włożył sobie na głowę starą żelazną koronę lombardzką i kazał się ukoronować na króla Włoch. W całych Włoszech i Francyi wydawano uroczystości i entuzjazm pannaowały niebywały, gdziekolwiek ukazała się para cesarska. W lipcu znów wrócili do ulubionego zamku Napoleona, w Fontainebleau.

Tymczasem pracowały gorliwie wszystkie gabinety Europy i gdy we wrześniu Napoleon znów był w Bulonii, by odbyć generalną próbę odbicia floty, Austriacy pod dowództwem generała Macka wtargnęli do Bawaryi.

Cały korpus marszałka Soult'a był już odpłynął flotą. Równocześnie z wieścią o wkroczeniu Austriaków, dowiedział się też Napoleon, że admirał Villeneuve, któremu poruczył był wyładowanie w Anglii i którego lada chwila oczekiwał na kanale, pozwolił się wcisnąć do hiszpańskiego portu, gdzie go natychmiast zamknęli Anglicy. Napoleon miał pierwotnie zamiar powierzenia dowództwa admirałowi Latouche-Treville, jedynemu z francuskich admirałów, posiadającemu pewne zdolności. Na nieszczęście admirał ten właśnie był umarł.

Hrabia Daru, generał-intendent armii, człowiek bardzo bliski Napoleonowi w życiu prywatnem, przybył właśnie w dniu otrzymania tych wieści do namiotu cesarza w obozie koło Bulonii. Cesarz przechadzał się w najwyższem wzburzeniu.

— Daru! siadaj pan i pisz—powiedział.



I w ciągu jednego przedpołudnia zmienił swe długie żmudne plany. Armii, skierowanej ku Londynowi kazał niezwłocznie zawrócić i ruszyć na Wiedeń. Jednym tchem podyktował plany wyprawy, zakończonej bitwą pod Austerlitz. Każdemu korpusowi armii wykreślił marszrute; z Hanoweru i Holandyi, z Włoch i Francyi południowej przepisane były wszystkie marsze dzienne i naznaczone wszystkie punkta spotkania, gdzie oddziały miały się z sobą łączyć.

Plan ten był tak dokładny, że odbyto marsz trzysto-milowy na Wschód, a nie okazała się potrzeba najmniejszej zmiany, ni zboczenia od linii wykreślonej. Wojska dostały się do miejsc wyznaczonych i cały plan został wykonany z największem powodzeniem.

Niewiadomo co sądzić, słysząc opowiadania ministra policyi Fouché: Wszystkich szpiegów austriackich przekupiono znacznie łatwiej, niż można było przypuszczać. Największa część była już przez nas przekupiona we Włoszech, co w znacznej mierze przyczyniło się było do klęsk Wurmsera i Alvinczy'ego. Przed wyprawą w r. 1805 uprawiano też stosunki ze szpiegami na większą skalę i wszystkie austriackie sztaby generalne stały dla nas otworem. Wszystkie moje tajne zapiski o Niemczech oddałem generałowi Savary, szefowi oddziału szpiegów w głównej kwaterze cesarza; posługiwał się nimi z powodzeniem. Wobec tego więc, że wszystkie wyłomy stały dla nas otworem, za czyste kuglarstwo uważać należy odwagę naszych żołnierzy i zręczność naszych manewrów pod Ulm, koło wiedeńskiego mostu i pod Austerlitz.

Czystą komedję odegrał też Napoleon, gdy po zawarciu pokoju w Preszburgu udawał pewnego dnia w Tuilerjach, że jest ogromnie rozgniewany na ministra finansów, ponieważ na początku wojny okazały się w kasie państwowej pewne trudności

pieniężne. Trudności te, twierdzi Fouché, spowodował był sam cesarz, poleciwszy wywieść z piwnic banku pięćdziesiąt milionów franków, zużytych na przekupstwa, które tak bardzo przyczyniły się do niebывałego powodzenia tej zaimprovizowanej wyprawy.

Nie ulega wątpliwości, że Fouché, nawet gdy fanfaronuje i przesadza, ma jednak podstawę odnosić się z nieufnością do pewnych rzeczy, które nas przejmują podziwem. Niełatwo też stwierdzić, ile należy złożyć na karb waleczności i rozwagi przywódców, a ile brać za bezwstydną komedię, odegraną za pieniądze z góry wypłacone! Szpiegzy stanowią bo wszędzie i zawsze nieodłączną część ruchu międzynarodowego; wszyscy się nimi posługują i wszyscy ich wieszają.

A w charakterze Napoleona nie było absolutnie nie takiego, coby w nim budziło wstręt do szpiegostwa i przekupstwa; w jego rękach ta ordynarna broń była tak samo dobra, jak wszelka inna. Mógł żywić najulubieńszy plan wyładowania w Anglii, niemniej mieć obok niego w głowie szczegółowo opracowany plan wyprawy austriackiej, z uwzględnieniem wszystkich przekupstw i zdrad, na które mógł liczyć z całą pewnością. Bo głowa jego zdolna wówczas pomieścić wszystko; gdy się coś nie udało, nigdy nie był bezradnym.

*La grande armée* z r. 1805 była pierwszą, stworzoną całkowicie podług systemu Napoleona. W armiach republiki każdy korpus stanowił dla siebie jakby osobne małe wojsko, uzbrojone we wszystkie rodzaje broni, z własnymi zapasami, lazaretem etc.

Powoli jednak Napoleon zorganizował wojsko w ten sposób, by więcej w jego pozostawało rękę. Każdy korpus posiadał tylko kompletną piechotę, ze wszystkim co do niej należy, oraz potrzebne działo polowe; natomiast z konnicy tylko kilka szwa-



dronów huzarów i strzelców, potrzebnych do rekonoskowania i osłaniania tyłu armii, zostawało pod bezpośrednią komendą szefa korpusu. Komenda korpusu spoczywała zazwyczaj w rękach marszałka.

Cała ciężka konnica pozostawała jednak pod wodzą osobnego generała, którym był zazwyczaj Murat; a z tych wojsk, zarówno jak z piechoty brał Napoleon siły, potrzebne dla każdego poszczególnego korpusu—czy to w walce, czy do wykonania jakiegoś manewru.

Z korpusu gwardyi przybocznej wytworzyła się później gwardya cesarska. Składała się z grenadyerów konnych i pieszych, z mameluków z Egiptu, z świetnego batalionu włoskiego, wreszcie z dwóch szwadronów doborowych żandarmów, utrzymujących porządek w głównej kwaterze.

Napoleon dodał im specjalny park artyleryi z 24 armatami, tak że gwardya stanowiła w rzeczywistości osobne małe wojsko, złożone z 7000 najlepszych żołnierzy. Oficerzy gwardyi byli wybierani wśród najpiękniejszych mężczyzn całej armii.

Razem z gwardyą kroczyli zwykle w pobliżu cesarza grenadyerzy marszałka Lannes'a i Oudinot'a.

Armia, która w miesiącu wrześniu rozpoczęła marsz w poprzek Europy, podzielona była na siedem korpusów.

Pierwszy pod marszałkiem Bernadotte stał w Hanowerze z generałami Drouot'em, Rivaud'em i młodym Kellermanem.

Drugi korpus generała Marmonta leżał w Holandyi. Z nim byli Boudet i Grouchy i wielka liczba holandskich wojsk posiłkowych.

Trzeci korpus Davoust'a z generałami Friant'em i Gudinem.

Czwarty korpus marszałka Soult'a z Saint Hilaire'em, Vandamme'em i Legrand'em.

Piąty korpus marszałka Lannes'a z Suchet'em i Gazan'em, oraz marszałek Oudinot z grenadyerami.

Szósty korpus marszałka Ney'a z Dupont'em i Loison'em wraz z generałem konniskim Colbertem.

Siódmym korpusem dowodził marszałek Augereau.

Konna z szeregiem świetnych generałów: Nansouty, Milhaud, l'Espagne, Lasalle i sławny d'Hautpoul, pozostawała pod wodzą Murata.

Konnej gwardyi cesarskiej przewodził marszałek Bessières, a pieszej marszałek Mortier.

Marszałek Brune pozostał w opuszczonym obozie pod Bulonią.

Wszystkie te korpusy armii, z olbrzymim bagażem tego samego dnia różnemi drogami rozpoczęły marsz w poprzek Niemiec, by stawić czoło Austryakom. Ci zebrali byli ogromne wojsko pod wodzą arcyksięcia Karola, nadto mieli w tyle wojska rosyjskie, nadciągające pod wodzą samego cesarza Aleksandra i generała Kutuzowa.

W owych czasach marsz był bardzo uciążliwy; dróg mało i złe, rzadko porządne mosty, przytem niezmiernie ciężki tren i ciężka artylerya.

Bawarya, Baden i Wirtembergia przyjęły Napoleona jako przyjaciela i sojusznika, a Napoleon wprowadził już tutaj niebezpieczny zwyczaj zaciągania w swe służby wielkich mas żołnierzy cudzoziemców i oczekiwania od nich takiej samej waleczności i wierności jak od Francuzów—byle tylko pozostawali pod wodzą jego oficerów. Nie miał po prostu silnego poczucia narodowości.

Cesarz sam przybył z Paryża do Strasburga i już pierwszego października przekroczył Ren. Wszystkie wiadomości, jakie otrzymywał potwierdzały, że wszystko w porządku; wielki plan rozwijał się szybko i dokładnie.

Dn. 15 października generał Mack został całkowicie zamknięty w pobliżu twierdzy Ulm i odcięty od Rosyan, usiłujących mu przyjść z pomocą od strony wschodniej. W bitwach, stoczonych w owych



dniach, odznaczył się w pierwszym rzędzie Ney. Otrzymał był rozkaz zajęcia ogromnie silnego stanowiska koło klasztoru Elchingen, którego bronił generał Laudon z 15,000 żołnierzy i 40 armatami. Po wielkich stratach Ney zdołał po rozpaczliwym szturmie zająć klasztor. A w dwa dni później Mack musiał oddać miasto Ulm wraz z twierdzą. Przed Napoleonem i jego sztabem przedelfowało 30,000 żołnierzy z 16 generałami, 60 armatami, 40 sztandarami i 3000 koni.

Berthier otrzymał szpadę nieszczęśliwego generała Macka. Generał Mack musiał być zresztą już przedtem złożyć raz szpadę w ręce starego generała Championnet'a. Było to za czasów republiki przy wzięciu Neapolu.

Championnet był jednak człowiekiem dobrodusznym.—Zachowaj pan swą szpadę, panie generale!—powiedział.—Mój rząd zakazał mi przyjmować podarki wyrobu angielskiego.

Marszałek Ney został księciem Elchingen, a generał Exelmens otrzymał wielki krzyż legii honorowej za potyczkę pod Wertingen.

Po kapitulacji Ulmu kroczone naprzód, Napoleon w pośrodku swych żołnierzy — od zwycięstwa do zwycięstwa. Marszałek Mortier zdobył nieśmiertelność w bohaterskiej walce z ogromnie przeważającą liczbą sił nieprzyjacielskich pod Dürnstein. Murat był wszędzie obecny ze swoją konnicą. Cała armia, pozostająca niemal od dziesięciolecia w rękach Napoleona, była pod każdym względem wzorowa, a jego generałowie przeżywali właśnie najlepszy swój okres. Nikt jeszcze nie był znużony, współzawodnictwo nie było jeszcze zaprawione gorączką; wielkie dary i odznaczenia miały jeszcze urok nowości.

Oudinot maszerował ze swymi grenadyerami dzielnie i nie zbaczając od wykreślonej marszruty z obozu w Bulonii do Wiednia przez dni 45. Tu-

taj sam z kilku oficerami wszedł na podminowany most na Dunaju i wyrwał z rąk podoficerów austriackich zapalone lonty, którymi mieli most wysadzić w powietrze. Z nim byli: Murat, Lannes i Sebastiani.

Dnia 15 listopada 1805 r. cesarz Napoleon wjechał do Wiednia. Był to pierwszy jego wjazd do tej stolicy; cesarz Franciszek cofnął się był do Ołomuńca.

Armia francuska pomaszerowała za nim.

Marszałek Soult, późniejszy książę Dalmacyi, jeden z tych pewnych generałów, co zawsze chlubił się przywozili wielkim oddziałom wojsk, przekroczył Dunaj i pobił nieprzyjaciela przy Hollabrun.

Od cesarza Franciszka przybył parlamentarz z propozycją zawieszenia broni. Napoleon doskonale jednak rozumiał, że Austryakom chodzi tylko o zdobycie czasu, potrzebnego do nadciągnięcia wojsk rosyjskich. Marszałek polny Kutuzow był już koło Wischau, a z nim także cesarz Aleksander.

Napoleon skorzystał natychmiast ze sposobności zbliżenia się do człowieka, którego uważał za największego swego współzawodnika, a którego w miarę własnego wznoszenia się, miał ostatniego zwyciężyć lub pozyskać. Zaproponował cesarzowi osobiste spotkanie, lecz Aleksander wysłał doń tylko księcia Dołgorukiego.

Gdy książę przybył, Napoleon kazał był właśnie armii swej cofnąć się o parę mil francuskich i był zajęty zabezpieczeniem swego nowego stanowiska. Dołgoruki wywnioskował z tego, że Francuzi stracili odwagę i najchętniej pragnęliby się cofnąć przed potyczką z Rosyanami.

Tymczasem był to tylko zręczny wybieg Napoleona, pragnącego właśnie wywabić Rosyan i skłonić ich do opuszczenia wyżyn Pratzen. Wiedział bowiem, że skoro mn się uda zwabić ich na równi-



ny w kierunku Berna, żadna potęga nie zdoła się oprzeć jego generałom.

Rosyanie skwapliwie wysłuchali opowiadania Dolgorukiego i rzucili się naprzód. Napoleon przełonił swą siedzibę do Berna, gotów do wybrania pola bitwy.

Dnia 28 listopada, zjednoczone armie minęły Wischau i zbliżały się do Prätzen. Napoleon udzielił swym generałom wskazówek co do obranego przez siebie terenu, mówiąc: „Gdyby nie chodziło tylko o zatrzymanie nieprzyjaciela, zająłbym stanowisko tu na wyżynach Prätzen. W tym wypadku jednak odniósłbym tylko zwyciężne zwycięstwo. Dlatego każę prawemu skrzydłu ustawić się w kierunku Berna, a jeśli Rosyanie dadzą się tem zwabić i zejść ze wzgórza, czeka ich klęska całkowita“.

Dnia 1 grudnia Napoleon, ku niewymownej swej radości, ujrzał, że Rosyanie i Austriacy, właśnie wykonywują manewr, do którego ich zwabić postanowił. Rzucili wzgórze Prätzen i zaczęli maszerować w kierunku Bernu, by uderzyć na prawe skrzydło Francuzów, lub je obejść. Otoczenie Napoleona słyszało, jak kilkakrotnie do siebie powtarzał: „Przed jutrzejszym wieczorem armia będzie w mej mocy“.

Wieczór 1 go grudnia cesarz obchodził obóz. Kilku żołnierzy wpadło na pomysł zrobienia na pręde pochodni ze słomy swego leżyska, by cesarzowi poświecić w ciemną noc zimową. Cała armia poszła za ich przykładem i w miarę jak przechodził od korpusu do korpusu, zapalały się słomiane pochodnie, aż cały obóz stanął w ogniu i dymie, a z tyśiącą piersi, grzmiał okrzyk: Niech żyje cesarz!

Rano dnia 2 grudnia 1805 r., cała francuska armia stała w szyku bojowym, jak z góry było postanowione.

Marszałek Lannes z dywizjami Suchet'a i Caffarelli'ego, tworzyli lewe skrzydło. Marszałek Bernadotte z Rivaud'em i Drout'em zajęli centrum.

Prawemu skrzydłu przywodził marszałek Soult, który właściwie rozstrzygnął też o losie bitwy. Cała konnica pod Muratem ustawiła się konno w dwóch liniach. Napoleon sam miał pod sobą 10 batalionów gwardyi i 10 batalionów grenadyerów pod Oudinotem.

Słońce przedarło się przez mgłę zimową, wieszając nad równiną i zamarzłemi wodami i odzwierciedlało się we wspaniałym wojennym rynsztunku armii. Równocześnie Rosyanie poczęli zstępować ze wzgórz Pratzen.

— Ile pan potrzebuje czasu, panie marszałku— spytał Napoleon Soult'a—do zajęcia wzgórz, które nieprzyjacieli właśnie porzuca?

— Godzinę, najjaśniejszy panie!

— Dobrze! Więc zaczekamy jeszcze kwadrans, — rzekł Napoleon.

Niebawem zagrzmiały armaty i rozpoczęła się walka. Kutuzow podzielił swe siły zbrojne na sześć korpusów; w rezerwie miał sławną gwardyę rosyjską, którą dowodził wielki książę Konstanty.

Jakkolwiek naczelne dowództwo objął był marszałek polny, Kutuzow, to jednak plan opuszczenia stanowiska na wzgórzu, pochodził od autryackiego generała Weirotha; Kutuzow opierał mu się stanowczo, lecz bezskutecznie. Widząc teraz jaki obrót przybiera walka, gdy wojska marszałka Soult'a natychmiast zaczęły zajmować wzgórze Pratzen, ze wszech sił starał się ten ich zamiar udaremnić. Mimo ogromnych strat walczył zaciekle, by odzyskać poprzednie stanowisko, którego znaczenie teraz dopiero całkowicie sobie uświadomił.

Dwie godziny trwała walka wściekła. Nakoniec musiał się jednak Kutuzow cołnąć, a od tej chwili bitwa przybrała taki obrót, że nie się Francuzom nie mogło oprzeć.

Lannes i Murat odparli prawe skrzydło pod księciem Bagration; generał Rapp wykonał swój



slawny atak z kirasyerami, przyczem pojmał w niewolę księcia Repnina; a gdy Napoleon ze swą gwardyą i grenadyerami Oudinota przybył z pomocą Soultowi, w jednej chwili wpadło wszystko w ręce Francuzów: armaty, wozy artyleryi, chorągwie—wszystko. Ci zaś, co pragnęli się ratować ucieczką, potonęli, gdyż łód załamywał się pod ciężarem armat, a kule francuskie, drążąc w nim dziury, do reszty go osłabiły. Całe dywizye zginęły doszczętnie, lub złożyły broń.

Wynik był olbrzymi: 25,000 poległych, i rannych, 25,000 jeńców, mnóstwo chorągwi, a wśród nich sztandar cesarskiej gwardyi rosyjskiej.

Tylko dwóch wysokich oficerów stracili Francuzi pod Austerlitz: generał Valhuet, któremu kula oderwała nogę, zmarł na miejscu, a pułkownik Morland padł, walcząc na czele strzelców cesarskiej gwardyi. Zwłoki jego przewieziono w beczce odrumu do Paryża, lecz zapomniano o nich i pozostawiono je tak, aż do r. 1814. Wesoły i pogodny, generał Rapp otrzymał ciężką ranę; należał do tych, których prześladowało nieszczęście. W wojnie republiki otrzymał cztery rany, a w Egipcie trzy; szczególnie miał nieszczęśliwe ramię, które zawsze dosięgały kule. Generał Thiebault także został ranny.

Po bitwie pod Austerlitz po raz pierwszy przejawiał się u Napoleona popęd nagradzania swych ludzi w sposób tak niezmiernie wspaniały, co go cechowało, aż do chwili, gdy już nie miał nic do rozdawania.

Adoptował dzieci żołnierzy, poległych w bitwie miały być wychowane na koszt państwa, przytem pozwolił im obok własnego imienia nosić też imię: Napoleon. Wyznaczył pensye dla wszystkich wdów, od wdów po generałach do owdowiałych żon szeregowców i w najpiękniejszych słowach wyraził armii swe dziękczynienie. Wówczas to powiedział: — Naród mój z dumą was przywita w ojczyźnie, a ile-

króć który z was powie: „byłem pod Austerlitz“, jednogłośnie mu odpowiedzą:—To dzielny człowiek.

W podzięce za dzielną pomoc wyniósł Bawaryę i Wirtembergię do rzędu królestw, a Baden do godności arcyksięstwa.

Murat został arcyksięciem Bergu, Berthier księciem Neuchâtel, Eugeniusz Beauharnais, syn Józefiny, został zamianowany wice-królem Włoch i ożeniony z córką króla Bawarskiego. Niezadługo został Józef królem Neapolu, a Ludwik królem Holandyi.

Bardzo wielu oficerów otrzymało tytuły, odznaczenia, dary w pieniądzach i ziemskich posiadłościach.

Niebawem zawarto pokój w Pressburgu. Austria utraciła Wenecyę, która przeszła w posiadanie Włoch i Tyrol, którym obdarzono Bawaryę.

Cesarzowi Aleksandrowi, który mógł być wzięty w niewolę z całą armią, pozostawiono sposobność umknienia; tak postępował Napoleon zawsze względem cesarza.

Rzadko się zdarza, by opis bitew dawał coś więcej ponad szereg obrazów, starć rozmaitych gatunków broni, bohaterskich ataków lub zacieklego oporu piechoty, broniącej ważnego stanowiska. Natomiast widzieć walkę jako organiczną całość, gdzie plan przeciwstawia się planowi, a poszczególne sceny podporządkowują się panującym nad nimi myślom i obliczeniom, które ostatecznie wiodą do zwycięstwa — taki punkt widzenia jest trudny do osiągnięcia dla człowieka niefachowego.

A jednak udało mi się zyskać pewien rodzaj perspektywy, z której oglądam niektóre bitwy Napoleona. Bo nie wszystkie bitwy kończą się w ciągu jednego dnia w ten sposób, by jedna strona stawała się ponosiła klęskę, a druga posiadała bezwzględna pod każdym względem przewagę.

W niektórych bitwach klęska spada nagle wśród bitwy, a wówczas, w oka mgnieniu, jedna strona po-



nosi całkowitą porażkę i dobrze wypróbowane wojsko staje się w jednej chwili zupełnie bezużyteczne. Taką bitwą jest bitwa pod Austerlitz. W ciągu dwóch godzin, kiedy Kutuzow z całą armią czynił szalone wysiłki, w celu odzyskania wzgórz Pratzen, losy walki były po obu stronach, niemal jednakowe i szala nie przechylała się ku żadnej. Jakoby łuk stalowy, coraz silniej i silniej napinany, pękł nagle, sprowadzając raptowną klęskę. I w jednej chwili wojska tak znakomite jak niezwyciężona rosyjska gwardya cesarska nie więcej były warte od rekrutów.

To samo, jakkolwiek winny sposób, powtórzyło się pod Marengo. Przez cały dzień Austriacy coraz dalej odpierali prawe skrzydło Napoleona i centrum, aż popołudniu sytuacja była taka, iż wszyscy byli przekonani o stanowczej klęsce Francuzów.

Jeden tylko Napoleon widział olbrzymie napięcie łuku. Postępował więc powoli i ostrożnie, opóźniając pęknięcia łuku, do chwili nadciągnięcia Desaix. Wtedy nagle łuk odskoczył i złamał się nad Austryakami, a w tejże chwili spadła na nich klęska. Nietylko przybyły Francuzom posiłki, lecz zjawił się też nagle ów moment, gdy wszystko jest stracone. Nie było już odwrotu ni strat, lecz ucieczka i niewola.

Podobnie było pod Waterleoo. Zwykle twierdzą, że Wellington został strategicznie pokonany. Napoleon z właściwą mu mocą napiął był łuk silniej, niż kiedykolwiek; walka pozostawała jakoby w drżącym zawieszeniu i niepodobna było przewidzieć, w którą stronę łuk odskoczy. Tylko Napoleon wiedział, że jest o godzinę zapóźno. A gdy później nietylko nie przybył marszałek Grouchy, lecz na jego miejsce nadciągnął Blücher, łuk z wielką siłą odskoczył i pękł, ale w kierunku odwrotnym, skutkiem czego lord Wellington, odniósł wielkie zwycięstwo.

Bezpośrednio po pierwszej wyprawie austriackiej, rozpoczęła się pruska. Metternich był w roku 1805, w Berlinie, gdzie czynił największe usiłowania w celu skłonienia Prus do aliansu, lecz Fryderyk Wilhelm pozostał niewzruszony. Teraz natomiast, w rok później i do tego po bitwie pod Austerlitz, rozpoczął zupełnie nie w porę nieszczęsną wojnę, która zaprowadziła Prusy nad skraj przepaści.

Prusacy bez wypowiedzenia wojny, wkroczyli do Saksonii, jak przed rokiem Austriacy wkroczyli byli do Bawaryi.

Fakt to stwierdzony, że Napoleon dnia 26 września 1806 r., z kartą w ręku przepowiedział był w Paryżu klęskę armii pruskiej na dzień 15 października, a nastąpiła w dniu 14 października. Wówczas już postanowił, że w końcu października Clarke będzie gubernatorem Berlina.

A gdy Daru prosił o pozwolenie zabrania skarbcza, Napoleon oświadczył: wystarczy zabrać skarbnika i z 24,000 franków, ruszył na wyprawę saską. Płacić mieli zwyciężeni.

Gwardya cesarska natychmiast opuściła Paryż i pocztowymi dyliżansami, ruszyła na Wschód. Napoleon, 1 października 1806 r., przeprawił się przez Ren i główną kwaterę zajął w Bambergu. Ztąd gromadził swe wojska pod wodzą siedmiu marszałków: Bernadotte'a, Lannes'a, Davoust'a, Ney'a, Soult'a, Augerau'a i Lefebvre'a. Murat prowadził konnicę.

Rozpoczęło się zaraz fatalnie dla Prus, gdy młody, pelen nadziei, książę domu królewskiego, Ludwik, w potyczce pod Saalfeld, parę dni przed rozstrzygającymi bitwami pod Jeną i Auerstädem został zarąbany przez francuskiego huzara.

Jednakowoż król pruski i jego generałowie tak byli pewni zwycięstwa, że zajęli stanowiska w Gotha, Erfurcie i Weimarze, gdy Napoleon nadciągał z Gera—zatem od strony wschodniej. Armie ustawiły się przeto na odwrót: Niemcy mając za



sobą Ren, a Francuzi Łabę, ze swobodnym przystępem do Berlina i Drezna. Prusacy sami za pole bitwy wybrali Saksonię.

Była to jednak armia Fryderyka Wielkiego, podług sądu współczesnych niezwyciężona i pozostająca pod rozkazami generałów i uczni wielkiego króla. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Kalkreuth, książę Braunschweig, Möllendorf, Schmettau, Hohenlohe, Rüchel i Blücher; przywodzili 230,000 spiżowym żołnierzom z Poczdamu, dobrze uzbrojonym i dzielnie na placu ćwiczeń wymustrowanym.

Napoleon wystosował znów jedno ze swych pism—monarchy do monarchy—tym razem do króla Prus.

„Gdybym był początkującym w sztuce wojennej i potrzebował się obawiać zmiany szczęścia na placu bitwy, pismo to do Waszej Królewskiej Mości byłoby bezsensowne. Jednakowoż Wasza Królewska Mość zostaniesz pobitym, tracąc, bez cienia pretekstu, własny spokojny byt i całą egzystencję swych poddanych“.

I na ten list Napoleon nie otrzymał odpowiedzi od swego królewskiego brata, Fryderyka Wilhelma.

Sam król Pruski i królowa Luiza byli przy wojsku, podzielonem na dwa oddziały. Jeden z nich, liczący 70,000 ludzi i pozostający pod wodzą samego króla i księcia Braunschweig, pomaszerował do Auerstädt; drugi zaś pod księciem Hohenlohe ruszył do Jeny. Dwie te miejscowości oddalone są od siebie przestrzenią niespełna sześciu mil francuskich.

Napoleon tak dobrze zużytkował noc z 13 października, że wojska jego już o szóstej z rana, mogły przystąpić do ataku i to na punktach, gdzie Prusacy najmniej się tego spodziewali.

Pierwszym, który rozpoczął walkę o wczesnej, rannej godzinie, gdy gęste mgły wisiały jeszcze nad

polami, był generał Suchet; z nim byli generałowie Wedel i Claparède, którego dywizya odznaczyła się była już w roku ubiegłym pod Austerlitz.

Przez długi jednak czas opór stawiono dzielny i zawzięty.

Marszałkowie, Soult i Lannes uderzyli z całą siłą, podczas bitwy nadeiagnął Ney z dwiema dywizjami. Napoleon wysłał na front rezerwę, a Murat, jak zwykle, natarł na wroga z całą konnicą.

Prusacy cofali się początkowo powoli—z najzupełniej zimną krwią i w szyku bojowym. Piechota raz po raz w nowy się ustawiała czworobok; gdy jednak piąty czworobok został doszczętnie rozbity, przez francuskich huzarów i kirasyerów, wśród Prusaków począł się szerzyć niebezpieczny zamęt. Konnica ich poczęła ustępować przed niezłomnymi kolumnami marszałka Souлта i cofnęła się w kierunku Weimaru.

W tejże jednak chwili przybyła pomoc, na którą czekał książę Hohenlohe. Korpus generała Rüchla, składający się z 26 batalionów i 20 szwadronów, dosięgnął właśnie linii bojowej. Rozpoczęła się teraz walka niezwykle zaciepła, lecz przed upływem godziny, cały korpus zniknął pod kilkukrotnymi atakami szeregów, nasyłanych przez Napoleona; aż wreszcie nic już nie pozostało „z wojska wielkiego Fryderyka“.

Stara sztuka wojenna zmierzyła się z nową i zupełną poniosła porażkę. Przewrót to był pod względem wojskowym tak olbrzymi, że współczesni nie posiadali się z podziwu, jakiego w równym stopniu nie wywołało żadne z dotychczasowych zwycięstw Napoleona.

Klęska była pod pewnym względem nie większa od wielu innych, co się tyczy bezpośrednich strat w ludziach i materyale, jednakowoż jej rezultat był w danej chwili pod względem moralnym



i militarnym dla strony przegrywającej wprost drugoczący, lecz także pouczający na przyszłość!

Gdy Napoleon bił się pod Jena, tego samego dnia 14-go października — marszałek Davoust napotkał oddział wojska pruskiego, pod wodzą księcia Braunschweig, przy którym bawił też sam król. Przy marszałku byli generałowie: Gudin, Friant i Moraud, których znakomite dywizye tworzyły zawsze jądro korpusu, pozostającego pod wodzą Davoust; niemniej miał on niewiele więcej nad trzecią część wojsk nieprzyjacielskich, skutkiem czego w strasznych się znalazł opalach.

Marszałek Bernadotte znajdował się tuż w pobliżu, lecz udawał, że nie słyszy huku armat; zabrał nawet kilka regimentów dragonów, nie należących właściwie do jego korpusu — wszystko dlatego, że nie chciał dzielić sławy z Davoustem i najmilszą byłaby mu jego porażka, co bardzo łatwo mogło być nastąpić.

O szóstej popołudniu niebezpieczeństwo korpusu Davoust spotęgowało się do najwyższego stopnia. On sam siedział na koniu — surowy i poważny jak zwykle — wśród strasznego zamętu; kula zerwała mu właśnie kapelusz z głowy. Raz jeszcze wysłał jednego ze swych adjutantów — dzielnego Rameufa, który później padł pod Borodinem — do Bernadotte'a — zaklinając go, by mu przybył z pomocą. Znając jego charakter i pobudki nim kierujące, Davoust zaofiarował mu nawet naczelne dowództwo.

Bernadotte jednak przemaszerował dalej, pomimo, że wystarczało uczynić zwrot, by znaleźć się na polu bitwy. A nakoniec, gdy Davoust, dzięki swej niezrównanej zimnej krwi i nadzwyczajnej sztuce wojennej, odniósł zwycięstwo — a ludzie jego byli tak strudzeni, że nie mogli się wprost utrzymać na nogach, nawet wówczas Bernadotte, nie chciał się rzucić na rozbitych Prusaków, chociaż był tak

blisko, że jego żołnierze wzajem się widzieli z żołnierzami Davoust'a.

Istniała co prawda osobista jakaś niesnaska między dwoma marszałkami; niemniej cała armia i wszyscy oficerzy byli do żywego oburzeni postępowaniem Bernadotte'a, a cesarz zawsze później mówił: „Gdybym był wówczas oddał Bernadotte'a pod sąd wojenny, niewątpliwie byłby został za zdradę tę rozstrzelany”.

Powiadają nawet, że Napoleon miał już w ręku wyrok—lecz w ostatniej chwili zniszczył go ze względu na Dezyderyę, małżonkę Bernadotte'a, w młodości przeznaczoną na żonę Bonapartego.

Zwycięstwo Davoust'a pod Auerstädt w dniu 14 października 1806 r. bywa zawsze wymieniane jako jeden z chlubnych dni armii Francuskiej. Cesarz mianował Davoust'a księciem Auerstädtu i hojnemi go obdarzył dotacyami.

Davoust pochodził z wysokiej szlachty i znał Bonapartów od czasów szkolnych w Brienne. Służył pod generałami republiki, został jednak uwolniony ze służby, ponieważ był szlachcicem. Później towarzyszył Napoleonowi jako jeden z jego najpewniejszych wodzów, który silną, lecz twardą ręką wychowywał i trzymał w porządku swych ludzi tak, że trzeci korpus armii był pod każdym względem korpusem wyborowym.

Straty Prus w tych dwóch bitwach były olbrzymie. Sam Davoust zdobył 115 armat — swoich miał 44;—50,000 ludzi padło lub dostało się w niewolę, chorągwie i zapasy wszelkiego rodzaju wpadły w ręce Francuzów.

Wśród jeńców było 6,000 Sasów z oficerami. Napoleon kazał sobie przedstawić tych oficerów w Weimarze. Powiedział im, że celem tej wyprawy jest uniemożliwienie wcielenia Saksonii do Prus. Odesłał ich wszystkich do Drezna, otrzymawszy od nich zobowiązanie pod słowem honoru i dał im



proklamacyę, w której oświadcza się za opiekuna Saksonii.

Był to dobrze obmyślony wstęp do zażyłego stosunku, jaki zdołał stopniowo nawiązać z dworem Saskim, oraz późniejszym królem Saksonii.

Weterani Fryderyka Wielkiego zostali zwyciężeni—lecz wielu z nich walczyło do ostatniej kropli krwi. Gorycz klęski pruskiej potęgował jeszcze fakt, że padło wielu przedstawicieli najwyższych rodów. Sławny książę Braunschweig stracił od kul obydwaje oczu i wkrótce umarł; marszałek polny Möllendorf i generał-porucznik Schmettow śmiertelne otrzymali rany. Zostali też ranni: Henryk książę Pruski i książę Orański, późniejszy król Holandyi, generał Rüchel i wielu innych; we wszystkim zachowujący miarę Fryderyk Wilhelm poprzestał na spadnięciu z konia; o mało jednak nie dostał się w ręce francuskich jeźdźców.

Proszono o zawieszenie broni, lecz Napoleon odpowiedział bezwzględnie, że będzie się układał tylko z Berlina. Odrazu stawiał się ostro i bezwzględnie w obec Fryderyka Wilhelma, którym pogardzał;—a taksamo obszedł się później z królową Luizą, której nie znoził. Był zupełnie innym, gdy chodziło o Aleksandra I-go.

W kilka dni po bitwie pod Jeną, generał Kalcreuth, także jeden z pierwszych generałów Fryderyka Wielkiego, został doszczętnie pobity przez marszałka Soult'a. Bernadotte, odniósł zwycięstwo pod Halle i tak następowała klęska po klęsce, a nie-szczęśliwa królowa Luiza, chroniąc się z miasta do miasta, coraz dalej na wschód — musiała nareszcie umknąć aż do Kiestrzynia.

Książę Hohenlohe, musiał się z całym swem wojskiem poddać Muratowi pod Prenzlau; 16,000 piechoty i sześć regimentów najlepszych pruskich kawalerzystów, z 60 armatami i 45 chorągwiami, jako jeńcy przeciągnęli wzdłuż francuskich szere-

gów. Szczecin, podówczas silna twierdza, poddał się szaloną odwagą wsławionemu generałowi jazdy, Lasalle'owi, który przypuścił szturm na czele kilku szwadronów. Davoust wziął Kiestrzyń, aż wreszcie pozostał tylko jeden Blücher, który, z ostatnimi resztkami pięknej armii, cofnął się przed nadciągającymi Francuzami do Lubeki.

Puściło się za nim w pogoń trzech marszałków: Soult, Bernadotte i Murat. Blücher bronił każdej piędzi ziemi Lubeki. Walczono na wałach, przy bramach, później w domach. Ulicę po ulicy musiano brać szturmem i zdobywać, a po dwudniowej walce Blücher musiał się poddać z jedenastu generałami, pięciuset oficerami, 60 chorągwiami, jazdą i zapasami, jednym słowem ze wszystkim, co pozostało po klęskach pod Jeną i Auerstädt.

W dzień po Lubece padł także Magdeburg, a wówczas nie było się już z kim bić w całych Prusiech.

Francuzi tymczasem stanęli główną kwaterą w Poczdamie. Marszałkowie: Lannes, Bessieres i Lefebvre rozłożyli się tu z gwardyą, a generał Bourcier urządził w Poczdamie wielkie magazyny kawaleryi, które przez długi czas pozostawały w rękach Francuzów.

Dn. 27 października Napoleon z konną swą gwardyą wjechał do Berlina przez bramę tryufalną, wzniesioną ku pamięci Fryderyka Wielkiego.

Tem zakończyła się właściwie wyprawa pruska; ponieważ jednak Rosya wystąpiła jako sprzymierzona i wybawicielka Prus, więc wojna musiała trwać w dalszym ciągu, a armie francuskie przy dźwięku muzyki ruszyły na wschód, aż do Warszawy.

Podczas tej wojny cesarz pozostawał przy armii i spędził zimę we wschodnich prowincjach pruskich.

Ze swej głównej kwatery zarządzał całem



ogromnem państwem, mając baczne oko zwrócone na całość, niemniej na Paryż. Tej zimy opracował między innymi plan monumentalnej budowy w Paryżu, mającej nosić napis: „Żołnierzom wielkiej armii Napoleona“. Wszyscy bohaterzy z jego wypraw mieli tam mieć tablicę pamiątkową z białego marmuru, a polegli na polu bitwy—tablicę złotą. Z tego planu powstał obecny kościół św. Magdaleny.

W owym czasie zaczął też pracować nad największym swym planem: nad zamknięciem kontynentu dla handlu angielskiego. Plan ten większy był, niż sam przypuszczał i ostatecznie i dla niego stał się za wielkim.

Następnie wyniósł do godności królewskiej Kurfürsta Saksonii; był to jedyny przyjaciel Napoleona pośród legitymistycznych książąt Europy.

W pierwszych dniach lutego 1807 r. przyszło do pierwszych starć z Rosyanami, pozostającymi z resztkami sił pruskich pod rozkazami generała Bennigsen. Francuzi wyruszyli ze swych kwater zimowych, zapoznawszy się z ostrą zimą, ze śniegiem, a przede wszystkim z bagnami i błotnemi drogami, nie mając jednak pojęcia—jak niektórzy sobie wmawiali—o właściwej zimie rosyjskiej, lub okropnych śnieżycach, szalejących na wschodnich równinach tego kraju.

Dn. 8 lutego wrogie armie ustawiły się naprzeciw siebie pod Iłowem, na połowę odległości kuli armatniej. Rosyanie mieli lepsze stanowisko i liczebną przewagę. Okropna była niepogoda z gwałtowną śnieżycą, a wiatr dął Francuzom w twarz.

Bennigsen rozpoczął strasznym ogniem armatnim. Bo Rosyanie—nauczeni przez Napoleona—posiadali teraz wielką i doskonałą artylerję.

Napoleon zaraz sobie uświadomił, że dzień to niebezpieczny; niczego też nie szczędził; nawet kosztowne armaty gwardyi wysłał na pole bitwy.

Marszałkowi Augereau poruczono przy potęż-

nym ogniu Rosyan, zaraz na początku bitwy, wyprowadzić naprzód swój korpus. Jednakowoż w chwili, gdy wielkie masy zaczęły ruszać z miejsca, zerwała się niezwykle gwałtowna śnieżycy, którą wichura gnała Francuzom prosto w oczy.

Kolumny Augereau'a straciły orientację i nagle znalazły się w samym centrum prawego skrzydła Rosyan, pozostającego pod dowództwem generałów Tućzukowa i Doktorowa.

Sam marszałek został ciężko ranny, że musiano go wynieść z pola bitwy, a jego dzielny korpus został niemal doszczętnie zniszczony.

Gdy śnieżycy minęła i można było widzieć, co się dzieje, Napoleon w jednej chwili zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi całej armii, skutkiem nieszczęścia Augereau'a. Wydał Muratowi i Bessieres'owi rozkaz zebrania 70 szwadronów i wysłania ich przeciw centrum nieprzyjaciela.

Ta olbrzymia liczba koni ruszyła z miejsca i zniknęła na polu nawpół przegranej bitwy.

Atak jazdy po Ilowem chlubnie się uwiecznił po wsze czasy; kawaleria rosyjska poszła w rozsypkę, a silne regimenty piechoty rozpędzono na wszystkie strony.

Na czele jechał mąż, posiadający po Muracie pierwsze miejsce w kawalerii, mianowicie generał d'Hautpoul. Na początku bitwy był sporo oddalony od Ilowa; natychmiast jednak zastosował się do dawnego generalskiego rozkazu Napoleona: Kierować się w marszu odgłosem armat. Usłyszawszy je teraz, wykonał ze swymi kirasyerami zwrot i popędził w kierunku Ilowa.

Bernadotte natomiast, który również znajdował się w pobliżu, postąpił znów tak samo jak pod Auerstädt. D'Hautpoul błagał go i zaklinał, by zawrócił i wziął udział w bitwie; ale Bernadotte nie chciał nic widzieć, ni słyszeć. Dalej pomaszerował w kierunku mu wyznaczonym; nie jakoby się bał; nikt



w otoczeniu Napoleona nie uczuwał lęku, bo to się wogóle nie zdarzało; tylko, że książę Ponte Corvo był człowiekiem, na którym nie można było polegać, przytem tak zazdrosnym, że nie byłoby mu nieprzyjemnie, gdyby który z kolegów poniósł klęskę—chociażby sam Napoleon, o co, zdaje się, najwięcej mu chodziło.

Dzielny d'Hautpoul jednak pośpieszył ze swymi kirasyerami w bitwę nawpół przegraną i zrobił wielki wyłom w całej niemal armii rosyjskiej. Zraniony i rozdarty przez kule, został przywieziony z pola bitwy i po kilku dniach umarł.

Napoleon nadał mu po bitwie pod Austerlitz wielki krzyż legii honorowej i ogromne dotacje; wszyscy też byli zdania, że teraz na d'Hautpoul'a kolej zostania marszałkiem.

Z dwudziestu czterech armat zdobytych pod Ilowem, Napoleon kazał odlać jego pomnik, który umieszczono w Paryżu — nie wiem dokładnie, na którym miejscu. W Chrystyanii natomiast figuruje olbrzymi pomnik Bernadotte'a na konia, który dokładnie sobie przypominam.

Po wściekłym ataku jazdy, który dwukrotnie złamał był szeregi rosyjskie, ustawiły się one po raz trzeci i stały teraz niewzruszone. Przez cały dzień waleczono z zawziętością niebywałą, lecz generał Bennigsen utrzymał się na swem stanowisku pod miasteczkiem Ilów; pruski generał l'Estock nadszedł popołudniu z nowymi siłami; skutkiem czego aż do zmroku walka pozostała nierozstrzygnięta.

Marszałek Soult radził Napoleonowi, by został na polu bitwy. O ósmej godzinie wzdłuż całej linii obozu rozłożono ogniska, by zaznaczyć, że Francuzi pozostają na placu bitwy. Bennigsen natomiast cofnął się w ciągu nocy. Prawdopodobnie bardziej był wycieńczony od Napoleona, rozporządzającego olbrzymią liczbą wojsk rezerwowych. Walka jednak taki miała przebieg, że obie strony mogły sobie

przypisywać zwycięstwo, co też uczyniły; bądź co bądź żadna z nich nie poniosła klęski.

Padło mnóstwo wysokich oficerów; po stronie Francuzów szesnastu generałów! między nimi Corbineau, który zginął u boku cesarza. Hendelet został przeszyty kulą, lecz się jeszcze dźwignął; Desfrance i Desjardins polegli; taksamo generał Dahlman, który dowodził konnymi strzelcami i zginął wraz z d'Hautpoulem podczas wielkiego ataku jazdy.

Były też bardzo znaczne straty wśród żołnierzy i niższych dowódców.

Z szczególną grozą wspominano później zawsze pole bitwy pod Iłowem; było ono najkrwawsze z wszystkich, jakie widziano z wypraw Napoleona. Wielką część następnego dnia spędził cesarz na polu bitwy, niosąc pomoc rannym i wydając rozporządzenia co do pochowania ogromnej liczby poległych.

Biuletyn cesarza o bitwie pod Iłowem wielkie wywołał w Paryżu wzburzenie; nie tał wcale wielkich strat i wątpliwego wyniku bitwy.

Po Iłowie zniesiono w wojsku białe mundury. Z czasów królów francuskich istniało w armii kilkanaście białych regimentów; pod Iłowem jednak zbyt okropny widok przedstawiały te piękne, białe mundury, ociekające strugami krwi.

Podczas walki cesarz sam znalazł się w ogromnem niebezpieczeństwie, po części dlatego, że bezwzględnie się narażał, a po części skutkiem bezpośredniego nacierania na siebie obudwu wojsk. Berthier zadawał sobie najwyższy trud, by go odsuwać od miejsc zagrożonych, lecz cesarz pozostał w bitwie tej chłodny i spokojny jak zwykle; generałowie natomiast nie potrafili ukryć, iż czują, jak wszystko na jednej zawisło nici.

Generał Dorsenne przywodził części gwardyi, pozostającej w najbliższem otoczeniu cesarza i, o ile mógł, starał się mieć na oku osobę Napoleona.



Dorsenne był, jak przeważna część oficerów gwardyi, wysokim, pięknym mężczyzną, i wiele mu zależało na powierzchowności. Oddział jego składał się z samych wyborowych żołnierzy, tak samo dumnych ze swego generała, jak on był zadowolonym z nich i siebie samego.

Nagle wśród walki Dorsenne z najwyższem pomieszaniem spostrzega, że oddział rosyjskiej kawaleryi ma zamiar rzucić się na mały wzgórek, na którym stoi cesarz ze swem otoczeniem. Przyzywa swych ludzi i z błyskawiczną szybkością gwardya tworzy dokoła cesarza czworobok. Żołnierze nie wydobywają jednak broni; generał nie wydaje rozkazu spuszczenia bagnatów lub dania ognia. Generał Dorsenne, wyniosły i dumny, z konia swego spogląda na pędzących ku wzgórzu jeźdźców; wszak wystarcza, że jego grenadyerzy jak mur stoją dokoła cesarza.

I istotnie! gdy Rosyanie znaleźli się tak blisko, że mogli wyraźnie widzieć srogie twarze sławnych cesarskich gwardzistów, w wysokich czapkach niedźwiedziej, zwartymi szeregami niby spiżową kolumną otaczających Napoleona, oddział bezwiednie skręcił w bok i przejechał mimo wzgórza. Cesarz uśmiechnął się do Dorsenne'a.

Dzień szesnatego lutego był wielkim dniem generała Savary'ego. Przeważnie zajmował on stanowiska polityczne, jako ambasador, lub przy politycy. Będąc przyjacielem młodości Napoleona, i darzony bezwzględnem zaufaniem cesarza, musiał często spełniać poruczone mu funkcyje, za które darzono go nienawiścią i wzgardą.

W tych dniach jednak objął był, z powodu choroby marszałka Lannesa tymczasowe dowództwo nad piątym korpusem, a 16-go lutego udało mu się po ciężkiej walce pod Ostrołęką pobić rosyjskiego generała Essena. Miał on przy sobie dywizye Sucheta, Garana i Reille'a.

Savary otrzymał wielką wstęgę legii honorowej i dotację 20,000 franków rocznie, która właśnie była wolną po śmierci generała d'Hautpoula pod Iłowem. Później został księciem Rowigo. Generał Ordener po bitwie pod Ostrolęką otrzymał tytuł hrabiego.

Po długim i gwałtownem oblężeniu stary marszałek Lefebvre zdobył twierdzę Gdańsk. Miał przy sobie dwóch pierwszych inżynierów-generalów armii, Leriboisière'a i Chasseloupa; oni to właściwie kierowali oblężeniem, bo marszałek chciał natychmiast przypuścić szturm i inżynierzy z trudem zdołali go powstrzymać do ukończenia robót. Nakoniec generał Kalkreuth musiał oddać Gdańsk wraz z wielkimi zapasami broni, municyi i zboża.

Lefebvre został księciem Gdańska.

Francuzi wygrali kilka pomniejszych bitew, aż wreszcie wielka bitwa pod Frydlandem położyła koniec wojnie z Rosyanami, gdyż cesarz został ogłocony z armii, jak ongi król pruski.

Bitwę pod Frydlandem wydał Napoleon w rocznicę bitwy pod Marengo, dn. 14 czerwca; rozpoczęła się dopiero o 5 po południu, a zakończyła się całkowitem zwycięstwem, należącym do tych świetnych zwycięstw piechoty, wygranych bagnetami, gdy jeźdźcy ze swej strony, jak jastrzębie rzucali się za uciekającymi.

Sam cesarz ścigał tym razem monarchów, którzy, przybywszy do Tylży, ujrzeni most nad Niemnem w płomieniach; niemniej w ostatniej chwili rzucili się niego, ratując resztki swych armii. Łupy były olbrzymie. W Królewcu znaleziono naprzykład 160,000 nowej angielskiej broni, z którą nie zdążono jeszcze wyładować.

W Tylży nareszcie spotkał się cesarz Napoleon z cesarzem Aleksandrem; w ciągu dni czterech codziennie się widywali i porozumiewali się w sprawach polityki, Napoleon miał mieć zupełną



swobodą wobec Hiszpanii, a Aleksander wobec Finlandyi. Z wielkiem umiarkowaniem, a nawet ze względnością, która mu zazwyczaj była obcą, obchodził się Napoleon z cesarzem; na jego prośby zwrócił nawet Prusom tyle ziemi, by mogły się utrzymać przy życiu.

Aleksander znów uznał trzech królów: Józefa, Ludwika i Hieronima, oraz króla saskiego za wielkiego księcia Warszawy, a wreszcie przystąpił do skierowanego przeciw Anglii systemu kontynentalnego. Rozumie się, że ani na jedną chwilę, cesarz żadnego ze swych słów nie brał na seryo.

Napoleon jednak, mogący podówczas świat cały na dwie podzielić części, cieszył się uznaniem i przyjaźnią tego człowieka, ostatniem, jak sądził, uzupełnieniem swej potęgi.

Po tem wszystkiem armie ze śpiewem ruszyły napowrót do Francyi, gdzie wszystkie miasta, Paryż na czele, w nieskończonym szeregu uroczystości karmiły i poily dzielnych żołnierzy, którzy 10 miesięcy spędzili poza ojczyzną.

Cesarz sam obdarzał bohaterów krzyżem legii honorowej, nadawał dotacje i godności hojnie, ale też sprawiedliwie, co potęgowało jeszcze znaczenie jego darów.

---

#### IV.

Cesarz czuł się teraz w całej Europie jak u siebie, doskonale znając wszystkie zamki Włoch i kontynentu. Co dnia oficerzy i służba dworska poprzedzali jego przybycie do zamku, który miał zająć, a gdy wieczorem karetą podróżna galopem wjeżdżała na most zamkowy, na schodach stali ludzie z pochodniami, własni jego oficerzy otwierali drzwiczki powozu, a małego wzrostu człowiek, w szarym mundurze, powoli i spokojnie wchodził przy blasku pochodni na szerokie schody, gdzie starzy upudrowani służący zamkowi w drżących rękach trzymali świeczniki. Przez rzesisto oświetlone sale dochodził do własnych komnat, kazał się rozbierać swemu kamerdynerowi i tak samo jak u siebie w domu wchodził do wrzącej kąpieli.

Wszystko, co należało do jego osoby, musiało być najlepszej jakości, wykonane z największą punktualnością i w wielkim stylu.

Jego konie pojazdowe były pierwszej rasy i piękności, ustawione brygadami po trzy zaprzęgi. Gdy cesarz miał przebyć 20 mil trancuskich, rozstawiano po drodze sześć brygad, że temi samemi końmi jechał w rzeczywistości tylko nieznaczną przestrzeń. Zwykle przebywano całą drogę galopem,



choć trudno to sobie wyobrazić, zważywszy jakimi drogami musiano się zadawałniać przed stu laty i jak ciężkich powozów wówczas używano.

W każdym razie niepodobieństwem było czytać w powozie, lub pracować z mapami. Mimo to przy każdej brygadzie przygotowane były książki, przybory do pisania, mapy i lupy, a wszystkie te przedmioty oznaczone były numerem brygady, by w noc przed podróżą z łatwością można było wszystko przygotować.

Cesarz miał zresztą dość do myślenia. Jadąc na wschód, myślał o swych wyprawach. Po drodze przybywali doń rozmaici kuryerzy, lub marszałek ze swym sztabem stawiał się na oznaczonym miejscu, by z cesarzem odbyć naradę. Dniem i nocą pędził naprzód przez wsie i ciemne lasy. W wąskich ulicach grzmiała jego karetą, a blask pochodni, jak błyskawica, rozdzierał ciemności niskich izb.

— On znów! — pytali Niemcy, wsuwając się pod pierzyny. On zaś siedział bezpiecznie w swej wygodnej karecie, otoczony z obydwu stron eskortą, dzwoniącą błyszczącymi szablami i pistoletami.

A jadąc na zachód, myślał przedewszystkiem o by przywieźć Paryżowi, stale zajmującemu jego myśli. I porządkował w myśli odznaczenia, wywyższenia i dary dla swych ludzi.

Dokądkolwiek jechał, stale miał na oku posiadłości korony; gromadził dobra, które podług upodobania zaokrąglał dla swych marszałków i książąt; o wielkim stylu tego człowieka w nanagradzaniu i obdarzaniu trudno sobie wprost wyrobić pojęcie. Bo nigdy, zwyczajem głupich władców, nie obsypywał bogactwami dworaków i faworytów; tem mniej jeszcze uwzględniał protekcję kobiet. Podzięka i uznanie mężczyzny dla męskiej siły i odwagi kierowały jego spojrzeniem z niezawodną pewnością po szeregach, poczynawszy od marszałka aż do ma-

łego tambura, który wybiegł w koszuli, bębniąc na alarm.

Był czas, kiedy marszałek Davoust, książę Auerstädtu i Eckmühlu, pobierał ze swych posiadłości i urzędów roczną rentę, w kwocie miliona ośmiuset tysięcy franków.

Trwało to wprawdzie tylko parę lat; w r. 1814 wszystkie posiadłości, leżące poza obrębem właściwej Francji, zostały utracone. Gdy się jednak pomyśli, co przed stu laty znaczył roczny dochód, półtora miliona koron wynoszący, to można mieć wyobrażenie, jak otoczenie Napoleona opływało w złoto.

A Davoust wcale nie był faworytem, raczej przeciwnie! Ani w przybliżeniu nie można jego stosunku z cesarzem porównać z tym, jaki łączył monarchę z Duroc'em, Lannesem, Junotem lub Marmontem. Nagrody otrzymywał wyłącznie za przymioty, które Davoust czynił najbardziej odpowiedzialnym i nieprzezwyrodnym dowódcą.

Książęce tytuły Napoleona nie były pustymi tytułami, jakimi władcy współcześni hojnie obdarzają, dodając do nich jedwabne wstążeczki. Przeważna część jego oficerów, otrzymywała wraz z tytułami odpowiednie dochody, umożliwiające im prowadzenie w Paryżu wielkiego domu. A dotąd jeszcze istnieją wśród najwyższej arystokracji francuskiej nazwiska książęce, nadane pierwotnie zasłużonym żołnierzom Napoleona.

Trudno zresztą wymieniać wszystkie te tytuły, przysyłające nazwiska znanych wojowników i dyplomatów.

Murat został wielkim księciem Bergu, następnie królem Neapolu.

Berthier został panującym księciem w Neuchâtel.

Ponte Coros i Benevent były także udzielne-



mi księstwami, które Bernadotte i Talleyrand otrzymali dla siebie i swych potomków.

W r. 1806 Napoleon utworzył ze zdobytych krajów 22 księstwa, jak naprz. księstwo Wenecyi; a ich posiadacze nosili dziedziczne tytuły i pobierali piętnastą część dochodów odnośnego dystryktu.

Takie tytuły książęce otrzymało kilku marszałków: Soult był księciem Dalmacyi, Bessières księciem Istrii, Victor księciem Velluno, Moncey księciem Conegliano, Mortier księciem Trevizo, MacDonald księciem Tarentu, a Oudinot księciem Reggio.

Oprócz marszałków został generał Duroc księciem Friulu, Maret księciem Bassano, Levary księciem Rovigo, Fouché księciem Otranto, a krewny Bonapartów z Korsyki, dzielny generał kawalerii Arrighi został księciem Padwy. Najdostojniejsze jednak tytuły zdobywano na polu bitwy i te jako chlubne wspomnienie towarzyszyły zwycięzcom przez całe życie.

Stary Kellerman został księciem Valmy; Lefebvre księciem Gdańska.

Masséna księciem Rivoli i Eslingen.

Lannes księciem Montebello.

Ney księciem Elchingen, później księciem Moskwy i Berezyny.

Davoust księciem Auerstädtu i Eckmühl.

Im wszystkim i wielu innym Napoleon wyznaczył ogromne dochody, już to w formie intratnych posad, już to w braku tychże, w formie wielkich, książęcych darów. Wszystkich ich później miał na oku, a jakkolwiek mu się nie podobało, gdy oni lub ich żony zbyt trwonili majątki, to z drugiej strony nie chciał też, by oszczędzali. Pragnął bowiem, by jego ludzie wypełnili wolne miejsce, powstałe przez wielki upust krwi podczas rewolucyi, i stworzyli niejako łączne ogniwo między starą szlachtą Francyi a nowem społeczeństwem, które on sam stworzyć zamierzył.

I dlatego, zarówno w ojczyźnie jak zagranicą, otaczał się świetnym orszakiem; dokądkolwiek przybywał, wszędzie tworzył się koło niego dwór, jak ongi, za pierwszym jego przybyciem do zamku Montebello; we wszystkich też miastach Europy i opuszczonych pałacach codzienne jego życie tym samym płynęło trybem, co w St. Cloud lub Fontainebleau.

Ta sama regularność i ten sam podział pracy od rana do wieczora. Przegląd wojsk, mających ruszyć do walki; reorganizacye korpusów, zdekompletowanych w bitwie; przytem praca w gabinecie z sekretarzami i oficerami generalnego sztabu, lub z zagranicznymi posłami.

Jadał, kiedy miał ochotę i zawsze trzymał na stół coś dobrego. Nawet za najgorszych czasów w Rosyi, gdy wszyscy znosili najstraszniejszy niedostatek, cesarzowi podawano zawsze jego własny Chambertin, a zawsze się też znalazło dla niego trochę mięsa lub drobiu. Potrzebował tylko skinać, a natychmiast nakrywano mu stoliczek, tak samo szybko jak w Tuileryach. Sam mawiał, że się to dzieje jakby za pomocą czarów.

Gdy był na polu, co pół godziny pieczono mu kureczkę na rożnie, a często się zdarzało, że upieczono cały tuzin, zanim trzynaste dostało się na jego stół.

Podczas bitwy kuchmistrz nieraz przebił się z trudem do cesarza, by siedzącemu na koniu podać kęs mięsa i szklankę wina.

Jakkolwiek bowiem Napoleon zdawał się nie przykładać wagi do podobnych rzeczy, to jednak był wszędzie otaczany najstaranniejszą opieką, jak nikt z ludzi. Wszystko, odnoszące się do jego osoby i jego życia codziennego było najlepszej jakości; a gdziekolwiek przebywał — w ojczyźnie czy zagranicą — żył jako najlepiej obsłużony i najstaranniej pielęgnowany władca w Europie.



Tak samo jego oficerzy dobrze się czuli na kontynencie podczas pierwszych wypraw. Najwyżsi pośród nich zaczęli się nawet otaczać zbytkiem; nie nastąpiło jeszcze znużenie, przesyt, ni przesada! Tylko o Junocie, księciu z Abrantes, mówiono, że w szalony sposób roztrwania mienie, a jego powozy i stajnie są niemal tak wspaniałe, jak samego cesarza.

Dla młodszych oficerów pierwsze te wyprawy do Wiednia i Berlina były istną przyjemnością. Wiedzieli, że wyruszają na nowe zwycięstwa, po nowe odznaczenia i awansy; przybywali na dwory i w towarzystwa, gdzie nie było innych młodych ludzi prócz nich samych, natomiast mnóstwo najpiękniejszych kobiet, nie mogących się oprzeć tym wspaniałym paryskim kawalerom, co, jak wichry, wpadali z pola bitwy, rozbawieni i zakochani, by następnego ranka zniknąć—może na zawsze.

Wesoły Lasalle, piękny Colbert, Gardanne ze słynną swą kędzierzawą brodą, Turenne, Ségur — najarystokratyczniejsi młodzieńcy, którym stare damy kazały się przedstawiać i płonąć zapytywały: „Jakże się miewa książę-ojciec“?

A oficerzy, mniej dostojni rodem, mieli otwarte zamki i dwory rycerskie z polowaniem, zabawą, tańcem i śpiewem, ile tylko chcieli. W kuchni i piwnicach napotykali ziomków, którzy zastawiali im stoły jakby w Paryżu, a piwniczy z przyjemnością wydobywał z piwnic stare francuskie wina swego pana.

Gdy garnizony stawały po wielkich miastach niemieckich, oficerzy nie znali miary w psotach wszelakiego rodzaju; zawracali przedewszystkiem głowy kobietom, do rozpacz doprowadzając krajowców. Pewien młody generał wpadł na pomysł powiedzenia swemu niemieckiemu krawcowi, że najnowsza moda paryska zaleca obcisłe białe jedwabne spodnie z czerwonymi kutasami u kolan. Po-

wierza mu to jednak w najściślejszej tajemnicy, gdyż on jeden chce być na najbliższym balu ubrany po-  
dług najświeższej mody.

Oczywiście, generał nie zawiódł się w swych oczekiwaniach. Krawiec rozpaplał tajemnicę, a oficerzy francuscy śmieli się do woli, widząc miejscowych lwów salonowych, wchodzących jeden po drugim na salę balową w białych obcisłych jedwabnych spodniach z czerwonymi kutasami u kolan.

Prości żołnierze i podoficerzy zalewali się winem i piwem niemieckiem i wywijali w tańcu z dziewczętami, że ciężkie spódnice fruwały jak u baletnic. Bo nikt nie mógł się ustrzedz przed tymi szaleńcami, co mówili niezrozumiałym, delikatnym językiem państwa, a mieli tak natrętne ręce, silnie obejmujące w pasie; przytem tańczyli i skakali, jak gdyby w nogach mieli sprężyny.

Walki były zaciętsze i wogóle cała wojna miała charakter poważniejszy, niż we Włoszech. Mimo to za pierwszych wypraw niemieckich długo jeszcze wśród wrzawy wojennej brzmiała melodia polki, powoli znikając, w miarę jak z obrachunku książąt wyłaniał się obrachunek narodów.

Napoleon wiedział teraz, że potrafi pobić Rosyan i Niemców, jakkolwiek się tam zowią. U Niemców niezbyt rozróżniał poszczególne szczepy; było mu to obojętne. Dlatego to po odjęciu władzy panującemu księciu, zaciągał wojska z armii pokonanej, oddawał je pod rozkazy francuskich oficerów i wraz ze swymi Francuzami wysyłał w bój. Na szczęście wielu żołnierzy z pogranicza, a niemal wszyscy oficerowie niemieccy rozumieli trochę po francusku.

Napoleon nie dopatrywał się w tem żadnego niebezpieczeństwa, a gdy wojska te w r. 1813 przeszły na stronę swych rodaków — co nam się wydaje zupełnie zrozumiałem — Napoleon poczytywał to za najczarniejszą zdradę. Bo on sam nie miał zbyt silnie wyrobionego poczucia narodowości.



Poczucie narodowe u Napoleona było właściwie tylko naturalną świadomością, że jest największym synem największego narodu, a to, co on przynosi innym narodom jest najlepszem, co można otrzymać, gdyż jest francuskim. Miłość ojczyzny poza i ponad własną osobą była mu nieznaną.

Nie wiedział, że istnieje miłość ojczyzny, przekraczająca wszelkie granice rozsądku, miłość uporczywa do własnego kraju, przenosząca codzienną walkę, a nawet śmierć, nad najlepsze warunki z ręki obcej.

Gdy była mowa o wyładowaniu w Anglii, a bardzo wielu ludzi nawet samego tego projektu nie mogło brać na seryo, Napoleon ważył w myśli wszystkie trudności, czyniąc wszelkie możliwe przygotowania na morzu i lądzie.

Tylko nie umiał się liczyć z narodem angielskim; nie umiał sobie wyobrazić, co nastąpi, gdy nieprzyjaciół ruszy na Londyn. Napoleon miał tylko doświadczenia z kontynentu, gdzie skutkiem lekkomyślnych wojen między książętami, granice krajów ciągle się zmieniały.

Dlatego to Hiszpania, na którą się teraz rzucił, stała się dlań fatalną zagadką, nad której daremnym rozwiązaniem trawił siły.

Bo Hiszpanie przed stu laty byli narodem, przenoszącym śmierć nad poddaństwo.

---

Prawdą jest, że pod bezprzykładnie lichymi rządami, Hiszpania, na krótki czas przed bitwą pod Jeną, w idyotyczny sposób wydała Francyi wojnę. Ale niemniej jest prawdą, że Napoleon po natychmiastowem stłumieniu próby wojny, całkiem bezprawnie wmieszał się w sprawę Hiszpanii.

Zamiar jego był całkiem jasny. Pragnął zdobyć także koronę hiszpańską dla jednego z członków rodziny, a równocześnie przez Hiszpanię zadać

cios najgorszemu swemu wrogowi, Anglii, która z Portugalii uczyniła już była coś w rodzaju pośredniczki handlowej.

Generał Junot otrzymał rozkaz przeciągnięcia z wojskiem spokojnie przez Portugalie i obsadzenia Lizbony.

Junot nie był wybitnym generałem, a tem mniej dyplomata; a jeśli Napoleon porучzył mu tak ważne zlecenia, to jedynie dlatego, że znał jego bezwzględna odwagę, dzięki której wykona rozkazy najbardziej nawet niemożliwe.

Zdobyl też istotnie Portugalie w ciągu jednego miesiąca i, stosownie do rozkazu, przybył do Lizbony 30 listopada 1807 r., prowadząc z sobą resztki armii, doszczętnie prawie zniszczonej przez uciążliwe marsze i walki.

Za jego zbliżeniem się do Lizbony, królewska rodzina Braganza, wraz z dworem i niezmiernymi bogactwami, schroniła się na flotę i odplynęła do cesarstwa brazylijskiego.

Napoleon mianował Junota księciem Abrantes po zwycięstwie, odniesionem w Portugalii.

Junot przeciągnął przez Hiszpanie całkiem spokojnie, jakby przez państwo, z którym wojna została ukończona. Tak samo zachowały się początkowo wojska w liczbie 70,000, które cesarz posłał Junotowi do Portugalii. Nagle jednak wojska te, pozostające pod dowództwem marszałka Monceya, księcia Conegliano i generała Duponta, zaczęły na rozkaz swych dowódców obsadzać hiszpańskie miasta i twierdze.

Dnia 6 czerwca 1808 r. Józef Bonaparte został obwołany królem Hiszpanii. Dotychczas bawił się był tak świetnie jako król wesołego Neapolu, zdala od swego niespokojnego brata, że niezbyt był uradowany awansem, powołującym go na stary, trwoga przejmujący tron Hiszpanii, gdzie mu się też nie powiodło.



Mądry generał Exelmans lepiej zwał naród hiszpański, niż Napoleon; starał się go też przekonać, że jest to najniewłaściwszy sposób postępowania z Hiszpanami, lecz nikt go nie chciał słuchać.

Skutek był taki, że cała Hiszpania stawiała opór, który zaraz na początku przybrał charakter rewolucyi; podniósł się też bunt przeciw temu królowi, narzuconemu im przez obcą władzę. Z tą chwilą rozpoczęła się zaciekła wojna między Hiszpanami a Francuzami, która trwała nieprzerwanie aż do upadku Napoleona.

Co zupełnie odróżnia wojny w Hiszpanii od bitew na otwartem polu we Włoszech i Niemczech, gdzie francuscy generałowie dotąd zwyciężali, to przedewszystkiem naturalne ukształtowanie kraju, ułatwiające mniejsze utarczki i niespodziane napady. Przytem wojna ta była powstaniem ludu; dumny naród brał w niej udział zaciekle; każdy mężczyzna, każda kobieta nieśli w ofierze swe siły. Walczono też gromadnie, z zasadzek i skrytobójczo; w ten sposób padło rychło więcej Francuzów, niż we właściwych walkach.

I jeszcze jedna okoliczność nadaje wojnom hiszpańskim ponury charakter. Oto żołnierze francuscy przyzwyczajali się uważać kobiety kraju zdobytego za łup im należny. Na to nie chciały się zgodzić Hiszpanki i co Francuzi rozpoczęli nawpół żartem, przy nieoczekiwanym oporze, przybrało formy ostrzejsze, aż nareszcie wyrodziło się w jawny gwałt i haniebne nadużycia ze strony zwycięzców.

Wściekłość Hiszpan nie знаła wkrótce granic; walkę rozproszoną prowadzono z zimnem okrucieństwem, jeńców dręczono i kaleczono; żaden pojedynczy Francuz nie był w Hiszpanii pewny swego życia. A gdy nadciągnęły wojska, ujrzały swych towarzyszy powieszonych wzdłuż dróg, nagich i okaleczonych; zaś ze sposobu okaleczenia łatwo można było poznać, że była to zemsta za kobiety.

Najgorsza jednak, że francuskim wojskom zaraz na początku wielkie się zdarzyło nieszczęście.

Korpus francuski, pod dowództwem generała Duponta, maszerował wzdłuż Andujaru. Dupont pochodził ze starej rodziny oficerskiej i z trudem tylko uszedł był gilotynie. Carnot umieścił go był wraz z Clarkiem w topograficznym oddziale ministerstwa wojny, lecz Dupont dowodził także pod Marengo i był nawet tym oficerem, który po bitwie zawarł ugodę z generałem Melasem. Pod Dürnstein pozostawał pod komendą marszałka Mortiera, a po bitwie pod Frydlandem otrzymał wielką wstęgę legii honorowej. Należał on do najwybitniejszych generałów i cesarz pokładał w nim zaufanie.

Pewnego dnia czerwcowego, w r. 1808, stał z małą częścią swego korpusu pod Bayleu naprzeciw generała hiszpańskiego Redinga, rodem Szwajcara. W małej potyczce padł jeden z generałów Duponta, Gobert, a obejmujący jego miejsce Dufour, dzielny generał, który później zginął pod Beresyną, był nieprzygotowany do walki. Przyłączyły się także inne niepowodzenia. Ordynanse pobłądziły, nieprzyjaciel przejął rozkazy, skutkiem czego powstały nieporozumienia i urządzono szereg niedanych manewrów. Nadto panowały straszne upały i Dupont zachorował.

Z tego wszystkiego tak dobrze skorzystał generał Reding, że po nierównej walce dn. 20 czerwca zdołał zmusić Duponta do zawieszenia broni.

Równocześnie jednak został Reding z drugiej strony zaatakowany przez generała Wedla, że znalazł się nagle pomiędzy Dupontem a Wedlem i niewątpliwie byłby został zdruzgotany, gdyby mu się nie udało skłonić Duponta do zawiadomienia Wedla przez ordynansa o zawieszeniu broni.

Wobec tego generał Wedel zaniechał walki i puścił nawet na wolność pojmany regiment hiszpański.



Ale gdy Wedel jeszcze walczył, jeden z adjutantów Duponta, Villoutrai, fałszywie zrozumiawszy jego rozkaz, doniósł przez pomyłkę hiszpańskiemu generałowi Castanos o zawieszeniu broni.

Castanos, przyspieszywszy marszu, dotarł do Bayléu, a za jego przybyciem sytuacja stała się tak rozpaczliwą, że zawieszenie broni przemieniło się w zupełną kapitulację. Nie dość na tem: generałowie Wedel i Dufour, dowiedziawszy się o kapitulacji Duponta maszerowali naprzód, by dotrzeć do Madrytu, aż tu po jednodniowym marszu otrzymali przez adjutanta od Duponta wieść, że także ich oddziały objęte zostały kapitulacją. W przystępie niepojętej głupoty generałowie ci posłuchali i poddali się, a dzielnych swych żołnierzy kazali rozbroić i wziąć w niewolę hiszpańską.

Cała armia, licząca 21,000 żołnierzy, z 40 armatami i 2,400 jeźdźcami, dostała się w niewolę. Tylko bardzo niewielu z tych doskonałych żołnierzy wróciło do ojczyzny. Niemal wszyscy zginęli w strasznych więzieniach hiszpańskich wskutek głodu, brudu i okropnych prześladowań.

Wyżsi oficerzy — jak to wogóle było zwyczajem, a szczególnie w Hiszpanii — nagromadzili ogromne łupy, które wieźli z sobą w trenie wózowym armii. Pomrukiwano też, że generałowie więcej, niż należało, myśleli o cennych swych ładunkach.

Gdy jednak żołnierze zobaczyli, że nędzne ich tornistry mają być poddane rewizyi, w rozgoryczeniu wskazali cały tabor oficerów, gdzie też znaleziono mnóstwo obrazów i kosztowności z kościółów i zamków.

Była to najstraszniejsza hańba, jaka kiedykolwiek spadła na armię Napoleona. Otrzymał o niej wiadomość dn. 1 sierpnia w Bordeaux, a ból jego i gniew nie miały granic.

— Pragnąłbym własną krwią zmyć tę hańbę! — zawołał.

Znakomity generał inżynierji Marescot, tak samo generał Privé protestowali przeciw kapitulacji; dlatego hańba ta na uich nie spadła.

Generał Privé aż do 1814 r. pozostawał w angielskiej niewoli, lecz Dupont został uwieczniony. Proces jego, o ile wiem, nigdy się nie zakończył, ale po r. 1814 Dupont doszedł do godności i zaszczytów pod Burbonami.

Gdy wieść o kapitulacyi w Bayléu rozeszła się po całej Hiszpanii, wywarła olbrzymie wrażenie; gloria francuskiej niezwyciężoności prysła w jednej chwili i niepodobna już było stłumić jawnej rewolucyi. Po ośmiodniowych rządach w Hiszpanii, król Józef w pośpiechu, równającym się ucieczce, musiał opuścić Madryt.

Miara nieszczęścia Francuzów w Hiszpanii w r. 1808 dokonała się ostatecznie, gdy generał Wellesley, późniejszy lord Wellington, wylądował z wojskiem angielskiem na północ od Lizbony, i połączwszy się z Portugalczykami, na czele 26,000 żołnierzy ruszył na Vimeiro.

Nieustraszony Junot, przed niczem się nie cofając, z 10,000 ludzi stawiał czoło nieprzyjacielowi. Walczył przez 5 godzin i co prawda przegrał bitwę, lecz także po przegranej trzymał się tak silnie, że generał angielski zaproponował mu kapitulację pełną godności, która też została spisana w sławnym klasztorze pod Cintra, w pobliżu Lizbony.

Armia Junota z bronią i wszelkiego rodzaju zapasami została przewieziona do Francyi na angielskich okrętach, tak, że on i jego ludzie bez hańby opuścili półwysep pirenejski.

Niemniej owa kapitulacya przy Cintra, bezpośrednio po hańbie koło Bayléu, uczyniła sprawę Francuzów straconą, a Anglię, których wojska zostały teraz w Portugalii, zostali przez Hiszpan przyjęci jako przyjaciele i sprzymierzeńcy.

A w ciągu krótkiego czasu sprawy tak się



ułożyły, że naród hiszpański, który przy rozsądnem i względnem obchodzeniu się Francuzów, niewątpliwie byłby się z nimi połączył, by obcych Anglików trzymać zdala od półwyspu, obecnie zawarł sojusz z Anglikami, w celu zniszczenia Napoleona.

Gdy Napoleon i Aleksander rozstawali się w Tylży w r. 1807, wzajemnie dali sobie przyrzeczenie, że przed końcem następnego roku ponownie się spotkają.

Wypadki w Hiszpanii i wojska angielskie w Portugalii spotęgowały jeszcze tę potrzebę spotkania. Należało ostatecznie rozstrzygnąć o losach Prus; Austria rozpoczęła wielkie przygotowania wojenne i reorganizowała obronę krajową.

Gdy Napoleon w r. 1808 przybył na umówione spotkanie do Erfurtu, był zupełnie przygotowany do wojny, jak świadczy list, pisany do brata Józefa:

„Mam jedno wojsko pod Passawą, drugie w Warszawie, trzecie na Śląsku, czwarte w Hamburgu, piąte w Berlinie, szóste w Bulonii, siódme na drodze do Portugalii. W Bulonii gromadzę wojsko rezerwowe, jedno mam we Włoszech, jedno w Dalmacyi, a jedno w Neapolu. Wszędzie na wybrzeżach rozstawiłem garnizony”.

W Erfurcie stawili się wszyscy niemieccy książęta, z wyjątkiem króla Prus i cesarza Austrii. W miejsce tego ostatniego przybył baron Vincent z usprawdliwieniem. Pówód niezjawienia się cesarza Austrii był ten, że czuł się obrażonym, widząc jak Napoleon o nikogo się nie troszczy prócz Cesarza i jak ci obaj zabierają się do uporządkowania spraw Europy, nie zapraszając jego do współudziału. Przytem Austria była mocno zajęta potajemnem zbrojeniem wojsk.

W ciągu czterestu dni, spędzonych razem

w Erfurcie, oby dwaj monarchowie w najzażyłszym pozostawali stosunku i wszyscy mieli wrażenie, że samowładca rosyjski dumny był z przyjaźni, jaką go Napoleon zaszczycał.

„Przyjaźń wielkiego człowieka jest darem łaskawych bogów“, padło pewnego wieczora ze sceny, na której Talma i inni artyści z *Théâtre français* występowali w tragediach.

Przy tych słowach Aleksander ujął rękę Napoleona i rzekł z przejęciem: „To czuję teraz każdego dnia“.

Napoleon, jak zawsze, obsypywał darami. Wielkiemu Księciu Konstantemu ofiarował niezwykle kosztowną szpadę, lecz Cesarzowi wręczył swoją własną. Przyjmując broń, Cesarz powiedział:

— Przyjmuję ten dar przyjacielski, a Wasza Cesarska Mość może być pewnym, że nigdy jej przeciw wam nie wydobędę.

Dn. 14 października monarchowie się rozstali. Jeden powrócił do swego państwa na Wschód, drugi na Zachód i nigdy się już nie zobaczyli.

Mówiono, że za ostateczny cel wszystkich swych wojen Napoleon postawił sobie był pokój powszechny. Twierdzenie to mogło być o tyle prawdziwe, że jako cel ostateczny Napoleon wyobrażał sobie taki stan, że wszyscy panujący zostaną zgębieni, a on jeden, uznany za największego, zawładnie Europą.

Książąt, dotąd spotykanych, tak bardzo przewyższał osobiście, że wymuszone ich uznanie niewiele mu sprawiało satysfakcyi. Dla Anglii nie miał zrozumienia — podług jego poglądów nie była ona żadnem królestwem. Ale potężny Cesarz Rosyi! pozyskanie jego przyjaźni było celem Napoleona; z nim gotów był dzielić władztwo nad światem.

Dlatego więcej sobie zadawał trudu celem zdobycia tego jednego człowieka, niż kiedykolwiek w życiu wobec innych ludzi. Swym wielkim, nie-



zwykłym umysłem, swą wiedzą i całym urokiem, właściwym jego charakterowi, olśniewał młodszego od siebie monarchę, który musiałby chyba być z kamienia, gdyby na to wszystko pozostał nieczułym. A Aleksander I był pod pewnym względem bardzo wrażliwy i skory do wzruszeń.

A jednak był to Napoleon, który się pozwolił zupełnie otumanić. Nie jakoby go inni mogli wywieść w pole. Napoleon był zbyt na to chytry; sam umiał być fałszywym, a udawanie i intrygi węszył zdaleka.

Wszelako ogromna jeszcze różnica między przygodną niejako fałszywością Napoleona, a jej formą azyatycką, gdzie bezwzględna, nieodpowiedzialna fałszywość stanowi cel i treść wychowania młodego księcia, oraz najpierwszą prerogatywę dojrzałego władcy.

Aleksander mógł być przejęty, oczarowany, a każde słowo przezeń wypowiedziane, mogło też być szczerem. Z tego jednak nie wynikało u niego nic, coby mogło go do czegokolwiek zobowiązywać, a tem mniej skłonić do zmiany sądu o Napoleonie, lub do zapomnienia choćby na sekundę, że ten czarujący człowiek nie jest jednak nikim innym, jak tylko korsykańskim awanturnikiem, który zwie się Bonaparte, a na którego karku on, cesarz Rosyi, któregoś dnia postawi swój but rosyjski.

W miarę jak król saski coraz więcej się doń zbliżał, a pomniejsi książęta niemieccy zupełnie się ukorzyli, Napoleon tembardziej przyciągał ku sobie cesarza. Nie mierzył zazdrośnie swej potęgi z władzą cesarza. Jako starszy poprzestawał na olśnieniu młodszego od siebie władcy przewagą swej osobistości; sprzymierzony z Aleksandrem i przez niego uznany, zrezygnowałby z dalszych pretensyj, by po rozbiciu Anglii dzielić z nim władzę nad światem.

Na Razie Rosya miała wziąć Finlandyę, a Francya półwysep Pirenejski.

Dnia 19 października Napoleon był znów w St. Cloud.

W parę lat później, podczas otwarcia zgromadzenia ustawodawczego, wygłosił mowę, w której oświadczył: „Za parę dni wyruszam do Hiszpanii, by stanąć na czele armii, ukoronować w Madrycie mego brata na króla Hiszpanii, i zatknąć nasze orły na twierdzach Lizbony. Cesarz Rosyi bawił ze mną w Erfurcie. Jesteśmy z sobą zgodni i nierozwalnie sprzymierzeni w wojnie i pokoju“.

Dnia 4 listopada 1808 r. cesarz sam wkroczył do Hiszpanii, gdzie natychmiast zaczął odnosić zwycięstwa. Józef wyszedł naprzeciw bratu, razem z nim ruszył na Madryt. Bardzo wielu najpierwszych generałów Napoleona było teraz w Hiszpanii; kolejno stawiali się jeden po drugim; tylko Davoust został tym razem oszczędzony. Przybyli natomiast: Suchet, Soult, Ney, Massena, Victor, Marmont — na każdego przychodziła kolej, lecz żaden z nich nie wyszedł bez szwanku.

Pod Somo-Sierą korpus armii, przy którym był cesarz, musiał stoczyć straszną walkę, która później stała się sławną w dziejach. Generał Victor, zamianowany właśnie po bitwie pod Frydlandem marszałkiem i księciem Belluno, stał u stóp osławionej przełęczy Somo-Sierra. Cała przełęcz była otoczona szancami, w których znajdowało się 16 armat, a 10,000 piechoty ustawiono po obu stronach wąwozu. Dowództwo objął generał San-Benito.

Było to stanowisko, uchodzące za niezdobyte; wziąć je mogła jedynie liczna i wytrzymała piechota. Ale po kilku nieudanych atakach Napoleon stracił cierpliwość. Rozkazał generałowi Montbrun wziąć pozycję tę przy pomocy polskich ułanów, którzy pozostawali pod jego dowództwem, a należeli do własnej gwardyi cesarza.



Było to coś niebywałego, wysyłać jazdę na taką pozycję, ale cesarz był niecierpliwy i wiedział, że do wykonania tego zlecenia nikt się nie nadaje tak dobrze, jak Polacy. Nie zawiedli też jego zaufania, lecz wykonali szalony hazard; wdarli się z końmi na górę i przesadzili szanę. Hiszpańscy artylerzyści zostali zakłuci przy swych armatach, a Montbrun, mimo okropnych strat, zdołał nieprzyjaciela wyprzeć z wąwozu, otwierając tem samem drogę francuskiej armii. Wzięto też znaczne łupy w żołnierzach i zapasach.

Gdy polscy ułani ruszyli do ataku, w ślad za nimi poszedł młody Ségur; właściwie należał on do osobistego orszaku cesarza, w podróży spełniając obowiązki adjutanta, a w domu oficera pałacowego.

Cesarz, o ile sobie przypominam, prosił go, by zajął miejsce poległego oficera; tym sposobem wziął on udział w tem zwycięstwie, uchodzącem za jedyny w swym rodzaju cud kawaleryi. Ségur odniósł co prawda tak ciężkie rany, że z trudem uszedł śmierci.

Został później hojnie nagrodzony i jako generał pozostał do ostatniej chwili przy cesarzu, a zmarł w 1871 roku, licząc 91 lat. On to właśnie napisał doskonałe Pamiętniki, w których zwłaszcza świetnie opisał kampanię rosyjską.

Ojciec jego służył pod Katarzyną II, cesarzową Rosyi, lecz wcześniej przeszedł w usługi Napoleona, sprawując w Tuilleryach godność najwyższego marszałka dworu i mistrza ceremonii. Napoleon był z niego dumnym.

Dla Polaków Napoleon nie był dobrym. Nie jakoby ich w służbie traktował surowo lub niesprawiedliwie. Przeciwnie, atak na Somo-Sierre uchodził i w dalszym ciągu uważany jest przez obie strony za pewnego rodzaju komplement. A wielu polskich oficerów doszło do wysokich rang; było wśród nich kilku generałów, a książę Poniatowski

piastował nawet przez kilka dni godność marszałka, zanim zginął pod Lipskiem. General Dąbrowski przywoził Polakom podczas wojny rosyjskiej, a w młodości swej Napoleon najbardziej lubił adjutanta Sułkowskiego, Polaka, który padł jeszcze w Egipcie.

Natomiast pod względem politycznym zawiódł Napoleon okrutnie oczekiwania poświęcających się dla niego Polaków.

Napoleon dobrze rozumiał, że nie jest to naród, nadający się do stworzenia królestwa dla Bonapartego i skłonny do słuchania we wszystkim rozkazów z Paryża, a tego właśnie cesarz pragnął. Przytem nie chciał postępować wbrew woli swego przyjaciela, cesarza.

Fanatyczna miłość swobody i płomienna nienawiść Polaków do tyranów wcale nie odpowiadały intencyom Napoleona. Dlatego nie zostało odbudowane państwo polskie — ustawiczny cel marzeń Polaków. Cesarz przyjmował ich usługi, zbywając ich napomknieniami i półobietnicami, na których się też skończyło.

Po bitwie pod Somo Sierra Napoleon mógł ruszyć wprost na Madryt i z łatwością wziąć to miasto. Zrozumiał jednak, że złym byłoby początkiem powtórne wprowadzenie Józefa przemocą do królestwa ze splądrowaną stolicą. Wolał więc czekać i, zamknąwszy ze wszech stron miasto, zmusił je, by dobrowolnie się poddało.

Z wielkim trudem udało się zwierzchniczym władzom hiszpańskim utrzymać ludność w karchach o tyle, że ponowne osadzenie na tronie króla Józefa dokonało się na pozór spokojnie. Napoleon nieomieszkiał wystosować do ludu hiszpańskiego bombastycznych proklamacyi, które najmniejszego nie wywarły wrażenia.

Wielkie natomiast wrażenie uczynił na cesarzu fakt, że Hiszpanie mimo wielkiej niechęci do Fran-



cuzów, byli jednak tak pełni czci i wierności dla przedstawiciela korony, iż król Józef zastał swój pałac w Madrycie zupełnie nietknięty, jak go był opuścił. Nawet portrety familijne Bonapartów wisiały na swych miejscach, a między nimi sławny obraz Dawida: generał Bonaparte w Alpach.

Napoleon nie mógł zrozumieć takiego rysu narodowego, który sprawiał, że narzucony król był przedmiotem nienawiści, lecz król Hiszpanii był w zamku swym bezpieczny. Gdyby zaraz na początku i bez uciekania się do przemocy Józef zajął był miejsce dawnego znienawidzonego i podłego rodu królewskiego, wszystko byłoby może inny przybrało obrót—teraz było już zapóźno.

Dnia 22 grudnia Napoleon opuścił Madryt, by osobiście kierować wojną. Była ona głównie skierowana przeciw Anglikom, którzy przekroczyli Duro i zbliżali się do Valladolid. Dla obrony króla Józefa cesarz zostawił w Madrycie marszałków Victora i Lefebvra, oraz generałów konnicy: Lasalle'a, Milhauda i Latour-Maubourga.

Zaraz na początku zdarzyło się kilka nieszezęśliwych wypadków. Generał Lefebvre - Desnouettes przez nieostrożność przeprawił się z 400 dragonami przez bród, aby zająć wieś Bonavente, którą uważał za bezbronną. Na nieszezęście pozostało tam jeszcze 2,000 angielskich jeźdźców, którzy rzucili się na mały oddział; Lefebvre - Desnouettes został ranny, zastrzelono pod nim konia, a generał wpadł do wody i został pojmany w niewolę.

Generał August Colbert — było trzech braci Colbertów—otrzymał naczelne dowództwo nad wojskami Lefebvre'a, które trzymały część przedniej konnej gwardyi marszałka Bessieres. W dwa dni później padł młody dowódca, a umierając rzekł: „Umieram jako dzielny żołnierz wielkiej armii, gdyż widzę ucieczkę najgorszego wroga mej ojczyzny“.

Był on jednym z lwów dworskich i należał do najpiękniejszych mężczyzn całej armii.

Ale pod kierownictwem cesarza marszałkowie Ney i Soul kilkakrotnie pobili Anglików; generał Boore padł na polu bitwy, a generał Baird otrzymał niebezpieczną ranę na moście del Curgo, koło Torunny. Można też było przewidzieć, że pod wodzą Napoleona wojna zakończy się rychło zdobyciem półwyspu i wypędzeniem Anglików. Bo był on jedynym dowódcą, mogącym kierować równocześnie kilku armiami i mieć na oku wszystkich generałów.

Jednakowoż, w połowie stycznia 1809 r. cesarz otrzymał w Valladolid takie wiadomości z Paryża, przede wszystkim o wrogiem stanowisku Austrii, że bezzwłocznie dosiadł konia, pozostawiając Hiszpanię Józefowi, z marszałkiem Jourdanem jako generałem naczelnym.

Fakt, że Napoleon tak niespodzianie porzucił armię w kraju nieprzyjacielskim, rozbudził wspomnienie jego dawniejszego nagłego wyjazdu z Egiptu, a gdy później w życiu jeszcze raz postąpił tak samo, oficerowie jego mocno się oburzali, bo żołnierze wszystkie postęпки Napoleona przyjmowali bez szemrania.

Istniał pewien szczegół, gorliwie podawany do wiadomości wszystkich dworów europejskich i najwyższych kół arystokratycznych, przez bawiących w Paryżu dostojnych cudzoziemców. Tym szczegółem gorąco roztrząsanym był fakt, że Bonaparte nie umie jeździć konno, że źle siedzi na koniu i niekorzystnie przedstawia się jako jeździec. Czerpali ztąd poniekąd pociechę, że ten człowiek, przewyższający ich pod każdym względem, nawet w wystąpieniu osobistem, nie dorównywa im jednak w dystyngowanej jeździe konnej.

W rzeczywistości był Napoleon niedbalym jeźdźcą, troszczącym się jedynie o to, by, pędząc



na łeb na szyję, co prędzej stanąć u celu jazdy. Nie miał nigdy czasu, ani chęci wyuczenia się dobrej pozycyi na koniu, do czego zwłaszcza książęcy synowie ogromną muszą przykładać wagę.

Całemi godzinami siedzieć nieruchomo na koniu i odbywać przegląd wielkich wojsk ma podobno być pozycją ogromnie męczącą zarówno dla człowieka, jak dla konia. Cesarz rosyjski ma cały szereg rumaków, tak wytresowanych, że ani drgną żadnym członkiem, całemi godzinami stoją nieruchome, jakby z brązu odlane.

Napoleon natomiast zawsze był w ruchu; nawet podczas rewii był tu i tam, ponieważ oko jego miało wszystko widzieć, a myśl była właśnie przy rzeczach widzianych — nie mógł się więc troszczyć o to, jak sam wygląda. Dlatego cudzoziemcy, widząc małego człowieka w szarym mundurze, kierującego wspaniałym rumakiem w ten sposób, że ani na chwilę nie zwracał uwagi na zwierzę, ani na sztukę jazdy, uważali go za jeźdźcę średniej miary.

Gdzie jednak chodziło o przebycie niebezpiecznego terenu, lub o wytrzymałość, był jeźdźcem, jakich niewielu posiadała Europa. Dn. 16 stycznia w szybkim galopie przybył do Burgos z Valladolid, które opuścił tego samego ranka — przebywszy w ciągu pięciu godzin 35 mil francuskich. Stąd, nie opuszczając powozu, pojechał do Bajonny i dalej do Paryża, gdzie przybył sam jeden, gdyż nikt nie mógł mu nadażyć. Dnia 23 stycznia powóz jego galopem wjechał do Tuilleryów, a nazajutrz Paryż ze zdumieniem dowiedział się z „Monitora“, że Napoleon powrócił z Hiszpanii.

Austria hamowała się przez cztery lata, nie mogąc jednak stłumić nienawiści do zuchwałego syna rewolucyi, który w proch zmiotł jej wojska, by nakoniec jako cesarz zająć miejsce u stołu monarchów. Przytem otrzymano posilki pieniężne i gorące wezwania ze strony Anglii, które się jeszcze

spotęgowały, gdy obecność cesarza omal nie spowodowała wypędzenia Anglików z Hiszpanii. Gdy więc Austria groźną swą pozycją skłoniła Napoleona do opuszczenia Hiszpanii, w rzeczywistości oddała tem wielką przysługę Anglii; natomiast Franciszek Józef drogo okupić musiał to nierozważne wypowiedzenie wojny.

Austriacy zebrali wielką i sprawną armię, liczącą niemal 300.000 żołnierzy, przytem posiadali co najmniej jednego z największych hetmanów owego czasu: arcyksięcia Karola. Wojska były rozstawione w Polsce, Saksonii, Tyrolu i Włoszech pod dowództwem arcyksiążąt: Karola, Ferdynanda i Jana, oraz generałów, Kołowrata, Bellegarde'a i Hillera.

Francuskie siły zbrojne rozmieszczone w sposób następujący: Poniatowski w Polsce, Bernadotte w Saksonii, generał Gratien w Holandyi, a król Hieronim w Westfalii; były to właściwie wojska rezerwowe.

Główna armia, pozostająca bezpośrednio pod dowództwem cesarza, składała się z korpusów Lanessa i Oudinota; Davoust z trzecim korpusem stał pod Ratysboną, a Massena z czwartym pod Ulm. Siódmy korpus, złożony z 30,000 Bawarczyków stał pod księciem z Gdańska koło Monachium; ósmy pod Vandemme'm liczył 12,000 Wirtemberczyków i 12,000 innych Niemców. Macdonald i Marmont ciągnęli z Włoch na północ. Razem armia ta liczyła 267,000 żołnierzy.

Nakoniec, po wielu gorzkich słowach i długich intrygach, Napoleon dowiedział się 12 kwietnia wieczorem, że arcyksiążę Karol przebył In; w chwilę później cesarz siedział już w swej podróźnej karecie i galopem pędził na wschód. Dn. 17 kwietnia Napoleon stanął z główną kwaterą w Donauwörth.

Na początku tej wyprawy nie było prawie dnia, by się nie odznaczył któryś z francuskich ge-



nerałów i armia francuska torowała sobie drogę na wschód ku Wiedniowi po części wielkimi, krwawymi bitwami.

Pod Abersbergiem Napoleon porучzył prze-ważnie Bawarczykom i Wirtembergom pobicie Austriaków pod wodzą generała Hillera i istotnie cudzoziemskie te wojska, pod naczelną komendą Davoust, Lannesa i Vandamme'a odniosły wielkie i całkowite zwycięstwo.

Marszałek Davoust, który już był księciem Auersztädtu, został teraz księciem Eckmühlu, małej wioszczyny w pobliżu Ratysbony, gdzie po niezwykle gorącej trzechgodzinnej walce zniszczył korpus armii arcyksięcia Karola, otwierając temsamem drogę do Wiednia. Generał Cervoni, pochodzący z włoskiej rodziny, został zastrzelony w chwili, gdy przed cesarzem rozkładał mapy, a generał Clement stracił ramię pod Eckmühlem.

Pod Ratysboną Napoleon został ranny, jedyny raz w życiu; było to drobne zadraśnięcie pięty. Król bawarski, wypędzony z Monachium przez Austriaków, w tryumfie powrócił do swej stolicy; a wszystkie wojska francuskie, pędząc przed sobą nieprzyjaciół, ruszyły teraz w kierunku Wiednia.

Po raz pierwszy maszerował Napoleon bez swej gwardyi. Umyślnie otoczył się teraz Bawarczykami i Wirtembergami, by ich wynagrodzić w ten sposób za zwycięstwo pod Abensbergiem i zbliżyć do swej osoby.

Dn. 10 maja o godzinie 9 Napoleon stanął u bram Wiednia. Ponieważ jednak miasto ociągało się z poddaniem, więc nazajutrz wieczór kazał na miasto rzucić 1800 bomb, które na rozmaitych miejscach natychmiast wzniciły pożar. Dnia 12 maja rano Wiedeń się poddał, a generał Andrassy został gubernatorem miasta.

Tymczasem okazało się koniecznem po zajęciu Wiednia przekroczyć Dunaj, gdzie nieprzyjacielska

armia stała jeszcze pod wodzą arcyksiążąt i generała Hillera—gotowa do boju.

Do przeprawienia się przez Dunaj potrzebne były cztery mosty, gdyż należało przebyć kilka wysp, z których ostatnia oddalona była od lewego brzegu rzeki tylko ramieniem trzystu do czterystu stóp szerokiem. Natychmiast przystąpiono do robót, pod kierownictwem generalów inżynierów Per-nettiego i Bernarda. Ten drugi nie był jeszcze wówczas tak sławny, jak się nim stał później; a jako inżynier nie uchodził też za taką znakomitość jak Leriboisiere, Chasseloup, Maresco lub Hesco, ani też jak wielki Eblé, który później rzucił mosty nad Berezyną.

Dn. 19 maja Napoleon rozkazał łączyć pontony i zarzucać mosty. Massena wyruszył przodem dn. 20 maja z dywizją Molitora; po dwugodzinnej bitwie wypędził z wyspy Austriaków, a o godzinie 12 miał już cały czwarty korpus na wyspie, która jest dość duża, a wówczas była pokryta zarostami i poprzecinana głębokimi rowami i strumieniami.

Wieczorem 20 maja Napoleon rozwinął plan przekroczenia następnego ranka ostatniego ramienia rzeki i obsadzenia dwóch wsi: Aspern i Eslingen. Nie domyślał on się—i nikt też inny się tego nie domyślał—że arcyksiążę Karol i generał Hiller tak silnie obsadzili obydwie te pozycje, że Francuzi zmuszeni byli stoczyć dwie ogromnie niebezpieczne walki, by zająć lewy brzeg rzeki—co mimo wszystko na-wpół się im tylko powiodło.

Wieczór 20 maja oficerowie i żołnierze siedzieli przy ogniskach obozowych, jak zwykle w przeddzień bitwy, dodając sobie otuchy rozmową i opowiadaniem. Młody oficer Albuquerque—z rodziny hiszpańskiej—przybył właśnie z Hiszpanii z wojskami Lannesa. On to miał szczęście odebrać szpadę od dzielnego generała Palafoxa, gdy ten wreszcie oddał Saragossę. Albuquerque owego wieczora śpie-



wał towarzyszom, którzy, znając jego piękny głos, skupili się koło jego ogniska i słuchali wesołych, to znów sentymentalnych, miłosnych pieśni hiszpańskich. Następnego dnia przepołudniem Albuquerque padł pod Aspern.

Nazajutrz rano, gdy wojska Napoleona miały właśnie przebyć ostatni most, armia nieprzyjacielska rozwinęła swe sily i odrazu rzuciła się w przeważającej liczbie na oddziały, które przeprowiły się właśnie przez most. Walka toczyła się w obrębie dwóch wsi, które w ciągu dnia pięć lub sześć razy przechodziły kolejno w posiadanie Austryaków, to Francuzów. Massena walczył pod Aspern, a Lannes pod Eslingen. Francuzi byli w mniejszości, lecz byli przecież najlepszymi żołnierzami w Europie i do samego wieczora dzielnie dawali sobie radę z nieprzyjacielem.

Marszałek Bessièrès miał w ogniu swą kawalerię, która dokazywała cudów waleczności, lecz poniosła też ogromną stratę; padł bowiem generał d'Espagne, jeden z prawdziwie wielkich dowódców jazdy i trzech jego pułkowników.

Strasznej nocy z 21 na 22 maja, Massena obozował na gruzach płonącego Aspern, a Austriacy pod Bellegarde'm obsadzili w tejże wsi kościół i cmentarz.

Wszelako, zmożone trudem, obydwie armie w milczeniu przyzwoliły sobie wzajem na parę godzin spoczynku na ciasnem polu bitwy.

Ale wśród tego zamętu stało jeszcze dość czasu na gwałtowną osobistą sprzeczkę między marszałkami: Bessièrès'em i Lannesem. Skutkiem zarządzenia cesarza kawaleria Bessièrès'a oddana została pod rozkazy Lannesa, a Bessièrès dostał się niejako pod komendę Lannesa, czego on znieść nie mógł. Powstał między dwoma marszałkami gwałtowny spór i nie wiele brakowało, a jeszcze tego samego wieczora byłby się odbył pojedynek.

Niedługo trwał nocny odpoczynek. Już o 2-ej po północy Austriacy zaczęli się poruszać! Napoleon bezustannie wysyłał adjutantów do korpusów, stojących jeszcze na wyspach po prawym brzegu, by jaknajprędzej przepравиły się na drugi brzeg rzeki.

Tymczasem mosty same były w największem niebezpieczeństwie. Austriacy bowiem ładowali na łodzie olbrzymie kamienie i wrzucali młyny i koła młyńskie i wszystko co tylko mogło pływać do rzeki, powyżej mostów. Wszystko to, porwane prądem, dopłynęło niezadługo do mostów francuskich i, utknąwszy o nie, uderzało i tłukło o pale i pontony.

Wczesnym rankiem marszałek Davoust przybył sam do cesarza, by zameldować, że niezadługo nadejdą jego ludzie: część już przybyła i razem walczyła z wczorajszymi bohaterami. Napoleon rozpoczął przeto dzień pełen dobrej otuchy, pomimo, że arcyksiążę przeważające swe masy całą siłą parł naprzód. Francuzi trzymali się niewzruszeni jak poprzedniego dnia.

Wówczas Napoleon, licząc na rychłe przybycie nowych wojsk, postanowił przejść do ataku i wydał marszałkom rozkaz złamania centrum Austriaków i odrzucenia ich na równiny.

Manewr ten, znany im doskonale z wielu jego bitew dawniejszych, został wykonany z taką szybkością i powodzeniem, że w linii bojowej nieprzyjaciela ukazał się niebezpieczny wyłom.

Arcyksiążę Karol chwycił chorągiew regimentu generała Zacha, by ludzi znów poprowadzić naprzód; przytem osobę swą narażał tak bezwzględnie, jak zwykły szeregowiec. Na nie się to jednak nie zdało, gdyż fala cofającej się armii uniosła go z sobą.

Także Napoleon był tego dnia tak nieostrożny, że generał Walther, mający go strzedz z grenadierami gwardyi, przystąpił doń i rzekł:—Jeśli Naj-



jaśniejszy Pan się nie cofnie, każe grenadyeryom, by przemocą uprowadzili Jego Cesarską Mość z pola walki.

Nie było jeszcze godziny ósmej rano, a Napoleon w podnieceniu swem spodziewał się lada chwila ujrzeć nadciągające przez most pierwsze kolumny wojsk Davoust'a.

Wtem otrzymał wiadomość, że największy most został zerwany.

Z całym spokojem i bez jednego gwałtownego słowa uświadomił sobie, że pewne zwycięstwo wymknęło mu się z rąk. Wydał Lannesowi rozkaz wstrzymania ataku, dopóki sam nie zasięgnie bliższych wiadomości. Jednakowoż wiadomości, jakie otrzymał, rychło go utwierdziły w przekonaniu, że tego dnia nie może się spodziewać pomocy z drugiej strony Dunaju; a wojska, po lewym brzegu się znajdujące, nie mają nawet dość amunicyi.

Austryakom udało się najdłuższy most otoczyć tyłu pływającymi ciężarami, że prąd rozerwał go nareszcie w samym środku.

Arcyksiążę niezadługo się dowiedział, że Napoleonowi zdarzyło się jakieś nieszczęście. Zgromadził swe siły, których już nie atakowano i rozpoczęła się jedna z najgwałtowniejszych walk, jakie kiedykolwiek stoczono. Trwała dwanaście godzin, ograniczając się na tym samym, stosunkowo wąskim, terenie. Przez cały dzień Francuzi bronili się z nieprawdopodobną walecznością; zginęło też niezwykle mnóstwo oficerów, a między nimi generał Saint-Hilaire—jeden z najwybitniejszych. Pod Austerlitz otrzymał był wielkiego orła legii honorowej i krzyż komtura żelaznej korony.

Ale Francuzi ponieśli jeszcze stratę znacznie dotkliwszą — padł bowiem sam marszałek Lannes, książe Montebello.

Adjutanci właśnie skłonili marszałka, by na chwilę zsiadł z konia i trochę wypoczął. W tem

kula armatnia strzaskała mu obydwą kolana. Żył jeszcze parę dni w strasznych boleściach i zmarł 30 maja.

Był on przyjacielem młodości Napoleona i najwybitniejszym ze wszystkich ówczesnych bohaterów. Ludzie, usiłujący przedstawić całe życie dokola Napoleona w świetle najstraszniejszym, pragną też dowiedzieć, że stosunek między Napoleonem a Lannesem wcale nie był przyjaznym.

Prawda, że Lannes mówił cesarzowi nieraz ostre słowa, a mówiąc o nim również się nie krępował. Napoleon nie był człowiekiem, do którego możnaby było serdecznie przylgnać; nawet w obcowaniu z najbliższymi zachowywał chłód, którym się rozmyślnie otaczał. Gdy ich jednak obsypywał dziękami, pochwałami lub nagrodą, to dobrze czuli, że mają w nim wiernego przyjaciela, co też poznawali z jego przelotnego spojrzenia lub uśmiechu. Cesarz, ilekroć wspominał Lannesa, za każdym razem sławił też gorąco jego zalety, a przez całe życie uczuwał brak tego najznakomitszego ze swych ludzi.

Po strasznej bitwie pod Aspern i Eslingen, uważanej za największe zwycięstwo arcyksięcia Karola, generał Mouton za swą zimną krew i niezłomną waleczność otrzymał tytuł hrabiego Lobau i znaczne dotacje.

Cesarz był spokojny i chłodny jak zawsze, gdy wieczorem zawezwał marszałków swych na naradę. Wszyscy żądali, by armię przeprowadzić na bezpieczne stanowisko po prawym brzegu Dunaju. Jednakowoż dla cesarza było niepodobieństwem cofać się tak daleko; nie chciał się zgodzić na ich żądanie i postanowił dojść tylko do wyspy Lobau.

Wydano rozkaz cofnięcia się skoro tylko zostanie ukończony krótki most, wiodący do Lobau. Obydwie wsie miały jednak jak najdłużej pozostać



obsadzone, by nieprzyjaciela, dopóki się da, trzymać w nieświadomości planu.

W nocy Napoleon sam z Berthierem przeprawił się przez Dunaj, by pocieszyć Davoust'a i innych generałów, że podczas wielkiej walki musieli pozostać bezczynni.

O drugiej po północy gwardya zaczęła się jak najciszej przeprować na krótki most do Lobau wiodący, po niej ruszyła konnica i grenadyerzy Oudinota, aż nareszcie jeszcze przed nastaniem dnia wszystkie siły przeciągnęły do Lobau.

Teraz należało przygotować racjonalną przeprawę przez rzekę. Najlepsi oficerowie inżynierii pracowali przez czterdzieści trzy dni, by sporządzić mosty, promy i pale, potrzebne do przeprowadzenia się 150.000 żołnierzy wraz z potrzebnym bagażem. Obóz w Lobau przemienił się tymczasem w najsilniejszą fortecę Europy i ze wszech stron ściągaly tu wojska francuskie. W tym czasie stoczyli też generałowie Napoleona cały szereg zaszczytnych walk, zaś on sam zajął Schönbrun.

W pierwszych dniach lipca inżynierowie ukończyli roboty, uważane w owych czasach za arcydzieła. Trzy mosty tak szerokie, że trzy wozy mogły obok siebie jechać, prowadziły z prawego brzegu rzeki przez małą wyspę do Lobau. Mosty zaś, mające stąd prowadzić na lewy brzeg były zupełnie wykończone i w ostatniej chwili miano je zarzucić na ramię rzeki. Całości chroniła olbrzymia palisada, zakończona na małej wysepce powyżej prądu wystającą wieżyczką.

W poprzek wyspy Lobau zbudowano drogę, szerokości czterdziestu stóp, wiodącą ku grobli; a wzdłuż tej drogi i mostów po obu stronach umieszczono latarnie. Na wszystkich zakrętach znajdowały się drogowskazy z rozkazem dla każdego korpusu armii.

Ze wszech stron ściągaly tu wojska, a na wy-

spie Lobau spotykali się ludzie wszystkich korpusów wielkiej armii, które w Europie wszędzie prowadziły były wojnę. Wieczorem 3 lipca zasiedli przy ogniach biwakowych towarzysze broni, przyjaciele i krewni, którzy nie widzieli się od sześciu lat i odnaleźli tu w ogromnej ciżbie. Oprócz Masseny, Davoust'a i Oudinot'a przybyli także: wicekról Eugeniusz z Tyrolu, Marmont z Włoch, Bernadotte, Vandamme, Lefebvre, król Hieronim z Drezna i Junot z Bayreuthu.

Czwartego lipca wyszedł rozkaz przeprowadzenia się na drugi brzeg. Na wąskie ramię rzeki, wiodące na lewy brzeg, rzucono mnóstwo gotowych małych mostów, z których jeden wielki wzbudzał podziw. Był cały z jednego kawałka i w ciągu ośmiu do dziesięciu minut mógł być ustawiony.

Ale wieczorem zerwała się burza niebywała. Straszna ulewa z gwałtownymi grzmotami i błyskawicami szalała na całej wyspie. A do wszystkiego przyłączał się huk armat, mających strzedz przeprawy.

Nic jednak nie zdołało wstrzymać pochodu, ni obniżyć nastroju wojsk. Jeden korpus po drugim maszerował przez mosty i wyspy wśród mroku i burzy. Cesarz całą noc spędził na koniu; wyliczono, że w dniu od 4-go do 6-go lipca siedział sześćdziesiąt godzin na koniu.

Następnego ranka cała armia była po drugiej stronie, a wschodzące słońce oświetliło armię francuską, w całym blasku ustawioną w szyku bojowym. Tego samego dnia arcyksiążę się cofnął.

Popołudniu przyszło do starcia pod Wagramem, gdzie generał Macdonald odznaczył się ze swą armią z Włoch. Bernadotte natomiast, przywódcą cy pomocniczym wojskom saskim, przypuścił słaby i nieudany szturm do miasteczka Wagram, lecz wojska jego zostały rozbite i cofnęły się w zupełnej rozterce.



Arceksiążę obsadził swem wojskiem wzgórze Wagramu i przy biwakach spędził całą noc.

Nazajutrz wczesnym rankiem, dn. 7 lipca, będącego właściwym dniem bitwy pod Wagramem Austriacy napadli wieś Aderklaa, którą miał obsadzić Bernadotte. Ale i stąd Saksończycy jego uciekli w najwyższym popłochu, a arceksiążę odparł lewe skrzydło Napoleona tak daleko, że musiano wprowadzić w ruch baterie w Lobau, ku obronie mostów.

Massena dowodził lewem skrzydłem. Przy nim byli generałowie: Molitor, Légrand i Boudet ze swą znakomitą artylerią.

Dalej generał Carra Saint-Cyr został wysłany naprzód, by powtórnie zająć wieś Aderklaa, lecz skutkiem niezręcznego manewru wojska jego zajęły tak niefortunną pozycję, że w braku wszelkiej osłony zostały pobite i w tył odrzucone, przyczem porwały za sobą całe lewe skrzydło, Legranda i Boudeta, który stracił nawet ukochane swe armaty.

W tej krytycznej chwili przybył generał Reille i zameldował Napoleonowi, że Austriacy grożą załupaniem korpusowi Masseny, który istotnie rozpierzchał się w nieładzie. Cesarz wysłał marszałka Berthiera z gwardyą i 80 armatami w poprzek pola bitwy w kierunku na lewo. Niebezpieczeństwo musiało już być groźne, skoro wysyłano Berthiera z gwardyą.

Generał Lauriston na czele jazdy, a generał Reille z młodą gwardyą ruszyli na Aderklaa, najważniejszy punkt lewego skrzydła. Marszałek Bessières odebrał taki sam rozkaz, ale w tejże chwili otrzymał dziwny strzał w nogę; kula rozdarła mu spodnie do samych kolan, pozostawiając na nodze zygzakowatą ranę.

Cesarz usłyszał, że ktoś z orszaku został ranny i spadł z konia.

— Kto taki?—zapytał, nie odwracając głowy.

— Książę Istrii—brzmiała odpowiedź.

— Jedźmy dalej—rzekł cesarz;—nie mamy czasu, by znów płakać—miał na myśli Lannesa.

Ten moment walki pod Wagramem tak często odtwarzają fotografowie podług wielkiego obrazu w Wersalu.

Napoleon dosiadł w dniu bitwy pod Wagramem jednego z najwspanialszych swych wierzchowców. Nazywał się Euftrat i był podarkiem od szacha perskiego. Tak białego konia nie widziano jeszcze w Europie.

Wśród najstraszniejszego ognia dział Napoleon na tym koniu galopem pędził skroś pola bitwy, przed frontem wojska francuskiego w kierunku zagrożonego lewego skrzydła. Savary i inni generałowie, nadążający za nim, o ile się dało, oczekiwali, że lada chwila potknie się lub spadnie z konia.

W dywizyi Lamarque'a cesarz zajął miejsce i bawił tu przeszło godzinę, gdy lewe skrzydło napowrót się szykowało w linię bojową. Wśród gradu kul siedział wyprostowany na swym białym koniu, doskonale widziany przez wrogów i swoich, co było rzeczą naturalną, wobec małych przestrzeni, dzielących naówczas armie walczące.

Davoust był na prawem skrzydle, gdzie walczył przeciw Janowi księciu Lichtenstein. Otrzymał był rozkaz uderzenia z całą forsą na wieś Neusiedel. Przy Davoust'cie byli generałowie kawaleryi Nansouty i Arrighi, książę Padwy, zajmujący miejsce poległego d'Espagne'a.

Nieprzyjaciel powoli cofał się przed niezawodnymi manewrami Davousta.

Cesarz rozkazał swemu słuzącemu Rustanowi, mamelukowi, przywiezionemu z Egiptu, rozpostrzeć na ziemi skórę niedźwiedzia; zsiadł z konia, położył się i zasnął w tej chwili, jak to było jego zwyczajem. Znużenie jego było zresztą zrozumiałe. Gdy się po kwadransie przebudził, otoczony był dokoła



adjutantami, którzy ze wszystkich stron pola bitwy przywozili mu wiadomości.

Cesarz powstał powoli, skierował swą lunetę na Neusiedel, a zobaczywszy, że wojska Davoust'a zajmują wzgórza, jak był polecił, odsunął lunetę i rzekł do adjutanta, na którego przychodziła kolej.—Jedź pan do Masseny i powiedz mu, że może ruszyć na przód. Bitwa wygrana.

Do godziny pierwszej popołudniu walka szalała na ogromnych równinach, gdzie konie niemal znikwały w łąkach pszenicy. Na skraju pola bitwy dojrzałe zboże zaczęło się palić od strzałów, i naokół całe łąny stanęły w ogniu, który dosięgnął starrannie ukryty tren i wóz z prochem wysadził w powietrze.

Właściwym bohaterem dnia był Macdonald; udało mu się bowiem złamać nakoniec centrum i uczynić wyłom, który mógł nastręczyć wspaniałą sposobność do rzucenia się z kawalerią i zdobycia łupów i jeńców. Ale Murat był w Hiszpanii, Bessieres ranny, d'Espagne poległ, a na domiar nieszczęścia padł tegoż dnia generał Lasalle, największy wódz jazdy, jaki Napoleonowi pozostał.

Lasalle był jednym z najpiękniejszych mężczyzn armii francuskiej, przytem bardzo wytwornym kawalerem. Jednakowoż z biegiem czasu przyswoił sobie brutalne maniere. Przeklinał i pił, śpiewał i ryczał i przegrywał wszystkie pieniądze.

Bawiąc w Egipcie, korespondował z pewną damą z Paryża. Anglicy dostali w posiadanie te listy, a niebywała gruboskórność, jaką pokazywali we wszystkich sprawach, pozostających w jakimkolwiek związku z Napoleonem, skłoniła ich do ogłoszenia tych listów w prasie europejskiej.

Dama owa była żoną brata ówczesnego generała Berthiera, a ogłoszenie tych listów spowodowało w Paryżu straszny skandal, rozwód i t. d. Lasalle ożenił się jednak później z panią Berthier i

jako oficer doszedł z czasem do takiego znaczenia, że należał do ludzi, których cesarz największem darzył zaufaniem.

Wśród kolegów cieszył się ogromną sympatyą. A ludzie jego, widząc dowódcę na koniu z wyciągniętą szablą, pędzili za nim na oślep przez krew i pożogę. Ale długo jeszcze po śmierci Lasalle'a zachowały się w lekkiej kawaleryi wprowadzone przezeń dzikie maniere.

Wieczór przed bitwą pod Wagramem generał Lassale napisał do cesarza list, w którym go prosi, by się zajął jego rodziną. Często się zdarzało, że przed wielkimi bitwami najdzielniejszych nawet oficerów ogarniała beznadziejność i wówczas pisali listy, które, w razie śmierci piszącego, czyniły wrażenie przeczucia.

Wogóle zginęło pod Wagramem po obu stronach mnóstwo oficerów. Francuzi, oprócz Lasalle'a stracili też generałów Gauthier'a i Lacoura, oraz siedmiu pułkowników.

Ghautier odznaczył się pod Davoust'em pod Auerstädem; pod Wagramem kula urwała mu nogę, skutkiem czego umarł. Generał Gudin, pozostający tuż w pobliżu Davoust'a, pod którego rozkazami zawsze walczył, otrzymał w ciągu dnia cztery rany. Oprócz Bessieres'a dwudziestu innych generałów otrzymało rany, lecz pozostali przy życiu. Pod generałem Lamarque'm zastrzelono cztery konie. Natomiast Massena, w tych dniach najbardziej może wystawiony na grad kul nieprzyjacielskich, nie otrzymał żadnej rany, ani nawet najmniejszego drgnięcia. W armii mówiono, że marszałek Massena, tak samo Murat i Ney są niedosiężeni dla kul. Ale o Massenie twierdzono ponadto, że niebezpieczną jest rzeczą pozostać w jego pobliżu. Omijano nawet miejsce, które on poprzednio zajmował, a jeśli ktoś się zbliżył, to go ostrzegano, by się miał na baczności, bo przed chwilą był tam marszałek.



Parę dni przed bitwą zdarzyła się Massenie przygoda, że wpadł do rowu wraz z powozem. Odnosił przytem tak ciężkie obrażenia, że podczas bitwy nie mógł dosiąść konia, lecz z powozu kierował swym korpusem. Gdy jednak lewe skrzydło znalazło się w ciężkiej pozycji, marszałek mimo bólów wsiadł na konia. Przywołał jednego z ordynansów, by mu przydłużył strzemień; w tym celu z wielkim trudem uniósł wytkniętą nogę, wspierając ją o kark konia. W tej chwili z świstem przeleciała tuż koło konia kula armatnia, rozrywając biednego żołnierza, zajętego przedłużaniem strzemienia przy siodle.

Massena, tak samo jak Bernadotte i wielu innych, rozpoczął karierę jako zwykły żołnierz wojsk republiki. Był jednak jednym z prawdziwie wielkich hetmanów, a Napoleon odzywał się o nim zawsze jako o pierwszym, pomimo, że osobisty ich stosunek nie był najlepszy. Massena lubił z innymi niezadowolonymi wdawać się w małe intrygi, o czem Napoleon był zarówno dokładnie poinformowany, jak o fackie, że Massena był niepoprawnym rozbójnikiem i łupieżcą i rzemiosłu temu pozostał wierny na wszystkich wyprawach.

Po bitwie pod Iłowem został księciem Rivoli, teraz księciem Eslingen.

Napoleon uściskał Macdonalda i zamianował go marszałkiem i księciem Tarentu, co, zważywszy czyny i zasługi Macdonalda, nastąpiło właściwie zbyt późno. Jednakowoż Napoleon potrzebował trochę czasu, zanim z pełnem zaufaniem mógł się odnosić do człowieka, który pochodził z rodziny szkockiej i zachowywał się nieco sztywnie, mocno akcentując swą indywidualność. A właściwie, to Napoleon nigdy go nie lubił.

Macdonald był wzrostu dość wysokiego i miał otwartą, energiczną twarz, tylko o nosie zbyt krót-

kim. W bitwie pod Wagramem nosił przestarzały uniform generałów republiki, z olbrzymimi piórami u kapelusza, a gdzie przybył, wszędzie się odznaczył. Udało mu się nawet powstrzymać uciekających Sasów Bernadotte'a i skłonić ich do ponownego natarcia.

Także Oudinot i Marmont otrzymali łaskę marszałkowską. Dla Marmonta była to może godność przedwczesna. Lecz na swój chłodny sposób, Napoleon cenił dzielnego i świetnego Marmonta.

Korpus Bernadotte'a został zniesiony, a on sam w nielaskę zwolniony ze służby w armii.

Biuletyn armii z 30 lipca obejmuje ustęp następujący: „Korpus dziewiąty, który pozostawał pod rozkazami Ponte-Corva, został zniesiony. Sasi należący do tego korpusu, pozostają pod komendą generała Regniers; książę Ponte Corvo wyjechał do wód“.

W istocie sprawa tak się przedstawia, że marszałek Bernadotte podczas całej wyprawy z r. 1809 zachowywał się nad wyraz nieudolnie. Nigdy go też nie wymieniają w liczbie generałów, których dzielność rozstrzygnęła losy wielkiej bitwy. Mimo to ustawicznie się przechwalał, krytykując równocześnie cesarza. Wieczorem przed bitwą siedział w gronie oficerów, dowodząc, że cała przeprawa Napoleona przez Dunaj i następne jego manewry były całkowicie nieudane i chybione.

On sam — Bernadotte — byłby zapomocą kilku zręcznych manewrów zmusił arcyksięcia do złożenia broni i to niemal bez walki.

Gdy więc następnego dnia Sasi Bernadotte'a zmykali z pola walki, a on sam pędził za nimi w pełnym galopie, cesarz go zatrzymał, pytając, czy to jest może ów zręczny manewr, którym miał arcyksięcia zmusić do złożenia broni.



Szpiedzy Napoleona zdążyli mu już bowiem powtórzyć wczorajszą rozmowę.

To pewna, że korpus Bernadotte'a uciekał dn. 5 lipca z pola bitwy pod Wagram, a 6 lipca ze wsi Aderklaa, a Napoleon w rozkazie dziennym do marszałków surowo się o księciu wyrażał.

Ale to jeszcze nie było z jego strony najgorszem. Pomimo, że zarówno jemu jak jego korpusowi tak marnie się powiodło, książę Ponte-Corvo miał jednak bezczelność wydania rozkazu dziennego, co było jedynie i wyłącznie przywilejem naczelnego dowódcy i na co sobie nigdy żaden marszałek nie pozwalał. On jednak wydał proklamacyę, w której sobie i swym Sasom przypisał zasługę zwycięstwa pod Wagram.

Cała armia, a przedewszystkiem oficerzy byłoburzeni, a cesarz wściekły. Nie chciał na oczy widzieć marszałka, a do ministra wojny w Paryżu napisał: „Gdybyś Pan miał sposobność zobaczenia księcia Ponte-Corvo, to daj mu Pan poznać moje niezadowolenie z powodu tego śmiesznego rozkazu dziennego, który wsunął do wszystkich pism, a który jest podwójnie fałszywy, gdyż cały dzień uskarżał się przedemną na swych Sasów.

W ogóle nie chcę przed Panem taić, że książę Ponte-Corvo podczas całej tej wyprawy mało zasługiwał na pochwały. Prawdę mówiąc, to owa „granitowa kolumna“, stale się odznaczała ucieczką“.

Zwycięstwo pod Wagram było dość stanowcze, lecz okupione bardzo ciężko i brak mu było zwykłego epilogu z jeńcami, armatami, chorągwiami i t. d. Minęły dawne dobre czasy walk na bagnety; konnica musiała przychodzić z pomocą kolumnom piechoty, silnie przetykanej rekrutami i cudzoziemskimi wojskami posiłkowemi. Dlatego ginęło teraz znacznie więcej oficerów, niż dawniej; przytem cesarz po raz pierwszy miał w bitwie pod Wa-

gram wrażenie, jakoby najwyżsi generałowie byli poniekąd wyczerpani. Z bitwy tej był on tylko średnio zadowolony.

Także po stronie Austryaków trzech generałów zginęło, a dziesięciu odniosło rany, wśród nich także sam arcyksiążę Karol. Przez cały dzień bezwzględnie się narażał i dwukrotnie został ranny. Jednakowoż nieustraszony ten żołnierz i wielki hetman wytrwał w walce do końca. Bitwy pod Aspern, Eslingen, Wagramem dowiodły, czego dokażać mogli dzielni Austriacy, pod wodzą wielkiego generała.

Napoleon urządził sobie dwór w Schönbrunie, a dyplomaci pracowali tymczasem nad zawarciem pokoju. Pewnego dnia cesarz omal nie został zamordowany przez niemieckiego fanatyka, Stabbsa. Człowiek ten, podczas parady wojskowej, dotarł tuż do osoby cesarza, gdy generał Rapp, w ostatniej chwili nagle go pochwycił — tak podejrzanym wydał mu się wygląd Stabbsa.

Po strasznych trudach pod Eslingen i Wagram Napoleon dostał w Schönbrunie ataku jakiejś choroby, o której bliższym charakterze nie się później nie dowiedziano. Wysocy oficerzy z jego otoczenia nie zdradzili nigdy tajemnicy, jednakowoż o poważnym stanie choroby świadczyły pełne niepokoju narady Mareta, Berthiera i Duroca, oraz pospiech, z jakim zawezwano Corvisarta, przybocznego lekarza Napoleona, a także znakomitego profesora z Wiednia.

Bardzo możliwe, że był to tylko niezwykle silny atak jaki przebył w r. 1796, a następnie pod Borodino, kiedy przez parę dni był chory i dla armii niewidzialny.

Dn. 19 października, zawarto w Wiedniu pokój pod warunkami bardzo dla Austryaków poniżającymi.



Pomimo, że Napoleon jeszcze przez sześć lat prowadził wojnę, i najświetniejsze odnosił zwycięstwa, to jednak pokój ten był właściwie ostatnim, jaki w życiu swym zawarł. Europa nigdy pokoju z nim nie zawarła.

Dnia 26 października cesarz wrócił do Fontainebleau, odniósłszy dla Francji nowe zwycięstwa i, więcej niż kiedykolwiek, wzmocniwszy swe państwo.

## V.

W latach 1810 i 1811 Napoleon panował w Paryżu. Zdaje się, że był to okres jego świetności. Granice Francyi rozszerzyły się aż do ujścia Łaby, a Rzym był drugą stolicą cesarstwa. Cała Europa uznała przewagę cesarza, z wyjątkiem Anglii, która, mimo strat, na jakie narażony był handel, przez zamknięcie kontynentu, miała zawsze dość pieniędzy dla wszystkich, co śmieli Napoleonowi stawić opór; nadto z półwyspu Pirenejskiego powoli, lecz skutecznie podkopywała wielkie jego państwo i osłabiała jego siły zbrojne.

Opór Hiszpan stawał się coraz zaciętszy i okrutniejszy, gdy coraz nowe wojska angielskie wyładowywały w Portugalii.

Marszałek Soult, książę Dalmacyi, wmówił w siebie raz, że zostanie królem Portugalii. Tymczasem Wellington wyparł go z Oporto i to tak gruntownie, że Soult stracił cały bagaż swej armii. Wiadomość tę otrzymał Napoleon w dzień po bitwie pod Aspern Eslingen przez kuryera, którego minister wojny co szybciej wysłał z Paryża.

W r. 1810 stało w Hiszpanii 400,000 najlepszych żołnierzy francuskich, pod takimi wodzami jak: Soult, Massena, Ney, Victor i Suchet; ten osta-



tni był zresztą jedynym, który w swej prowincyi zdołał utrzymać ład i porządek. Poza tem nie było solidarności, a dużo niepowodzeń. Z czasem doszło do tego, że wyprawienie jakiegoś oficera z Paryża do Hiszpanii uchodziło za rodzaj banieyi i oznakę niełaski.

Piękny sekretarz i oficer pałacowy, Canouville, był jednym z licznych kochanków Pauliny. Napoleon dał jej właśnie w podarku płaszcz rosyjski z ogromnie kosztownem futrem i dyamentowymi guzikami. Otóż oczy cesarza, te oczy wszechwidzące, ujrzały pewnego dnia wspaniałą płaszcz z przedpokoju sekretaryatu. W godzinę później piękny Canouville był na drodze do Hiszpanii.

Odwrotnie rzecz się miała z Septeuilem, także jednym z lwów dworu. Nie chciał zrozumieć ośmielających go słów i gestów Pauliny, która, oburzona, postarała się o wysłanie go do Hiszpanii.

W jednej z pierwszych bitew wesołemu kawalerowi rozstrzelano nogę, a gdy lekarze ją odpiłowywali—jak to przed stu laty niedołężnie czyniono—Septeuil rzekł do swego ordynansa:—Nie płacz! Będziesz teraz czyścił tylko jeden but.

Ogromny aparat dworu francuskiego, tak doszczętnie zmieciony przez rewolucyę, nanowo wytworzył się w rękach cesarza, w postaci wprawdzie innej, niż za starych rządów, lecz żadną miarą nie ustępując poprzedniej, co do ścisłości etykiety i wystawnego przepychu uroczystości.

Nowy dwór Napoleona nie był oczywiście jak dawny, przepełniony starymi przeżytkami i zbytecznymi ludźmi, których jedyną czynnością było pobieranie pensyi. Niemniej wskrzesił on niejeden stary tytuł i nadawał go swym ludziom i ich kobietom, lub też ściągął na dwór damy i panów o dawnych nazwiskach, co z szczególniejszą nawet czynić był zwykł satysfakcyą. Nieraz mawiał, że dwor-

skich służb nikt nie spełnia tak znakomicie, jak stara szlachta.

Przedstawicielka rodu Montmorency nie wahała się schylić i zawiązać taśmę u trzewika Józefiny, ale niejedna z nowo kreowanych dam nie chciała się zniżać do podobnych usług. Podobnemi pochwałami darzył cesarz mężczyzn ze starej szlachty francuskiej, których używał do misji dyplomatycznych. Twierdził, że dowiaduje się przez nich znacznie więcej, niż przez własnych ludzi.

Mimo to nie przychodziło mu na myśl zaćmiewanie swych ludzi, przedstawicielami dawnych rodów. Przejął się był pojęciami rewolucyi i nagradzał zasługi, bez względu na pochodzenie. Spajając starych z nowymi, by silną wytworzyć całość, bacznie czuwał, by jedni drugim nie czynili przykrości.

Był równocześnie dumnym, że hrabia Ségur, przedstawiciel starej arystokracji, jest jego mistrzem ceremonii, lecz z drugiej strony nie przychodziło mu na myśl czynić uwagi marszałkowi Lefebvre, z powodu jego zbyt swobodnej małżonki, księżnej Gdańska, której nieodpowiednie zachowanie się śmiech budziło w całym Paryżu, a dostojnym dworom Europy służyło za pociechę i uspokojenie.

A to stanowisko cesarza nakładało cugle starej szlachcie, otuchy dodając nowej. Wszyscy czuli, że on, stojący u szczytu, doskonale umie oceniać, co godnem jest podzięk i zaszczytów.

Las Cases, który sam pochodził ze znakomitej szlacheckiej rodziny francusko-hiszpańskiej i wcześniej przyjął służby na dworze cesarza—towarzyszył mu także na wyspę św. Heleny—opowiada, że pewnego dnia opowiedziano mu o pani Lefebvre, księżnej Gdańska, historię następującą. Pomagała ona biednym emigrantom, a między innymi także pewnej rodzinie arystokratycznej, tak dumnej, że księżna, doskonale wiedząc, jak o niej sądzą i mówią, nie śmiała pomocy ofiarować bezpośrednio.



Udała się przeto do rodziny, u której swego czasu ona i jej mąż byli zwykłymi służącymi, by za pośrednictwem tych ludzi, należących również do arystokracji, bezimiennie zaofiarować swą pomoc potrzebującej wsparcia rodzinie.

— Gdy to usłyszałem—opowiada Las Cases—zaprzystałem szydzić z księżnej Gdańska. Przeciwnie, od tego czasu nieraz sprawiało mi przyjemność podczas uroczystości w Tuileryach przechadzać się z nią pod rękę po wspaniałych salach, nie zwracając uwagi na niezliczone przymówki i niesłychane zdumienie, malujące się w oczach mych towarzyszy.

Jakkolwiek zlewanie się nowych żywiołów ze starymi dokonywało się z możliwymi względami i bez pustej fanfaronady, to przecież nie wyniknęło z tego swobodniejsze życie, ni lżejszy ton na dworze. W Tuileryach ton pozostał chłodny i sztywny, gdyż Napoleon, szorstki już jako pierwszy konsul, zostawszy cesarzem, stał się wprost nieprzystępny. Księżna Abrantes i inne damy ze łzami w oczach wspominały szczęśliwe czasy w Malmaison, gdy teraz w sztywnych dworskich strojach pełnić musiały służbę dworską w Tuileryach, St.-Cloud lub Fontainebleau.

Albo gdy same na jego życzenie musiały wydawać wspaniałe zabawy i nie mogły się radować tańcem lub wesołą maskaradą; stale musiały bowiem myśleć tylko o *nim*, czekać tylko na *niego*.

A gdy wreszcie zawołało: cesarz! całe towarzystwo, zdenerwowane już czekaniem, milkło nagle i wszystkie oczy i myśli skierowywały się ku niemu, by poznać, w jakim jest usposobieniu, gdyż był bezgłębny jak sultan. Czasem bywał jeszcze usposobiony do żartów, lecz zwykle najbardziej go bawiło przyprowadzanie o śmiertelną trwogę młodych dam, gdy podczas maskarady wyjawiał ich najgłębsze tajemnice, znane mu, dzięki szpiegom.

Zabawy, wydawane przez cesarza lub na jego

zlecenie były w ogóle tak strasznie nudne, że dla młodzieży stawały się istną męczarnią.

Napoleon udzielał audyencji we wczesnych godzinach przedpołudniowych, jak zwykli byli czynić królowie francuscy, wstając z łóżka i robiąc toaletę. Wielkich audyencji udzielał też przed uroczystościami w Tuileryach. Cały dwór był ustawiony i czekał; posłowie obcych mocarstw w pierwszym szeregu.

Cesarz wchodził szybkim krokiem, mijając pochylające się przed nim szeregi. Były to najbardziej naprężające chwile dla całej Europy, gdyż z kilku słów, skierowanych do któregoś z posłów, z pominięcia w milezeniu jednego lub poczęstowania drugiego szczyptą tabaki, wyciągano później w Paryżu i na wszystkich dworach Europy przeróżne wróżby i przepowiednie.

Krótkie rozmowy z posłami odbywały się zwykle w sposób następujący:

Cesarz: — W jakim celu rząd Pański gromadzi tak wielkie siły zbrojne w Tyrolu?

Metternich: — Zaiste! Najjaśniejszy Pan mnie zdumiewa...

Cesarz: — Ba, wiem o wszystkim i czekam zadawalniającego wyjaśnienia.

Metternich: — Natychmiast będzie wysłany kuryer do Wiednia. Możebym mógł przez tego samego kuryera przesłać memu dworowi od Najjaśniejszeg Pana kilka słów uspakajających z powodu wyruszenia z Włoch wojsk księcia raguzkiego.

Napoleon: — Zkąd Pan o tem wie?

Metternich: — Ach, Sire! więc to prawda?

Napoleon: — Prawda lub nie; nie poczuwem się do obowiązku udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień.

W ten sposób mniej więcej toczyły się te rozmowy, które w oczach dyplomacyi przybierały znaczenie olbrzymie, a księciu Metternichowi zdobyły sławę najchytrzejszego i najodważniejszego z dyplomatów.



A jednak była to w największej liczbie wypadków zupełnie pusta gra słów. Obydwie partie doskonale wiedziały o wzajemnych intrygach i przygotowaniach zbrojnych. Nadto wiedziały, że jest to tylko kwestyą czasu, kiedy ponownie rozpoczną wojnę. Sztuka jednak polegała właśnie na tem, by mówić o pokoju, a myśleć o wojnie;—i dlatego kręcili się koło siebie, jak kot koło gorącego mleka.

Napoleon był wówczas jeszcze pięknym mężczyzną. Energicznym, drobnym krokiem, rozpraszając uroczystą ciszę, przebiegał wspaniałe sale, po-brzękując cicho ostrogami, gdyż nosił wysokie buty i pozostawiając po sobie lekką woń wody kolońskiej. Ale stawał się już trochę za otyłym, a to się z latami wzmażało, nawet gdy był na polu bitwy.

Na jego dworze cesarzowa Józefina wdziękiem swym i uprzejmością, oraz taktem i rozsądkiem, zawsze umiała sprostać swemu wysokiemu stanowisku; a wszyscy ci wielcy ludzie, królowie i księżęta, mniej lub więcej dobrowolnie odwiedzający Paryż, napróżno starali się znaleźć w niej coś, nadającego się do krytykowania. Sam nawet Ludwik XVIII, powróciwszy do Paryża i ujrzawszy wielkie zmiany w Louvrze i Tuileryach, musiał jednak przyznać, że wszystko było tak stylowe, że ani on, ani nikt inny nie mógłby nic zmienić!

Gdy jednak życie dworskie płynęło wspaniałym trybem, nadanym przez cesarza, on sam pracował dniem i nocą z wielostronnością i wytrwałością, jakiej współcześni jego nie mogą się dość nadziwić. Jak w polu zameczał konia swą dziką jazdą, tak pracujących z nim sekretarzy i ministrów doprowadzał do ostatecznego wyczerpania, sam pozostając niezmożonym.

Jego pierwszym prywatnym sekretarzem był Bourienne, przyjaciel młodości Bonapartego; przez kilka lat doskonale się z sobą godzili, lecz istniał

błąd jeden, którego Napoleon nie znoślił i nie wybaczał: nieodpowiedzialność w sprawach pieniężnych.

Mógł generałom swym wybaczać rozmaite głupstwa, jeśli je naprawiali; mógł zapomnieć rozmaite wiarołomstwa—nawet niewierność Józefiny—sam pod tym względem nie był bardzo stanowczy; lecz w sprawach pieniężnych absolutnie nie znał żartów.

Siał istny teror między bankierami i dostawcami armii. Wielkie domy owego czasu: — Hope w Amsterdamie, Lafitte, Séguin żyły w ustawicznej trwodze przed nowemi niespodziankami ze strony cesarza. Wielkiego spekulanta Ouvrarda dwukrotnie co prawda zrujnował. Skoro tylko zwęszył jakąś nieuczciwość, lub tylko usłyszał o nadmiernym zysku, albo się dowiedział, że któryś z jego ludzi używa swego stanowiska do zrobienia majątku, natychmiast podnosił swą pięść.

Gdy marszałek Massena wrócił z jednej z wypraw włoskich z porządnie napchanemi kieszeniami, cesarz, bez dalszych wyluszczeń, kazał mu złożyć do kasy państwowej okrągłe trzy miliony. Massena spełnił rozkaz bez szemrania, a właściwie szemrał do syć, lecz w kółku poufnem. Inny oficer, pułkownik Solignac, który towarzyszył był Massenie i wzbraniał się spełnić rozkaz, skazujący go na złożenie 800,000 franków, został natychmiast zdegradowany na prostego żołnierza.

Solignac jednak z zimną krwią wziął broń na ramię i wstąpił do szeregu, lecz gdy Napoleon po raz pierwszy po degradacyi rzucił nań okiem, przywrócił mu poprzednie stanowisko.

Solignac uczestniczył 18 brumaira w St.-Cloud w radzie młodych, stojących po stronie Napoleona; najchętniej przyłączał się do generała Masseny i tak samo jak on by niepoprawnym łupieżcą.

Tę samą żądzę złota, zdobywanego jednak w sposób spokojniejszy, posiadał prywatny sekretarz Napoleona, Bourienne. Niemniej przyjaźń skoń-



czyła się na zawsze, gdy Napoleon odkrył, że jego sekretarz używa swego stanowiska w celu zrobienia majątku.

Bourienne był dzielnym człowiekiem, o darze szybkiej orientacyi i dużej wytrwałości w pracy; szczerze też był Napoleonowi oddany. Nie mógł jednak patrzeć na to, jak miliony przelewały się w okół wielkiego człowieka, nie zwracającego na nie uwagi i wcześniej zaczął już starać się o dochody, mniej lub więcej wątpliwego pochodzenia.

Tak na przykład odkrył, że minister policyi Fouché wypłacał miesięcznie 100,000 franków, ludziom z najbliższego otoczenia Napoleona, by go codziennie zawiadamiali, gdzie pierwszy konsul chodzi, jakie ma zamiary i kogo przyjmuje.

Bourienne był zdania, że nikt nie może się z tego zadania wywiązać równie dobrze, jak on. Poszedł więc do Fouché'go i zaoferował mu swe usługi. Fouché je przyjął i od tego dnia Bourienne pobierał 25,000 franków miesięcznie za wiadomości o Napoleonie.

Ale minister policyi miał jeszcze do szpiegostwa innych ludzi w Tuileryach, którym wielkie wypłacał sumy. Nawet Józefina otrzymywała dziennie 1,000 fr. za tajemne informacye o mężu.

Później maczał Bourienne palce we wszystkich możliwych aferach, a naostatku brał udział w wielkich spekulacyach, gdzie chodziło o miliony. Był także cichym współnikiem firmy braci Toulon, która zaopatrywała jazdę i doprowadziła do milionowego bankructwa. W końcu stracił cały majątek i był prześladowany przez wierzycieli.

Po Bourienne był Meneval sekretarzem, którego Napoleon najwięcej cenil. Człowiek niezwykle, o ile chodziło o odpowiedzialność i wytrwałość. Zupełnie jednak został wyczerpany nadmierną pracą i w nagrodę otrzymał miejsce prywatnego sekretarza cesarzowej Maryi Ludwiki, by mógł wypocząć.

Szefem gabinetu cesarza był Maret, książę Bassano. Średnio uzdolniony i prawy charakter, pozostał jednak Napoleonowi wiernie oddanym do ostatniej chwili. Z powodu jego codziennego, bliskiego stosunku z cesarzem, oraz względów, jakimi go cesarz obdarzał, książę Bassano był ogólnie znienawidzony, chociaż w rzeczywistości przypisywano mu więcej złego, niż na to zasługiwał.

Talleyrand wyraził się o nim:—Znam tylko jednego człowieka głupszego od pana Maret, a jest nim książę Bassano.

Tak głupim znów nie był, lecz bądź co bądź naturą, zupełnie przeciętną i małostkową, uległym pochlebą i niewolnikiem swego wielkiego pana.

Napoleon należał jednak do ludzi, umiających zużytkować każdą siłę, a w księciu Bassano tkwiła siła robacza, której nawet Napoleon nie zdołał wyczerpać. Właśnie w niebezpiecznej chwili przełomowej w r. 1811, gdy Napoleonowi tak bardzo byłby się przydał chłodny, rozważny doradca, uwolnił przeźornego Champagny'ego, księcia Cadore i zamianował ministrem spraw zewnętrznych Maret'a, który nigdy nie odważył się sprzeciwić lub choćby najłżejsze wyrazić powątpiewanie wobec woli cesarza.

Wszelako w najbliższym stosunku, bliższym, niż którykolwiek z generałów, pozostawał do cesarza dobry jego przyjaciel i doradca Duroc, książę Friulu i nadworny marszałek.

Jak większa część ludzi Napoleona, był on pierwotnie oficerem i przed rewolucją pozostawał w służbie królów francuskich. Napoleon jednak posługiwał się nim wyłącznie jako ambasadorem i pierwszym marszałkiem dworu, opiekującym się całym prywatnym życiem cesarza: jego zamkami, sprawami dworu i domu, podróżami i życiem codziennem w Paryżu, wreszcie rodziną cesarza i to



poprzez wszystkie burze—jakie przechodziła. Jednem słowem człowiek niezbędny, o ile wogóle człowiek jakiś mógł dla Napoleona być niezbędnym.

Duroc był spokojny, ścisły, dokładny i skromny; z natury prawy i uprzejmy; a w chaosie intryg i szalonego współzawodnictwa, otaczającego stale wielkiego męża, nie wyłączając kochanej rodziny—Duroc był jakby wieżą, wznoszącą się ponad wody nizinne. Był on ambasadorem we Wiedniu, Petersburgu, Berlinie, Sztokholmie i Kopenhadze, a wszędzie zażywał najwyższego szacunku. Zaoszczędzoną została mu godność ambasadora w Hiszpanii.

Zgoła odmiennym był inny człowiek z najbliższego otoczenia Napoleona, pozostający właściwie poza kołem oficerskiem. Był nim minister wojny Clarke, książę Feltre. Był z pochodzenia Irlandczykiem i rozpoczął swą karierę, jako prywatny sekretarz domu Orleanów, lecz porewolucyi pogodził się z istniejącym stanem rzeczy i został zwyczajem ówczesnym wysłany przez dyrektoryat, by generała Bonapartego mieć na oku, podczas pierwszej kampanii włoskiej.

Ale już po kilku dniach, generał zwęszył szpiega, a Clarke złożył najpełniejsze wyznanie, ofiarowując równocześnie swe służby. Bonaparte je przyjął i z biegiem czasu obsypywał Clarke'a dobrodziejstwami i zaszczytami.

Clarke został ambasadorem, gubernatorem Wiednia i Berlina, gdzie go po dziś dzień przeklinają, ministrem wojny i księciem, a żeniąc się otrzymał posag z prywatnej kasy cesarza. Clarke był największym pchlebcą w otoczeniu Napoleona, zawsze skorym do podjudzania, gdy Napoleon okazywał chęć posunięcia się za daleko. Słusznie też był znienawidzony z powodu swej złośliwości.

Nielatwo wywnioskować, o ile ludzie z otoczenia Napoleona wpływali na jego czyny. W ogólnie-

ści jednak można twierdzić, że początkowo wpływ ten był bardzo nieznaczny; potęgował się jednak z czasem, a w latach upadku przybrał rozmiary większe, niż było pożądanem.

Ale był on jeszcze tym, który władał wszystkim i wszystkimi — on jeden. A przypisać to należy nietylko jego woli, lecz także temu, że wiedza i uzdolnienie Napoleona, zarówno w sprawach woj-skowych jak wszystkich niemal gałęziach, były tak gruntowne i wyjątkowe, że wszystko jakby samo przez się w jego dostawało się ręce. W obec tego wiele rzeczy w maszynie państwowej, zachowawszy się nadal, pozostało ozdobą bez znaczenia. Władze miejskie i rządowe zanikały coraz bardziej i zostały w cień usunięte. Jedyną władzą, z którą Napoleon się liczył był *Conseil d'état*, który w czasie opracowywania jego sławnej księgi ustawodawczej: *Code Napoléon*, zebrał się był pięćdziesiąt siedem razy. Ale także w tem zgromadzeniu miał on szpiegów i kazał rozdawać pieniądze między członków, którzy wzajem nie wiedzieli, kto jest przekupiony.

W obchodzeniu się z pieniędzmi Napoleon przedstawia jedyny przykład człowieka, odnoszącego się do pieniędzy z niebywałą obojętnością, a równocześnie zużytkującego je z takim wyrachowaniem; roz-rzutny z jednej strony, a z drugiej nieubłaganie ści-sły. Miał on jednak swoje własne idee i był zarówno wymagającym wobec swych finansistów i giełd, jak wobec własnych ministrów.

Posiadał dar odkrywania błędów w rachunkach, którym otoczenie swe w najwyższy wprawiał podziw. Pewnego dnia cesarz twierdził, że w rachunku domu Séguin, za dostawy dla armii pomyłono się o dwa miliony. Minister uśmiechnął się i przyrzekł, że rachunki zostaną zbadane. Po długiem szukaniu odkryto błąd i firma zwróciła dwa miliony.



Innym razem przeglądał rachunek regimentu piechoty—przeglądał w ogóle wszystkie rachunki—i odkrył pozycję na 60,000 franków, wpisaną na pokrycie kosztów pobytu tego regimentu w Paryżu.

Cesarz twierdził, że ani ten regiment, ani żadna jego część nigdy nie była w Paryżu. Minister ze śmiechem zabrał się do zbadania tej sprawy i okazało się, że cesarz znów miał słuszość.

Niepodobna złożyć na karb pochlebstwa wszystkiego, co wielcy ludzie ówczesni, rozmaitych zawodów, zarówno Francuzi jak cudzoziemcy, jednogłośnie ze zdumieniem i podziwem mówili o różnorodnych, a olbrzymich wiadomościach Napoleona i o niesłychanej bystrości, z jaką przenikał wszystkie dziedziny życia.

Ludzie uczeni i rozumni nie musieli się w obec niego ograniczać do frazesów i komunałów jak zwykle wobec książąt, którzy nie wiedzą nic innego prócz tego, co im się nabija do głowy przed każdą audyencyą. A gdyby Napoleon był kiedykolwiek wywarł wrażenie niekorzystne, nikt nie potrzebowałby czynić z tego tajemnicy, gdyż dość było ludzi, dla których sąd taki byłby pożądanym. Zmuszał on jednak wszystkich do podziwiania tej bystrej głowy, w której było miejsce na wszystko.

Sławny chemik Chaptal był przez cztery lata jego ministrem spraw zewnętrznych i znakomicie razem pracowali, dopóki Napoleon w swej bezwzględności nie obraził w sposób najdotkliwszy męskiej dumy Chaptala, odtrącając go tem samem od siebie na lat parę.

Pracowali razu pewnego do późna w nocy, cesarz i Chaptal; wtem wszedł kamerdyner i półgłosem zameldował cesarzowi, że przyszła panna Bourgoing. Była to sławna i ubóstwiana artystka z „Théâtre Français“.

Cesarz polecił zaprowadzić ją do swego pokoju, by tam na niego czekała, a polecenie to wydał półgłosem, by minister mógł je słyszeć.

Była to obraza rozmyslna. Bo cały Paryż wiedział, że minister spraw zewnętrznych utrzymuje stosunek miłosny z piękną aktorką.

Chaptal spakował też natychmiast swe papiery, skłonił się i wyszedł, a tej samej nocy złożył urząd ministra. Stało się to w r. 1804, a Chaptal nie wrócił rychłej aż w r. 1815; wówczas to za „Stu dni” Napoleona piastował godność ministra handlu.

Napoleon w obcowaniu z ludźmi jeszcze inną okazywał bezwzględność, która, jak wiadomo, na tem polegała, że nagle wpadał w gniew i stawał się brutalny. Niespodzianie mógł się rzucić na kogoś z obecnych i policzyć się z nim za stare czy nowe grzechy w słowach tak gorzkich i obrażających, że wielu odchodziło odeń, by nie wrócić nigdy.

Z ambasadorami obcych mocarstw miał najgwałtowniejsze starcia. Najślawniejsze są cztery jego rozmowy: z lordem Whitworthem w r. 1803, z Metternichem w r. 1809, z księciem Kurakinem w r. 1811 i z generałem Bałakowem w Wilnie dn. 12 lipca 1812 r.

Opowiadają, że w rozmowie z lordem Whitworthem Napoleon był tak wzburzony, że omal go nie zaczął bić — ba, że go nawet już uderzył. Jednakowoż własne opowiadanie lorda, ogłoszone drukiem w r. 1888, nie zawiera ani słówka o podobnym gwałcie ze strony pierwszego konsula.

Byli jednak także tacy ludzie — a mianowicie ci, co Napoleona znali doskonale z codziennego życia — którzy twierdzili, że te gwałtowne napady nagłego gniewu nie były niczem innym, jak dobrze



obmyślanemi scenami w rodzaju tej, którą odegrał po zawarciu pokoju w Campo Formio, rzucając o ziemię kosztowny serwis hrabiego Kobenzla.

W służbie i względem swych oficerów był zimny, niemal odpychający, surowy i niezłomnej sprawiedliwości.

Pewnego dnia zjawił się na porannej audyencji cesarza w Tuilleryach generał Gouvion Saint-Cyr, późniejszy marszałek.

Cesarz zapytał go tonem spokojnym:

— Przybywasz panie generale z Neapolu?

— Tak, najjaśniejszy panie! oddałem komendę marszałkowi Perigno, którego najjaśniejszy pan wysłał, na moje miejsce.

— I oczywiście otrzymałeś pan urlop od ministra wojny.

— Nie, najjaśniejszy panie, nie miałem już jednak nic do czynienia w Neapolu.

— Jeśli pan w ciągu dwóch godzin nie będziesz na drodze do Neapolu, zostaniesz punktualnie o dwunastej rozstrzelany na równinie Grenelle— oświadczył cesarz, wkładając zegarek napowrót do kieszeni.

Takim był w służbie: ścisły we wszystkich sprawach wojskowych, postępował bez wszelkiego względu na osobę i żadnemu faworytowi nie wybaczył najdrobniejszej nieprawidłowości. Człowiek taki działać mógł rozmaicie na ludzi, pozostających z nim w stosunkach, lecz jasnem jest, że z biegiem czasu musiał, jak magnes, przyciągać do siebie najlepszych i najdzielniejszych.

Mogła co prawda panować koło niego atmosfera mniej lodowata, niż była za czasów cesarstwa; wszelako chciał ją mieć właśnie taką i prawdopodobnie miał słuszość. Ponieważ wszyscy doszli do znaczenia wraz z nim i dokoła niego, więc na-

leżało zachować pewien dystans; przytem nie miał on zmysłu dla życia koleżeńskiego, tak samo jak nie miał zrozumienia dla wyszukanej kuchni i wina, ani też dla żadnej gry.

Tylko w młodości zdarzało się czasem, zwłaszcza podczas długich podróży na morzu Śródziemnem, w drodze do Egiptu i z powrotem, że naczelnny generał zasiadał czasem z oficerami do krótkiej gry hazardowej. Ale nie mógł ścierpieć przegranej — nawet przy kartach — dla tego dopuszczał się najzuchwalszych manipulacyj, a nikt oczywiście nie ośmielił się pisać.

Ale, wstając od stolika, odsuwał cały stos złota i z lekkim uśmiechem prosił partnerów, by rozdzielili między siebie jego nienależną wygraną.

Co słuźbie pod Napoleonem specjalny nadało urok, to nie tylko jego szczęście wojenne i jego hojność, lecz w pierwszej linii fakt, że ludzi swych znał lepiej, niż większa część generałów i posiadał dar przejęcia całej armii miłym uczuciem, że zna każdego poszczególnego jej członka, wie o każdym gdzie walczył, gdzie służył, kiedy został ranny, a kiedy się odznaczył. Tysiące żołnierzy ginęło i znikало z szeregów, a armia odnawiała się w ciągu lat; ale od pierwszej chwili, gdy na nich spoczął wzrok cesarza, młodzi rekruci stapiali się w niezłomnej miłości do tego jednego człowieka, za którego wszyscy gotowi byli iść na śmierć.

Wzmianka w dziennym rozkazie była dostateczną nagrodą dla regimentu, uśmiech lub gest, dowodzący, że ich poznaje, szybko rzucone słowo lub ukłon cesarza, uszczęśliwiała żołnierzy na długie czasy.

A gdy kiedyś zdarzy się któremu nieszczęście i śmiertelnie ranny legnie na polu bitwy, cesarz przejedzie może koło niego, zabrzeczy jego szabla



i ostrogi, a on zejdzie z konia i przypnie mu krzyż na piersi.

Krzyż legii honorowej, nadany przezeń w r. 1805 w obozie w Bolonii zrósł się z jego osobą i tworzył — dopóki nim obdarzał — węzeł obopólnej wdzięczności między nim, a armią, będąc zaszczytem najbardziej upragnionym, zadośćuczynieniem za rany i długie cierpienie, dumą, radością dla tysięcy dzielnych ludzi.

Napoleon, przywiązując co prawda największe znaczenie do spraw wojskowych, miał jednak zamiar stworzenia legii honorowej dla ludzi cywilnych. Jednakowoż myśl odznaczania ludzi cywilnych nie padła na podatny grunt. Szło jeszcze jako tako przez pewien czas z uczonymi i literatami. Gdy jednak cesarz pewnego razu, po ulubionej swej operze: „Romeo i Julia”, obdarzył orderem żelaznej korony sławnego tenora, Crescentiniego, wywołał tem wielkie oburzenie we Włoszech i Francyi.

Oczywiście, że odznaczenie to wywołało największy gniew w sferach wojskowych, a pewnego wieczora oficerowie, zebrani w jednym z paryskich salonów, z najwyższem rozgoryczeniem mówili o tym nędznym śpiewaku, tym komedyancie, kuglarzu i kastracie, wyliczając przytem swe rany i blizny.

Wówczas znana ze swobodnych manier pani Grassini, śpiewaczka, zawołała: Ależ panowie! panowie! Dajcież pokój temu biednemu Crescentiniemu! Czyż zupełnie zapomnieliście o jego żonie?

Jeszcze w rozmowach na wyspie św. Heleny Napoleon bronił tej swojej idei.

Crescentini był wielkim artystą i pochodził z dobrej rodziny, a Napoleon sądził, że odznaczenie to spotka się przedewszystkiem z poklaskiem Włochów. Tymczasem oczekiwania te zupełnie zawiodły, a odznaczenie śpiewaka stało się przedmiotem ogólnego pośmiewiska.

Gdyby opinia publiczna okazała się była inną, niewątpliwie byliby otrzymali order korony żelaznej Talma i inni aktorzy i muzycy. Przesąd współczesnych powstrzymał jednak cesarza od dalszego nadawania orderów. Twierdził, że było to niesłusznnością, gdyż, jego zdaniem, każdy godzien jest legii honorowej, ktokolwiek przynosi zaszczyt ojczyźnie.

Najwięcej trudu miał cesarz z własną rodziną. Uświadomiwszy sobie, że mógłby uczynić z Francji najpotężniejsze państwo, a z Paryża główne ognisko świata, postanowił zgromadzić dookoła siebie całą rodzinę jako dynastję, ród książęcy i wzorem starych legitymistycznych rodów osadzić braci na tronach państw sąsiednich.

Jego rodzina przedstawiała jednak pod pewnymi względami materiał niepodatny. Wszyscy oni byli tak samo rozrzutni i niemal tak samo występni jak członkowie starych rodów książęcych, przytem obdarzeni bardzo piękną powierzchownością. Mężczyźni i kobiety tej rodziny przedstawiali się bardzo korzystnie, a niektórzy posiadali wprost niezwykłą piękność. Mężczyznom tym przystało nosić najwspanialsze mundury, a w koronach i gronostajach bardziej im było do twarzy, niż niejednemu legitymistycznemu władcy.

A siostry—aczkolwiek nieco krótkonogie—były tak piękne i zgrabne, że klejnoty i przepych, zyskane dzięki karierze brata, podnosiły tylko wrodzony im wdzięk i poczucie godności. Paulina należała nawet do najgłośniejszych piękności swego czasu. Wszyscy oni mieli subtelne, ostro zarysowane profile i świeże usta.

Wspólną ich cechę stanowiła też chęć życia, lekkomyślność i bezgraniczna niecnota w miłości, w czem im zresztą przodował wielki brat.



Rodzice Napoleona byli silnymi, zdrowymi ludźmi. Przedewszystkiem matka, Letycya Ramolino, była piękną, zdrową kobietą, która mężowi swemu zrodziła ośmioro dobrze zbudowanych dzieci. Drugie z rzędu—najniezwyklejsze—wydała na świat wśród rozpaczliwych okoliczności, gdyż cały dzień poprzedni towarzyszyła konno swemu mężowi, który w czasie walki Korsykan z Francuzami, musiał ratować się ucieczką w góry korsykańskie. I dzielnie wytrwała do ostatniej chwili; uczestniczyła w potęgującym się blasku syna i, zajmując na wspaniałym jego dworze stanowisko mądrej i imponującej „Madame Mère”, nigdy mu nie przynosiła ujmy.

Ze swego rodzeństwa natomiast mało miał korzyści i radości. W każdym razie nie byli tacy, jakimi ich dla celów swych mieć pragnął. O losach sióstr rozstrzygnął tak wcześnie, że nie było powodu szukania dla nich partji wśród rodów książęcych; bracia jednak musieli zostać królami bez względu na to, czy chcieli czy nie chcieli.

Najstarszy z nich, Józef, podpisał w r. 1801 pokój w Luneville, w r. 1802 pokój w Amiens, a w r. 1806, pomimo że był lichym żołnierzem, wypędził króla Neapolu i objął jego tron.

Aż do tego punktu szło wszystko dobrze. Lecz w 1808 r. miał on zostać królem Hiszpanii, a Muratowi oddać wesołe królestwo Neapolu. W niemiłej, ponurej Hiszpanii Józef narażony był na niejedną przykrość, a po bitwie w 1813 r. skończyło się jego królowanie.

Józef był ożeniony z Julią Clary z Marsylii, siostrą pani Bernadotte; porzuciła go niezadługo po 1813 r.

Józef był najzupełniej niewolnikiem swej namiętności dla rodu kobiecego, oraz zamięłowania do

zabaw i życia próżniaczego. Wbrew jego charakterowi i skłonnościom została mu narzucona karyera, pełna wielkiej polityki i najwyższych zaszczytów.

— Józef—powiada Napoleon—nigdy prawie na nie mi się nie przydał; jest jednak niezwykle porządnym człowiekiem i szczerze mnie kochał — tak samo Julia.

A rzecz była taka, że Józef stworzony był do życia prywatnego i nie jego wina, że absolutnie musiał być królem.

Mimo to był on, dzięki swej piękności i urokowi, cechującemu wszystkich Bonapartów, człowiekiem, który umiał wszędzie wystąpić, nie kompromitując wielkiego brata ani wysokiego stanowiska, jakie zajmował.

Lucyan pomagał bratu dnia 18 Brumaira jako prezydent Rady pięciuset w St. Cloud, a za czasów konsulatu używany był do spraw dyplomatycznych. Był on może najporządniejszy z całej rodziny i posiadał duże uzdolnienie naturalne, znaczną wiedzę i silny charakter.

Absolutnie jednak chciał pozostać nieprzeblaganym republikańcem i dlatego po 1804 roku żył w afektowanej nieprzyjaźni z bratem. Na fałszu polegało ogólne twierdzenie, że Lucyan trzyma się zdala od życia publicznego przez brak ambicji. Tymczasem on omaal nie pękał z zazdrości z powodu Napoleona i całe życie czyhał na sposobność dostania władzy w swe ręce.

Gdy więc w 1815 r. przybył z Elby do Paryża, uczynił to w nadziei skłonienia Napoleona do abdykacyi, a wówczas on sam zamierzał stanąć na czele rządu i zakończyć karierę jako prezydent republiki francuskiej.

Dla najstarszej siostry Elizy, poślubionej już w 1797 r. włoskiemu szlachecowi Bacciochi, stwo-



rzył Napoleon wielkie księstwo toskańskie. A najmłodszą siostrę dał za żonę Muratowi, który z prostego żołnierza zaawansował na marszałka, wielkiego admirała, księcia Francyi i króla Neapolu.

Czarująca Paulina była wyszła najpierw za generała Leclerc, który umarł na Haiti, a później za Kamila Borghese, który był głupcem.

Paulina Borghese była może najbardziej lekomyślna ze wszystkich i miała wielu kochanków; po za tem była miła i wesoła, lecz rozpustna do perwersyi, przytem tak rozrzutna, że matka zawsze przepowiadała jej, iż skończy w domu dla ubogich.

Tak źle się jednak nie stało.

Najmłodszy brat, Hieronim żył do 1860 r.

Był z generałem Leclerc na Haïti i jako kontradmirał prowadził rzeczywiście flotę do Martyniki. W 1807 r. został królem Westfalii.

Był ożeniony z Amerykanką, niejaką Miss Paterson, lecz później Napoleon doprowadził do skutku jego małżeństwo z księżniczką Wirtembergii.

Hieronim nie był pozbawiony zdolności wrodzonych, lecz za młodych lat był bezprzykładnym zuchwalcem i nieukiem. Był także rozrzutnikiem, a jego rozpustne życie wprost przekraczało wszelką miarę. Napoleon okazał się dlań twardym w 1812 roku na początku wojny rosyjskiej, lecz po katastrofie, jaka spadła na rodzinę, Hieronim się podniósł.

Niemniej okres jego rządów w Kassel jako króla Westfalii byłby niemal farszą i to na dłuższy przeciąg czasu niemożliwą, gdyby Napoleon nie był mu przydał jako ambasadora francuskiego hrabiego Karola Fryderyka Reinharda, tego samego, którego tak często używał do spraw dyplomatycznych. On to właściwie rządził królestwem Westfalii, nie zaś Hieronim, który się tylko bawił; a jeśli cała ta hi-

storya nie wzięła jeszcze fatalniejszego obrotu, jest to głównie zasługą mądrego i rozważnego hrabiego Reinhardta.

Najmłodszy z rodzeństwa Napoleona, nieszczęśliwy Ludwik, od najwcześniejszej już młodości cierpiał na chorobę weneryczną. To zniszczyło mu życie; stał się melancholijnym, upartym dziwakiem.

Ludwik był utalentowany i posiadał znaczne wiadomości i rozum, lecz ustawiczna choroba uniemożliwiała mu życie, oparte na ambicyi i polityce. Niechętnie też przyjmował zaszczyty i bogactwa, ofiarowywane mu przez brata.

Mimo to stał się człowiekiem bardzo bogatym i w 1802 r. pozwolił się ożenić z Hortensyą, córką cesarzowej. W 1806 r. Napoleon uczynił go królem Holandyi, lecz Ludwik, będąc uczciwym człowiekiem, nie mógł na to patrzeć, jak Holendrzy cierpieli z powodu zamknięcia kontynentu i w 1810 r. bez wszelkich dalszych wyluszczeń złożył koronę.

Fouché opowiada jako rzecz zupełnie zrozumiałą i ogólnie znaną, że Józefina, przekonawszy się ostatecznie o swej nieplodności, sama zaaranżowała stosunek między Napoleonem, a własną swą córką Hortensyą, a gdy ta została brzemienną, doprowadzono co szybciej do skutku jej małżeństwo z Ludwikiem. To miało zapoczątkować wszystkie nieszczęścia tego małżeństwa. W każdym razie Ludwik postępował niekiedy w taki sposób, jakgdyby sam sądził, że Napoleon jest ojcem najstarszego syna Hortensyi.

I prawdą jest również, że w Tuileryach niezwykła panowała żaloba, gdy mały książę umarł na jakąś chorobę dziecięcą. A wiele szczegółów wskazywało też, że Napoleon miał zamiar adoptowania malca i wychowania go na następcę tronu.

Królowa Hortensya żyła w ustawicznej niezgodzie ze swym mężem, aż w 1815 roku nastąpił



rozwód. Była to kobieta niesłuchanie lekkomyślna, a biorąc pod rozwagę chorobę jej męża, wydaje się mało prawdopodobnem, aby którykolwiek z jej synów był synem Ludwika—z wyjątkiem może drugiego z rzędu.

Pierwszy był zatem mały Napoleon, który zmarł, a którego uważano za syna wielkiego Napoleona.

Drugim był wielki książę Bergu, ożeniony ze swą kuzynką, córką króla Hieronima.

Trzeci z rzędu, cesarz Napoleon III, był prawdopodobnie synem holenderskiego admirała Verhuela.

Dwaj ostatni brali pewien udział w niektórych zamieszkach we Włoszech i z tego powodu król Ludwik napisał w 1839 roku do papieża Grzegorza XVI list następujący:

„Ojcze Święty! Dusza moja przepełniona jest żalobą i drżałem z gniewu, otrzymawszy wiadomość, że moi synowie brali udział w zbrodnicznym buncie, podniesionym przeciw Waszej Świątobliwości. Życie moje, dość już ciężkie, zgutowało mi jeszcze gorzki ból, jakim jest dla mnie świadomość, że członek mej rodziny mógł zapomnieć o dobroćliwości, jaką Wasza Świątobliwość okazywałeś naszej nieszczęśliwej rodzinie. Ten nędzny młody człowiek umarł; niech mu Bóg wybaczy.

Co się tyczy drugiego, przywłaszczającego sobie me nazwisko, to, jak Ojcu Świętemu wiadomo, nie łączy mnie z nim, dzięki Bogu, żaden węzeł. Jestem na nieszczęście ożeniony z Messaliną, rodzącą dzieci“.

Czwarty syn Hortensyi, późniejszy książę Mor-ny, był synem brabiego Flahault.

Od tych strasznych Bonapartów Józefina odbija jako delikatna, jasna postać, jakkolwiek i ona niejedno przeżyła w salonach Barresa i innych mężów rewolucyi, a w każdym razie podczas bytności Napoleona w Egipcie nawiązała była przelotny stosunek z podrzędnym oficerem.

Szezerze jednak kochała Napoleona, a on ze swej strony dawał chyba wyraz najwyższemu szacunkowi, z jakim wogóle mógł się odnosić do kobiety, twierdząc, że jest pewny, iż Józefina przerwałaby każde *rendez-vous*, gdyby otrzymała wiadomość od niego.

Początkowo żyli jak zwykle mieszczańskie małżeństwo, mając wspólną sypialnię. Ale w obozie w Bulonii w 1805 roku Napoleon do późna w nocy zajęty był sprawami państwowemi. Józefina była o tyle niemądra, że mu urządziła scenę, gdy wszedł do sypialni. Napoleon wpadł w gniew i od tej chwili nie dał się żadną miarą nakłonić do zaprowadzenia dawnego porządku, ani nawet w małżeństwie z Maryą Ludwiką; znał już kobiety.

Józefina nie była nazbyt mądra, lecz nie mieszała się też do rzeczy, których nie rozumiała i surowemu swemu panu możliwie najmniej sprawiała przykrości. Wystarczało jej, gdy mogła utrzymać dla siebie jego miłość, a gdy inne stosunki odsuwały go od niej ze wszech sił starała się go napowrót odzyskać. Spełniała wszystkie jego żądania i wogóle była cesarzową, jakiej on potrzebował. Nie pozwalała się też zbliżać klechom, bo cesarz tego nie lubił, chociaż sama na swój sposób była religijna.

Arceybiskupowi z Nantes wyznała na spowiedzi, że w piątek i sobotę jada mięso.



— A czy cesarz jada także? — spytał arcybiskup.

— Tak.

— W takim razie proszę czynić, co on czyni. Najjaśniejsza Pani może się zawsze trzymać tego, że cesarz dla siebie i swej rodziny specjalną ma dyspensę.

Gdy jednak Józefina dla upewnienia się, przedstawiła to pytanie kardynałowi Feszowi, ten jej odpowiedział, że jeśli cesarz będzie ją namawiał do złamania postu, niech mu talerzem rzuci w twarz.

— Uczeni nie zgadzają się z sobą — z uśmiechem rzekł Napoleon, opowiadając Chaptalowi tę historję, powtórzoną mu przez Józefinę; — arcybiskup ma rację, a ten drugi jest łotrem, który pragnie sobie nadać pozór surowości, wcale nie licującej z jego życiem prywatnem.

Z biegiem czasu wzmagało się rodrażnienie i zdenerwowanie Józefiny, uświadamiającej sobie coraz dokładniej, że nie będzie już miała więcej dzieci, prócz Eugeniusza i Hortensyi z pierwszego męża, generała Beauharnais. To jej nie dawało chwili spokoju, zwłaszcza, gdy dostrzegła, że Napoleona te same zajmują myśli.

Uciekała się do wszystkich możliwych środków, zasięgała wszelkich rad, a nawet napomknęła Napoleonowi, czy nie mogłaby popełnić politycznego oszustwa, udając ciążę, a następnie podsuwając jakieś dziecko. Domyślała się też na długi czas przed rozwodem, że do tej ostateczności dojść musi.

Jej rozrzutność nietylko przekraczała wszelkie granice, lecz dochodziła do nierozsądku, omal do szaleństwa. Nie była w stanie oprzeć się jubilerom i magazynierom, gdy w komnatach jej rozkładali najpiękniejsze klejnoty i najbogatsze toalety, wy-  
czarowywane przez najpierwszych artystów Paryża—

wszystko po cenach bajecznych. Już sobie nie przypominam ile kapeluszy zakupiła dla siebie w jednym sezonie i ile kosztowały; tyle jednak pamiętam, że były to sumy bajeczne. Żyła więc w ustawicznej trwodze przed rachunkami swych dostawców, pomimo, że Napoleon hojnie płacił za jej toalety.

Jego cesarzowa mogła być rozrzutną i zaćmiewać wszystkie monarchinie Europy; ten małżonek nie znał sknerstwa. Ale z drugiej strony nie znosił wyzyskiwaczy, ani też dających się wyzyskiwać, a rozumiał, że Józefina musiała za wszystko płacić ceny siedmiokrotne, gdyż na pieniądzach tyle się rozumiała, co ptak.

Dlatego, załatwiając się z dostawcami cesarzowej, nigdy nie płacił pełnej ceny, lecz ofiarowywał im połowę lub trzy czwarte żądanej sumy. Zwykle się na nią godzili, mimo to świetny robiąc interes.

Nigdy jednak nie mógł zgłębić ostatecznie jej rachunków, gdyż największe przed nim ukrywała, jakkolwiek wiedziała, że kiedyś będą przecież musiały wyjść na jaw. Ale pierwszym słowem Józefiny było zawsze, nie! Kłamała instynktownie. Ustawicznie też żyła w morzu długów, które szeroką strugą rachunków popłynęło nawet na Elbę.

Po za tem jednak, i o ile wogóle można mówić o wpływie kobiet na Napoleona, Józefina była niewątpliwie żoną dla niego najstosowniejszą; i gdyby mu tylko była urodziła dziecko — choćby nawet dziewczynkę — nie byłby się nigdy z nią rozstał. Bo do nowego małżeństwa nie skłaniało go wcale niezadowolenie z Józefiną, tem mniej miłość do innej kobiety lub chęć wywyższenia się przez dostojny związek.

Stał dość wysoko, by sobie mógł pozwolić na zbytek zatrzymania kobiety, do której raz wraz powracał, przytem z najwyższą niechęcią myślał o hań-



bie i bólu, jakie na Józefinę ściągnie ta rozłaka. Wszelako stały dotychczas ulubieniec losów, jednoczący w swej dłoni tak ogromną potęgę, nie mógł się wyrzec połączenia swej osoby z przyszłością przez potomków. Zwłaszcza, że otoczenie jego codziennie się tego domagało — niektórzy jawnie, inni napomknieniami. Nadto wszystkie legitymistyczne dynastye ustaliły swą przyszłość; on jeden tylko był bez przodków i bez potomków. Należało przeto utrwalić ród Bonapartów.

Wielu ludziom wydawał się człowiekiem nienasyconym, niewolnikiem bezgranicznej ambicji, pędzącej go od jednego otehlannego planu ku drugiemu.

Gdy jednak wyłączę panów polityków, którzy nigdy nie pożądamy niczego dla siebie, a tylko wyłącznie dzięki bezgranicznemu podziwowi i miłości swych ziomków wznoszą się coraz wyżej i wyżej, nadęci sytem zadowoleniem — gdy wyłączę tych ziemskich pielgrzymów — to my wszyscy przecież, każdy na swój sposób, pracujemy w celu zaznaczenia własnej indywidualności.

Widzimy jednak, że Napoleon podolał wszystkim tym wielorakim żądaniom, stawianym mu kolejno przez dziwne jego losy; nie miał więc powodu zatrzymywać się w swej drodze lub uczuwać zawrót głowy. Miał prawo czuć swą przewagę, zarówno w dobrem jak złem nad innymi monarchami i wiedzieć, że pierwsze miejsce wśród nich należy się bezwzględnie jemu — stojącemu na czele wielkiego narodu, który znów wyraźnie się odeń domagał zabezpieczenia przyszłości.

I tylko serdeczne uczucia dla Józefiny tak długo kazały mu zwlekać z przykrym tym krokiem, bo niema powodu powątpiewać, że był mu istotnie bardzo ciężkim do spełnienia.

Ale i w tym wypadku, jak we wszystkich innych, Napoleon wyróżnił się od innych królów i książąt, mających chęć odepchnięcia żony. Nie przyszła żadna bulla papieska, ani czarny tłum klechów nie napędził strachu biednej królowej, ani wreszcie nie zainscenizowano skandalicznego procesu z przekupionymi świadkami o wiarołomstwo monarchini. Rozstał się ze swą żoną jako prawdziwy gentleman i wielki pan, z właściwą mu precyzją i ścisłością form.

A jej również należy się uznanie, że, straciwszy wszelką nadzieję, z godnością zносиła swój ciężki los. Pozostała wierną przyjaciółką Napoleona i nigdy nie stanęła na drodze nowej małżonce i cesarzowej.

Rzadko związek ludzi, zajmujących wysokie stanowisko w hierarchii społecznej jest tak czysty i jasny, jak tych dwojga w chwili rozstania.

Napoleon, powziąwszy postanowienie niezłomne, wysłał Eugeniusza Beauharnais do matki, by jej wytłómaczył, że rozwód stał się ze względów politycznych nieuniknionym, gdyż Francya domaga się utrwalenia dynastji Bonapartów.

Wicekról w sprawie tej, jak zresztą we wszystkich innych, zachowywał się wzorowo. Wyrobił on się nie tylko na dzielnego i odpowiedzialnego wodza, lecz był nadto człowiekiem honorowym i synem szczerze oddanym zarówno swemu ojczyźnie, jak matce. Napoleon wysoko go cenił, nigdy jednak ani jednym słowem nie dając do poznania, iżby Eugeniusza uważał za swego następcę. Józefina spodziewała się tego przez pewien czas; była jednak tak ostrożna i wstrzemięźliwa, że nigdy nie prosiła o nie dla swego syna, ani nawet nie dziękowała. Chciała bowiem, aby wszystkie awanse zawdzięczał wyłącznie Napoleonowi.

Jako wdowa po generale Beauharnais, który zginął pod gilotyną, żyła swego czasu w tak cięż-



kich warunkach, że zmuszona była oddać Hortensyę na naukę do modystki, a Eugeniusza do stolara, gdy w sam czas zjawił się konkurent w osobie generała Bonapartego. Teraz Hortensya była królową Holandyi, a Eugeniusz księciem Leuchtenbergu, Eichstädtu i Francyi, oraz wielokrólem Włoch.

Dnia 15 grudnia 1805 r. przybyli książę Cambraceres, wielki kanclerz cesarstwa i hrabia Regnault do Tuileryów, gdzie zgromadzona już była cała rodzina cesarska; w ich obecności Józefina dała swe przyzwolenie na rozwód, a Napoleon w szczerych i pełnych wzruszenia słowach podziękował jej za piętnastoletnie szczęśliwe pożycie.

Następnego dnia senat został zawiadomiony o rozwodzie. Znów wystąpił Eugeniusz, zaznaczając lojalne zachowanie się swej matki i wielką ofiarę, jaką dobrowolnie składa ojczyźnie.

Następnie unieważniono małżeństwo na podstawie powodu formalnego, jakim był brak pastora i dwóch świadków przy zawieraniu ślubu.

Cywilny bowiem ślub generała Bonapartego w 1796 r. został zawarty swego czasu bez wszelkich formalności, prócz wpisania tego faktu u odpowiedniego urzędnika republiki—tak samo, jak małżeństwo Bernadottego i innych ówczesnych oficerów—mógł więc być podług ustawy francuskiej za zgodą obu stron rozwiązany.

Nie ten więc ślub musiał zostać rozwiązany przez senat, zanim Napoleon mógł się ożenić z katolicką księżniczką.

Natomiast w 1804 r. przed koronacją pary cesarskiej, kardynał Fesz obawiając się, by republikańskie małżeństwo nie spowodowało jakiegoś utrudnienia w ukoronowaniu Józefiny, wołał nakłonić Napoleona, że pozwolił, by on, kardynał, dał im ślub, lecz przy zamkniętych drzwiach i bez świadków.

Józefina, dowiedziawszy się teraz, przy rozwodzie, że ślub ich został uznany za nieważny, zawezwała do Malmaison kardynała Fesza i kazała wystawić dokładną metrykę ślubu. Jednakowoż z dokumentu tego Józefina nie uczyniła użytku, poprzestając na jego posiadaniu.

Zarówno senat jak kardynał mieli po części słuszość.

Podług ustawy francuskiej ślub był nieważny choćby z tego powodu, że odbył się bez świadków.

Zaś podług katolickiego prawa kościelnego, ślub ten mógł być uważany za ważny, jako dany przez kardynała.

Skończyło się na tem, że cesarz Napoleon musiał zapłacić 6 franków kary na rzecz ubogich, że nie zawezwał był świadków.

Rozwód Napoleona wywołał na dworach europejskich najwyższe wzburzenie. Wiedzano bowiem, że skoro zdecydował się na nowe małżeństwo, to niewątpliwie sięgnie po żonę jak najwyżej. Przez pewien czas mówiono o księżniczce saskiej, którą oczywiście mógł otrzymać! Napoleon jednak pragnął właściwie księżniczki rosyjskiej, siostry cesarza.

Aleksander udawał, że wybór Napoleona niezmiernie mu pochlebia, tylko że względu na młodość wielkiej księżniczki prosił o pewną zwłokę. Wiedział on zarówno dobrze, jak wszyscy inni, że o zwłoce nie może tu być mowy.

Dnia 1 marca 1810 roku marszałek Berthier, książę z Neuchatel przybył do Wiednia prosić imieniem cesarza Francyi o rękę arcyksiężniczki Maryi Ludwiki.

Wszystkie układy były już z góry zawarte, wobec czego cesarz Franciszek z najwyższą uprzejmością przyjął wysłannika.



A jednak ciężko musiało być staremu Habsburgowi oddawać własną córkę, aby rodziła dzieci człowiekowi, który zgnębił był Austryę, pobił jej armie i raz po raz upakarzał dom Habsburgów — a przytem był to przecież zwyczajny awanturnik z Korsyki.

Dnia 11 marca arcyksiężna została poślubiona Berthierowi, zastępującemu cesarza, a w dwa dni później wyjechali z Wiednia.

Z Wiednia towarzyszyło im 300 osób. Ale pomiędzy Branau a Altheim Napoleon w zdumiewająco krótkim czasie kazał wystawić wielki, wspaniale udekorowany budynek. Jedno skrzydło budynku było dla Austrii, drugie dla Francyi, a w środku przestrzeń neutralna. Tu przybyła z licznym orszakiem z Paryża królowa Neapolu, Karolina Murat i przyjęła młodą cesarzową.

Arcyksiężniczka, która tu przybrała tytuł cesarzowej, została teraz wśród uroczystego ceremonialu oddana przez Austryę Francyi, jak to cesarz sam był zarządził.

Jako ślubny podarek ofiarował jej wyprawę, istny cud najwyższej paryskiej zręczności i gustu, zaćmiewający wszystko, co Wiedeń mógł wogóle ofiarować księżniczkom dworu.

Po odbytych ceremoniach cesarzowa ruszyła dalej na Zachód, przebywając co dnia nieznaczne przestrzenie, jak to się praktykowało przed stu laty. Ogromne karety zaprzężone w czwórkę koni czekały na wszystkich przystankach i z możliwą szybkością pędziły do oznaczonego nowego miejsca przystanku. Rozstała się teraz ze swym orszakiem wiedeńskim i pozostała w otoczeniu nielicznego tymczasowego dworu francuskiego, wysłanego naprzeciw niej przez Napoleona. Na każdej stacyi, gdzie mieli zanocować, zastawała list od swego rycerskiego małżonka.

Dzień 29 marca miał być ostatnim dniem podróży cesarzowej. Wieczorem miała stanąć w zamku Compiègne, gdzie ją oczekiwał cesarz z całą cesarską rodziną, która miała być obecną, gdy nazajutrz Berthier uroczyście odda cesarzowi klęczącą cesarzową.

Nie doszło jednak do tego, bo Napoleon, ukończywszy wszystkie przygotowania, zabrał z sobą Murata i wymknął się z zamku w szarym swym mundurze, który nosił pod Wagramem. Obaj wyjechali naprzeciw cesarzowej w zwykłej karecie z furmanem bez liberyi. Gdy w ulewnym deszczu przybyli do Courcelles, wjechali pod sklepienie bramy starego kościoła i tu czekali na orszak cesarzowej. Był to ostatni przystanek, gdzie miano zmienić konie, a w chwili przybycia cesarzowej, Napoleon szybko się wsunął do jej karety.

Nazajutrz rano kazał wspólne ich śniadanie zastawić koło łóża cesarzowej. Straszny ten skandal obiegł całą Europę, a najsilniej wstrząsnął prawdopodobnie filarami towarzystwa wiedeńskiego.

Dnia 30 marca wzięli ślub cywilny w St. Cloud, a nazajutrz odbył się wspaniały wjazd nowożeńców do Paryża, po którym nastąpiła uroczystość w Louvrze, zaaranżowana z niebywałą wystawnością podług gustu Napoleona. Część Louvru została zajęta na czas uroczystości. Ustawiono tu trybuny dla królów i książąt, posłów i marszałków. Rodzina cesarska w całej swej piękności i wspaniałości otaczała Napoleona i Maryę Ludwikę — nadto uczestniczyła w uroczystości cała arystokracja i najwybitniejsi przedstawiciele Francyi, a także mnóstwo cudzoziemców — razem około 8,000 osób.

Ale świąteczny nastrój, jaki nastąpił po ślubie pary cesarskiej został zasępiony, gdy w parę miesięcy później wybuchł straszny pożar podczas balu, wydanego przez austriackiego ambasadora,



księcia Szwarcenberga, na część córki swego monarchy. Wypadek ten wywołał ogromną grozę, nie tylko dlatego, że spowodował śmierć kilku osób, lecz także z tej przyczyny, że u współczesnych rozbudził fatalne wspomnienie podobnej katastrofy, która się zdarzyła w 1770 r. podczas weselnej uroczystości innej arcyksiężniczki austriackiej, mianowicie Maryi Antoniny z Ludwikiem XVI.

Książę Szwarzenberg popelniał tę samą nieostrożność, jaką często popelniają w starych pałacach Paryża. Dla zyskania miejsca do tańców, przemieniono podwórze hotelu ambasady w ogromną salę, w ten mianowicie sposób, że wyłożono je posadzką, i zapomocą schodów i wejść połączono z ubikacyami domu. Na całą tę prowizoryczną salę zaciągnięto dach z płótna, a ściany obwieszono mnóstwem wspaniałych portyer, dywanów i draperyi, udekorowanych kwiatami i nieskończoną ilością świateł.

Podobne urządzenie jest jeszcze dzisiaj niebezpieczne, pomimo, że posługujemy się światłem elektrycznem, a w owych czasach, gdzie do podobnej iluminacyi używano tysięcy świec woskowych, było poprostu bezdenną głupotą. Gdy podczas tańca powstał przeciąg koło drzwi lub na schodach, wystarczało, aby firanka frunęła ku świecznikowi, a w ciągu trzech minut wszystko stało w płomieniach. I to właśnie zdarzyło się na tym balu i to w chwili największego rozbawienia.

Cesarz, spokojny jak zawsze, nie czekając na pomoc, jak zwykły mieszczanin, wziął swą połowicę na ręce i z płonącej sali wyniósł do pałacu, gdzie byli bezpieczni.

Ale wiele osób straciło życie—zwłaszcza pań, których lekkie stroje zajęły się w jednej chwili. Padały w ścisku, lub zostały uduszone, lub wreszcie w płonącej odzieży wybiegały do ogrodu. Było

wprawdzie wielu dzielnych mężczyzn, przywyczajonych do zachowania przytomności umysłu w chwilach największego niebezpieczeństwa, lecz tu wszystko poszło tak strasznie szybko.

Generał jazdy Durosnel znalazł w ścisku swą żonę i wyniósł ją z sali, a przeciskając się przez tłum widział, jak jakaś ręka wyciągała jej z włosów kosztowny grzebień — nie był jednak w stanie temu przeszkodzić.

Końcem 1830 r. przybyło do Napoleona poselstwo ze Szwecyi, którego następstwem było zamianowanie marszałka Bernadotte'a, księcia Ponte Corvo, następcą tronu szwedzkiego.

Przed konsulatem, w czasie jego trwania i później, Bernadotte był skrytym wrogiem Bonapartego, okazującego mu stale najwyższą wspaniałomyślność, którą ten stale przewyższał swą niewdzięcznością.

Dnia 18 Brumaire'a trzymał się zdala, gotów wysunąć się na pierwszy plan, gdyby zamach stanu Napoleona został zniweczony. Gdy się jednak udał, Bernadotte przyłączył się do Napoleona, aby natychmiast nowe przeciw niemu nawiązać intrygi.

Jakkolwiek Napoleon był o wszystkim doskonale powiadomiony, niemniej przy pierwszym mianowaniu zrobił Bernadotte'a marszałkiem, nadał mu wielki krzyż, zamianował księciem Francyi i Ponte Corvo z ogromnemi dochodami i dotacyami, a wreszcie uczynił królem Szwecyi z darem miliona franków z prywatnej kasy cesarza. Wszystko to odplacił Bernadotte niewdzięcznością i zdradą.

W 1799 roku gdy Napoleon bawił w Egipcie, najstarszy brat Józef wydał siostrę swej żony za generała Bernadotte'a. Obie panny Clary były córkami kupca z Marsylii a Dezyderya, poślubiona generałowi Bernadotte była młodocianą miłością Bonapartego. Później miała wyjść za generała Duphot



który tuż przed ślubem został w Rzymie zamordowany; ostatecznie dostała się Bernadottemu, którego ciągle awansy aż do godności króla należy przypisać małżeństwu z przyjaciółką Napoleona.

Bo jako żołnierz, Bernadotte wcale nie należał do wielkich. Było we Francyi dwudziestu generałów, mających naczelne dowództwo nad osobnymi korpusami armii, których nazwiska i sława zupełnie go zaćmiewały. Przytem był to człowiek bez wychowania i nie cieszący się sympatją armii.

Gdy jednak Napoleon został cesarzem—sprawiało mu przyjemność uczynić z młodocianej swej miłości marszałkową, księżną i królowę.

Syn ich był chrześniakiem Napoleona. Czekali z obrzędem chrztu do powrotu Napoleona z Egiptu, który sam wybrał dla chłopca imię Oskara, wycytane w pieśniach Ossyana — przedmiocie gorącego entuzjazmu, zarówno Napoleona, jak jego współczesnych. Ztąd szwedzcy królowie doszli do imienia ze starych pieśni szkockich bardów, o których ani Napoleon, ani nikt inny wówczas nie wiedział, że są falsyfikatem i pochodzą z pod pióra księdza, niejakiego Mackphersona.

Była to właściwie drobna grupa szlachty i oficerów, która staremu bezdzietnemu królowi Szwecyi podsunęła myśl poproszenia Napoleona, by któregoś z książąt Francyi przeznaczył na następcę tronu szwedzkiego. Początkowo myślano o wice-królu Włoch. Wszelako konieczność zmiany religii okazała się tu przeszkodą nieprzewycięzoną — zwłaszcza dla wice-królowej. A że oprócz Bernadotte'a nie było innych książąt Francyi, więc, za przyzwoleniem Napoleona, wybór padł na niego.

Skoro to załatwiono, Jan Baptysta Bernadotte z całym zapalem co szybciej przeszedł na obrządek ewangelicko-luterski—suboto!

Małżonka jego nie śpieszyła się tak bardzo ze

zmianą religii, przytem nie zależało jej wcale na porzuceniu dworu Paryskiego dla Sztokholmu.

„O ile byłem zachwycony Józefiną—pisze jeden ze współczesnych—o tyle wręcz przeciwne wrażenie uczyniła na mnie marszałkowa Bernadotte. Jej nieznośna zarozumiałość odpychała wszystkich ludzi, a jej sposób zachowywania się wcale niestosoway dla obecnej królowej Szwecyi, stanowi rażący kontrast z wdziękiem Józefiny, a nawet Hortensyi“.

To wszystko jednak było jeszcze niczem w porównaniu ze skandalem, jaki wywołała w całej Europie, gdy mimo swej pychy i stanowiska królowej, jak waryatka biegła za jednym z książąt Richelieu, w którym się zakochała.

Książę sam pisze w liście z Zurychu, noszącym datę 19 lipca 1819 r.

„...Dziś rano znalazłem na stole w mym hotelu bukiet. Więc moja zwaryowana królowa przyjechała“. A 25 lipca pisze znów do jego ze swych przyjaciół: „Moja zwaryowana królowa bawi tu, zachowując najgłębsze incognito, przytem chodzi tak zawołowana, że, spotykając ją, nigdy nie jestem pewny, czy to ona. Na czas dłuższy staje się to zbyt uciążliwe“.

A równocześnie enotliwe kobiety Norwegii zalegały wszystkie kościoły, co niedzielę zasyłając do niebios modły za tę matkę kraju. Modły te zresztą aż nadto mogły jej być potrzebne.

Bernadotte natomiast zaraz się udał do Szwecyi, gdzie Karol XIII adoptował go za syna. Dnia 1 listopada złożył przysięgę jako następcy tronu Szwecyi, a 15 listopada rząd szwedzki połączył się z Napoleonem i przystąpił do wielkiego związku zamknięcia kontynentu dla Wielkiej Brytanii.

W ciągu całego okresu napoleońskiego, Szwecya odgrywała rolę podrzędną i marną. Niezadługo jednak miała wywołać zdumienie Europą swoim



wiarołomstwem. Bo w obec coraz większego osłabienia starego króla, polityka kraju coraz bardziej zaczęła odzwierciedlać charakter fałszywego i kłamliwego Gaskończyka, tak dobrze znanego ze wszystkich intryg i spisków, w jakie był zawikłany—począwszy od r. 1804, a zatem okresu poprzedzającego jeszcze sprzysiężenie Jerzego Cadoudala i innych rojalistów.

Bernadotte był wówczas naczelnym komendantem w północno-zachodniej Francyi, a żołnierze garnizonu w Rennes, przygotowali spisek, który oznaczonego dnia miał w tych okolicach podnieść bunt przeciw pierwszemu konsulowi. Jednakowoż na krótki czas przed owym dniem Bernadotte, wymknął się do Paryża, pod pozorem, że musi być *tam* w chwili powstania, a w rzeczywistości dlatego, że chciał się zabezpieczyć na wypadek nieudania się zamachu w Rennes, co też się stało.

Bo właśnie w dniu, kiedy bunt miał wybuchnąć, odkryto całe przysiężenie, a proklamacye, które miało rozrzucać między ludnością, a zawierające nazwiska Bernadotte'a i Moreau'a, zostały skonfiskowane.

Bernadotte ocalał dzięki temu, że zbyt był ostrożny, by dawać jakiekolwiek zobowiązania lub zlecenia piśmienne—nie można więc było dowieść jego współwiny.

Ale młodemu synowi generała Marbota, adjutantowi Bernadotte'a, sprzysiężeni, bez jego wiedzy naładowali powóz niebezpiecznymi proklamacyami, skutkiem czego Marbot natychmiast został uwięziony.

Matka błagała Bernadotte'a o pomoc; był on przyjacielem zmarłego generała Marbota i opiekunem jego synów i wiedział, że spiskowcy naładowali proklamacyami powóz jego adjutanta.

Bernadotte wszystko przyrzekł i nic nie zrobił.

Pani Marbot biegła od jednego do drugiego, nakoniec otrzymała od Bonapartego przyrzeczenie,

że uwolni młodego Marbota, jeśli generał Bernadotte osobiście się za nim wstawi.

Pani Marbot pobiegła z tą wieścią do Bernadotte'a, który wygłosił mowę o przyjaźni i t. d., przyrzekając udać się do Bonapartego jeszcze tego samego wieczora. Rozumie się, że obietnicy nie dotrzymał, lecz tego samego wieczora wyjechał z żoną do wód w Plombières.

Napoleon, dowiedziawszy się o tem, rzekł:—Tak, po tem go poznaję.

Młody Marbot został uwolniony, lecz Napoleon na zawsze zachował doń nieufność.

Na półwyspie Pirenejskim walczone w dalszym ciągu bez przerwy, w latach 1810 i 1811 Massenie po raz pierwszy w życiu szczęście nie służyło. Walczył w Portugalii z Wellingtonem i przegrał bitwę pod Busaco. A jakkolwiek miał przy sobie Ney'a i Junot'a i nieubłaganego generała Reynier, niemniej stanął bezradny, wobec znakomitych szanów Wellingtona, pod Torres vedras.

W Hiszpanii wiodło się nieco lepiej. Tu główne dowództwo mieli marszałkowie Soult i Suchet; całoci jednak brak było właściwej siły, odkąd cesarz wyjechał. Marszałek Victor miał szczęście oswoodzić 600 jeńców wojennych z pod Baylèn. Korpus jego otoczył oddział floty, spoczywającej koło Kadyksu. Gdy nieszczęśliwi jeńcy, zajęci przy ciężkich robotach w porcie, ujrzeli francuską flagę, chwycili marny jakiś stateczek bez lin i wśród silnego ognia hiszpańskich i angielskich okrętów wojennych przybili do brzegu tryumfalnymi okrzykami radości przywitani przez ziomeków.

Napoleon tymczasem po zakończeniu sprawy rozwodowej i zawarciu nowego małżeństwa, tak doskonale odpowiadającego jego zamiarom i planom, skierował całą swą uwagę na wschód.



Dnia 20 marca 1811 r. cały Paryż był w gorączkowem napięciu—wiedziano, że zbliża się rozwiązanie cesarzowej. Nastąpiły jednak tak ciężkie komplikacye, że należało się spodziewać niebezpieczeństwa dla niej, lub dla dziecka. Doktor Dubois udał się do cesarza, bawiącego w przyległym pokoju, by się dowiedzieć, czy bardziej ochraniać życie tego drogiego dziecka, czy też matki.

Ale cesarz odpowiedział gorąco:—Proszę obchodzić się z cesarzową, jakby była zwykłą położnicą, z którejkolwiek ulicy Paryża.

Doktor Dubois wrócił do cesarzowej, rzucił sardut i zabrał się do roboty. Dziecko urodziło się ogromnie wymęczone, powoli jednak przyszło do siebie, a wówczas cesarz wziął je z rąk dozorczyń i wniósł do wielkiej sali, gdzie pierwsi dostojnicy państwa w najwyższem czekali naprężeniu.

— Oto król Rzymu!—zawołał cesarz; ten jeden raz nie posiadał się z radości.

W tej samej chwili armaty z hotelu inwalidów zaczęły wieścić Paryżowi, że cesarzowi urodziło się dziecko, a od pierwszego wystrzału, cały Paryż ucichł i z powstrzymanym oddechem zaczęli wszyscy liczyć: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci, umiejące już liczyć. Wiedzieli wszyscy, że jeśli armaty ucihną po dwudziestym pierwszym wystrzale, będzie to tylko księżniczka; jeśli zaś ozwie się strzał dwudziesty drugi, to działa będą grzmiały, aż do ostatniego strzału, głosząc, że urodził się syn, następca tronu, Napoleon II.

Powiadają, że inwalidzi zrobili sobie żart, urządzając po strzale dwudziestym pierwszym chwilową pauzę; ale gdy działa znów się ozwały, w całym mieście wybuchła szalona radość, jakiej nie znano przedtem, ni potem.

Ulga, jaką ludzie uczuli w obec zapewnienia przyszłości kraju, była tak wielka, że paziowi ce-

sarskiemu, który pierwszy przybiegł ze zamku, niosąc tę wiadomość Radzie, zebranej w hotel de Ville, przyznano jednogłośnie roczną gażę w kwocie 10,000 franków.

W trzy lata później w r. 1814, ta sama Rada, ogłosiła cesarza za zdetronizowanego. Co się też stało z roczną gażą pазia?

Francya w r. 1811 była cała promieniejąca i słoneczna;—padł jednak cień na kraj, gdy końcem roku zaciągnięto się do armii 100,000 młodziutkich chłopców.

Sowite nagrody, jakie cesarz rozdzielał pomiędzy swych ludzi, nadały towarzyskiemu życiu Paryża świetność, dorównywającą niemal stopie życiowej za dawnych królów. Cesarz życzył sobie, by tak było, a przeważna część jego wojowników chętnie się zastosowała. Umieli oni też — przynajmniej bardzo wielu z pośród nich — nagromadzić sobie takie mnóstwo pieniędzy i kosztowności, że z każdej wyprawy przywozili całe ładunki łupów.

Salony ich żon i wspaniałe zabawy przez nie urządzone, gdy przez jakiś czas mogli w domu zażywać pokoju, stały się rychło miłą nagrodą, którą umieli ocenić po długich wojnach, gdzie nikt się nie oszczędzał, a każdy niemal wynosił rany i uszkodzenia.

Do tego trybu życia przyczyniała się znacznie własna rodzina Napoleona, z królową Neapolu na czele, oraz Tuilerye, gdzie zawsze odbywał się szereg uroczystych zebrań. Nadto wróciło też wielu członków starych rodów szlacheckich, zajmując ponownie swe tajemnicze hotele na bulwarze St. Germain. Wielu z nich cisnęło się do dworu i dworskich godności, a w armii Napoleona, tak samo jak za Burbonów, najświetniejsze figurowały nazwiska.

Wyższe koła towarzystwa paryskiego, były zatem równie wspaniałe jak dawniej. Niższe warstwy



ludności czuły się zadowolone; cesarz dostarczał aż nadto sposobności do zaszczytów i sławy—lecz także do pracy i robienia majątku. Czuwał nad wszystkim, a chociaż właściwie znał tylko wojskową część swej ludności, to jednak praktyczny jego zmysł przyczynił się do rozwinięcia wielu gałęzi przemysłu.

Paryż był zawsze zadaniem najtrudniejszym. Cesarz powiedział raz do ministra Fouché: „Będę zachwycony, jeśli mnie pan zdoła upewnić, że Faubourg St. Germain, jest zadowolone. I wyznam panu, że we wszystkich walkach, w chwilach najwyższego niebezpieczeństwa, ba, nawet wśród pustyni, stale zadaję sobie pytanie: co powie Paryż, a przede wszystkim Faubourg St. Germain“?

Bo między Napoleonem a Paryżem, istniał pewien przedział, nie dający się nigdy całkowicie usunąć; cesarz nie stał się nigdy Paryżaninem, gdyż zamało był Francuzem.

Nie łatwo to określić, ów nieuchwytny fluid, wytwarzający istotę wielkiej stolicy, a którego drobną bodaj kropelkę musi mieć każdy człowiek, uważający się i przez innych mogący być uważanym za prawego syna tej stolicy.

Paryżowi i całemu jego życiu właściwą jest pewna wytworna woń zepsucia; wszystko jest tu niejako okolone drobnym, czerwonym brzeźkiem. A tego brakło Napoleonowi w zupełności; był on sobą samym—do ostatecznych kończyn palców twarzym i kanciatym jak kryształ, nie noszącym na sobie piętna żadnego towarzystwa, a już najmniej paryskiego.

Zabezpieczywszy teraz losy swej dynastji i wprowadzwszy w dobry humor swą bardzo wymagającą stolicę, czuł doskonale swą przewagę nad wszystkimi znanymi mu monarchami. Pozostał tylko cesarz.

Już w r. 1805 Napoleon zauważył, że cesarz rosyjski nie pozwoli Austrii całkiem upaść. A w r. 1810,

Rosya bez powodu złała układ z Tylży i wystąpiła ze związku zamknięcia kontynentu. Wielkie przygotowania wojenne i gromadzenie wojsk wzdłuż granicy wielkiego Księstwa Warszawskiego również nie zapowiadały nic dobrego.

Napoleon jednak, jak zwykle dziwnie pobłażliwy dla Rosyi, i tym razem nie chciał się pogodzić z faktem jawnego przyłączenia się cesarza do Anglii i innych książąt legitymistycznych. Bo niezłomnej solidarności, istniejącej pomiędzy książętami, a skierowanej przeciw własnej jego osobie, Napoleon nigdy sobie jasno nie uświadomił. Mógł przecież wiedzieć z historyi, co my również widzieliśmy w sto lat później—że nieprzyjaźń królów nigdy nie jest długotrwała. Po pewnym czasie, przewietrzywszy swe armie i puściwszy krwi swym ludom, znów sobie składają wizyty i całują się na peronach, że echo tych pocałunków rozbrzmiewa na telegraficznych stacyach całego świata.

Wcale tego nie rozumiał, że gdyby był synem królewskim—bodaj tylko bękartem—władcy Europy pokonani jego przewagą, byłiby jemu, a może także jego synowi uprzęstępnili swe koło. Ale jemu, przywłaszczycielowi, synowi rewolucyi—przenigdy! Mógł ich upakarzać i podług upodobania rozrządzać się w ich krajach i stolicach, ale uznać go w istocie za swego równego—raczej śmierć!

Mogło to jeszcze uchodzić z Bernadotte'm na dalekim tronie szwedzkim. Po pierwsze potrzebny im był jako generał, przytem gardzili nim i dawali mu to odczuwać.

Ale Napoleon był na to wszystko zupełnie ślepy. W sprawach polityki miał ideę—wskrzeszoną znów za naszych dni, że mianowicie Francya w sojuszu z Rosyą, dierży w swem ręku losy Europy; osobiście zaś był przekonany, że cesarz Aleksander jest jednak jego przyjacielem.



I on, tak bardzo przezorny, w podejrzeniach swych nie cofający się przed najniższemi przypuszczeniami, przez cały czas, nawet w toku przygotowań do wyprawy rosyjskiej, widocznie wierzył, że za osobistem zetknięciem z Aleksandrem—najchętniej po zupełnem jego zmiążdżeniu—zdoła odnowić z nim przyjaźń z Tylży i Erfurtu, poczem obaj obezwładnią Anglię i przywrócą Europie równowagę, której tak pragnął dla swego syna.

Gdy przeto w lutym, r. 1812, musiał sobie narzeczcie uświadomić, że w Petersburgu durzą go prosto fałszywemi rosyjskimi obietnicami, wcale nie mając zamiaru—jak przez długi czas zapowiadano—wysłania do Paryża hrabiego Nesselrode, w charakterze nadzwyczajnego ambasadora, Napoleon zawezwał do siebie bawiącego w Paryżu pułkownika Czerniszewa, adjutanta cesarza i całkiem po przyjacielsku dał mu szereg wyjaśnień oraz list do cesarza.

Pułkownik Czerniszew skłonił się i podziękował. Ale w dwa dni po jego wyjeździe z Paryża odkryto, że nadużył swego stanowiska i przekupił podrzędnego urzędnika w ministerstwie wojny, który mu też podał szczegółowo stan i siłę armii francuskiej. Nieszczęśliwy urzędnik został stracony, ale fałszywy pułkownik był już zbyt daleko, by go można było dopędzić; przybył też do Petersburga ze swą ważną zdobyczą.

Odpowiedź cesarza Aleksandra na list Napoleona, wysłany przez pułkownika Czerniszewa została przesłana dopiero w kwietniu, przez barona Serobina i zawierała żądanie Rosyi, by wojska francuskie opuściły Prusy i cofnęły się za Ren.

Napoleon nazwał to dyplomatyczną arogancją, której nie chciał brać seryo. Polecił hrabiemu Narbonne, by jako nadzwyczajny ambasador udał się

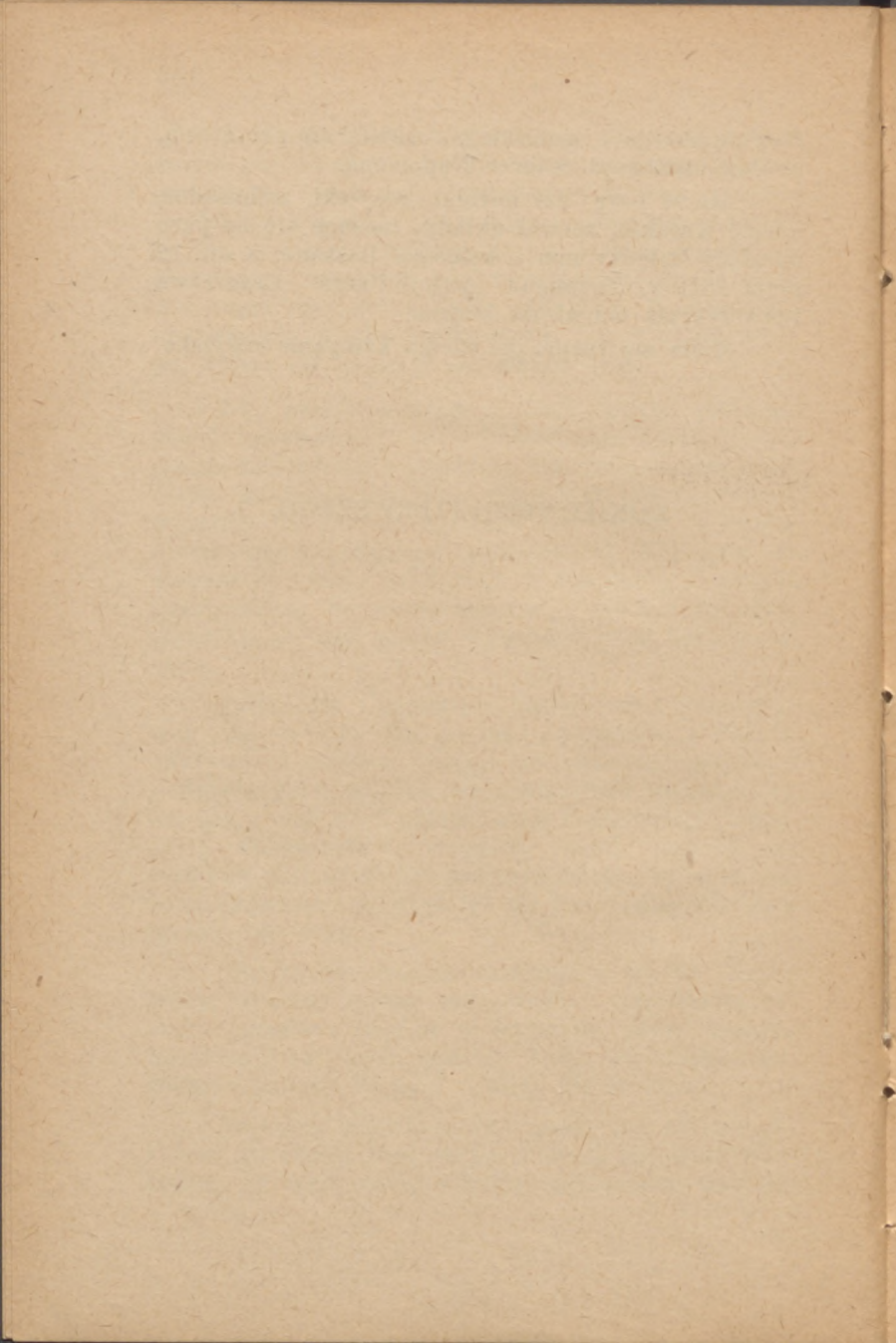
do Petersburga i osobiście porozumiał się z cesarzem, podług instrukcyi cesarza Napoleona.

Ale w parę dni później rosyjski ambasador, książę Kurakin, zerwał układy, toczące się od paru miesięcy między nim a księciem Bassano, a dn. 12 maja 1812 r., Napoleon opuścił Paryż. Cesarzowa towarzyszyła mu aż do Dreżna.

Miała się rozpocząć wielka kampania rosyjska.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





# WYCIĄG Z KATALOGU

## „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ  
WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14) i we  
wszystkich księgarniach.

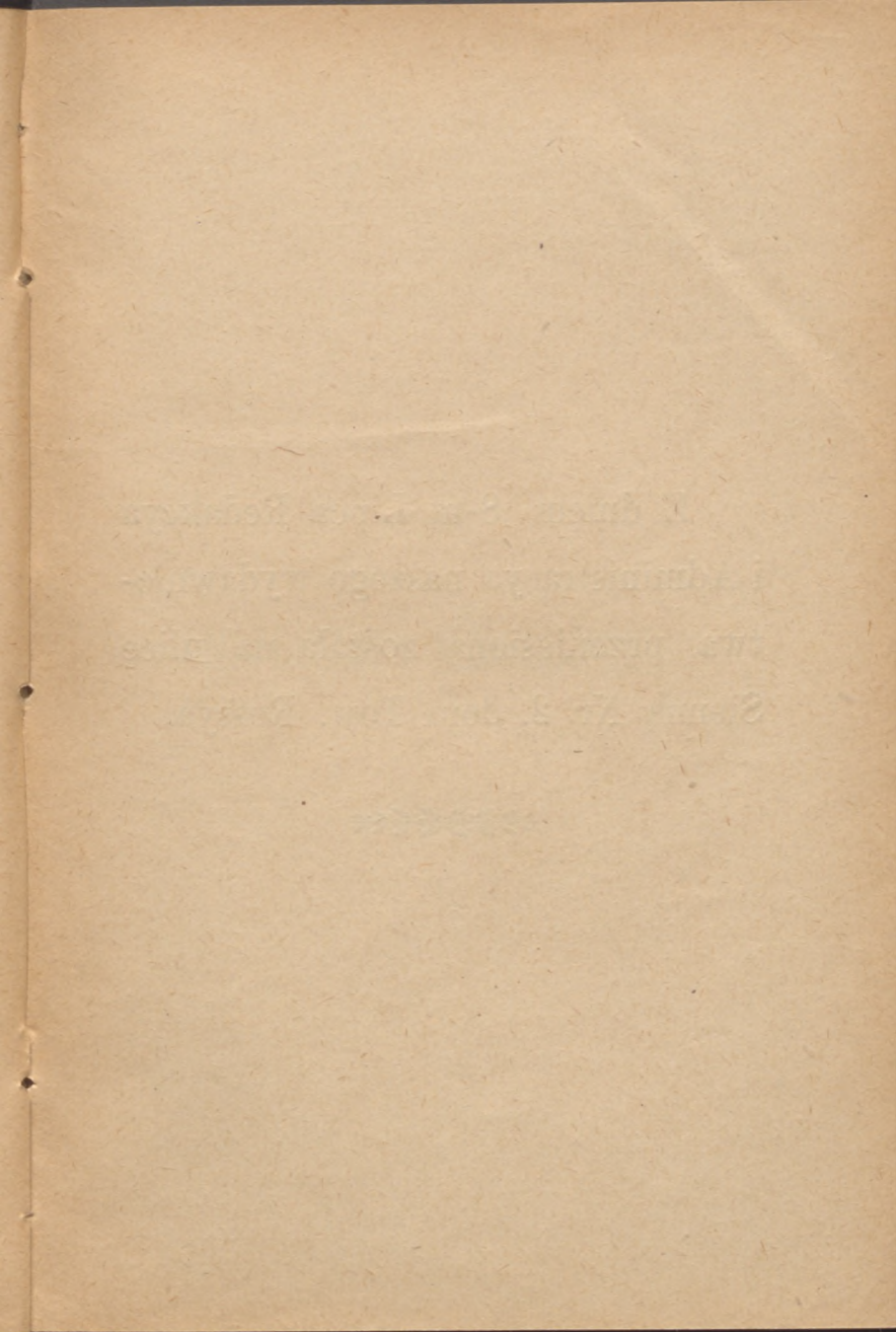
WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1908

| Tom.                                                                                                                                                                            | CENA          |      |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------------|------|
|                                                                                                                                                                                 | w opr. brosz. | kop. |
| 517, 518. <b>Gabriel Sarrazin.</b> WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz.—Słowacki.—Kraśiński. Przekład z francuskiego Wacławy Kisielskiej, z przedmową Jana Lorentowicza | 80            | 50   |
| 519. <b>Wincenty Kosiakiewicz.</b> ŻYWE OBRAZKI.                                                                                                                                | 40            | 25   |
| 520, 521, 522. <b>Marion.</b> MIRAŻE. Powieść. Wydanie drugie                                                                                                                   | 1.20          | 75   |
| 523. <b>RADCA STANU A. KOLB</b> JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G.                                                                                  | 40            | 25   |
| 524. <b>Conan Doyle.</b> CZTEREJ. (The sign of four) Powieść. Tłom. z angielskiego Bronisława Neufeldówna                                                                       | 40            | 25   |



| Tom.                                                                                                           | CENA          |      |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------------|------|
|                                                                                                                | w opr. brosz. | kop. |
| 525. MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Bleszyński | 40            | 25   |
| 526. Stanisław Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku                              | 40            | 25   |
| 527, 528, 533. Juijusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Grużewskiego            | 1.20          | 75   |
| 529. Artur Schnitzler. ŚMIERĆ. Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego                                         | 40            | 25   |
| 530. Alexandrn Suszczyńska. INACZEJ Nowele                                                                     | 40            | 25   |
| 531. Willa Zyndram-Kościalkowska. SZKICE LITERACKIE. II. Prometeusz                                            | 40            | 25   |
| 532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545. Teodor Dośtojewski. BIESY. Tłomaczył T. K.                             | 3.20          | 2.00 |
| 534, 538. Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ. Przekład J. P.                                                  | 80            | 50   |
| 540. Wiktor Gomułicki. OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. Serya II                                                | 40            | 25   |
| 542. Ryszard Jefferies. HISTORIA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z angielskiego A. Z.                  | 40            | 25   |
| 544. Eliza Orzeszkowa. WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego                                     | 40            | 25   |
| 546. Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE.                                                                         | 40            | 25   |





Z dniem 8-m Lipca Redakcyja  
i Administracyja naszego wydawnic-  
twa przeniesioną została na ulicę  
Sienną Nr. 2, dom Tow. Rossya.



Z dniem 8-m Lipca Redakcyja  
i Administracyja naszego wydawnic-  
twa przeniesioną została na ulicę  
Sienną Nr. 2, dom Tow. Rossya.



NAPOLEON

